brosz. 17, 18

NAD SPREĄ

NAD SPREĄ

OBRAZKI WSPÓŁCZESNE

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ

Nakładem Wydawnictwa „Nowej Reformy"

W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ
pod zarządem L. K. Górskiego
1906.

Weiber sind Katzen mit glatten Bälgen und scharfen Tatzen.

Przysłowie.

Późnym wieczorem, jesienią r. 1858 wesołe gronko akademickiej berlińskiej młodzieży, bursze czystej wody, połowa z nich w charakterystycznych czapeczkach, które cudem zdawały się trzymać na głowach, z wstęgami na piersiach, w długich butach, cygara w ustach, włosy na ramiona w tył zarzucone... dla dystynkcyi połowa ich w okularach, podśpiewując Gaudeamus, ową odwieczną pieśń młodzieńczą, która nigdy nie starzeje — pobrawszy się pod ręce wracali czy szli — dokąd? sami nie wiedzieli może. Ale byli w złotych, w brylantowych humorach, które skrzydła przypinają do bark, dają odwagę i godzą ze światem. Wracali z komersu, na którym piwo było doskonałe, i wypili go obfitość wielką.

Butna to była młodzież, a między nią

najtęższym Jan Fryderyk Riebe, przez towarzyszów zwany pieszczono Hänschen.

Hänschen chociaż uczęszczał na wydział filozoficzny i przykładał się do nauk matematycznych, myślami po obłokach latał. Słuszny i barczysty, piękny, z włosami blond, z oczyma niebieskiemi, z minką pogardliwą i zarozumiałą, jak na potomka Arminiusza przystało — miał wielką miłość u młodzieży może dla tego, że nią nielitościwie pomiatał. Szyderski, szorstki, nie przebaczający, umysłu żywego, pojętny, czuł swą wyższość nad towarzyszami i mocno im ją czuć dawał. Był on wyrocznią w swojej nacyi, a należał, jeśli się nie mylę, do Turyngii. Kolory jej nigdy z jego piersi nie schodziły, miał je na czapce, u kija, który nosił, i przy fajce, jeśli fajkę palił. Ale ta już naówczas wychodziła z użycia, wisiała tylko na gwoździu nad łóżkiem obok rapira i innych godeł burszowstwa.

Dochodzili podśpiewując do mostu i Sprei. Kilku pożegnało się i rozsypało dążąc do domów.

Hänschen z dwoma towarzyszami szedł z podniesioną głową, patrząc na wsze strony. Miał wielką ochotę zrobić jakie głupstwo, zaczepić filistra i wywołać kłótnię, zarumienić jaką spokojną przechodzącą

dziewczynę, wytłuc gdzie okno lub nastraszyć jakiego staruszka, powracającego do domu. Taki trefny Spass byłby mu bardzo do smaku, ale próżno szukał oczyma celu i niecierpliwy poprawiał czapeczkę złotem suto wyszywaną. Spotykali tylko wojskowych lub ludzi, którzy, zoczywszy z daleka burszów w dobrym humorze unikali zetknięcia z nimi.

A tu piwo i młodość dopominały się koniecznie jakiegoś wybryku.

Na brzegu brudnej Sprei stało przyczepione lekko czółno bezpańskie.

Poruszająca się woda nadawała mu melancholiczny ruch jakiś, kołysało się dziwnie jak kolebka dziecięcia, które usnęło a matka jeszcze zwolna trąca je nogą, aby się robaczek nie ocknął.

Hänschen stanął i zaczął się czółnu przypatrywać.

— Słuchaj, — odezwał się do idącego z nim małego, ospowatego, niepoczesnego adjutanta — umiesz ty pływać?

— Jakto? — zapytał drugi, podnosząc oczy — pływać?? a no — zdaje mi się, że dotąd nie, ale matka natura, która uczy ryby tak, że od pierwszego dnia po urodzeniu już doskonale w wodzie wirują, musiała mi tę umiejętność w podarunku, ofiarować a jam jej nie użytkował tylko.

Trzeci rozśmiał się, słysząc to.

Był otyły do zbytku, przysadzisty, mały, okulary miał na oczach wypukłych, policzki jakby wydęte, rumiane. Na szerokiej piersi wstęga burszowska wspaniale mu się rozwijała jak orderowa oznaka.

— Co ja — rzekł przez zęby szepleniąc — to z wodą żadnych nie mam stosunków i brzydzę się nią, nie piję nigdy — i marynarzem nie mam ochoty być wcale.

Ramionami wstrząsnął.

— Br!!

— Mnie bo się zachciewa tę łódkę odczepić i użyć z wami przejeżdżki wodnej, zrobilibyśmy podróż odkryć, — dokąd też ta paskudna Sprea płynąć może??

— Słyszałem — odezwał się ospowaty, że wypływa z pewnej praczkarni, w której się pierze cała brudna bielizna pruska i branderburgska, a ścieka tajemnemi drogami do studzien stołecznych, z których ją za źródlaną sprzedają.

— Dowcip ci się nie udał — rzekł Hänschen. Cóż ty mówisz, Frycu?

I odwrócił się do tłustego.

Tłusty śmiał się po cichu.

— Sprea wypływa z piasku a wpada do błota — mruknął Fryc... Pływają po niej tylko wyrzucone ze śmieciska gałga-

ny — a i tym się trafia często osiąść na mieliźnie.

— Przecież czółno stoi, ktoś pływać musi, — czemubyśmy po ojczystej rzeki falach przejechać się nie mieli.

I zawrócił się ku rzece.

Towarzysze wzięli to zrazu za żart, ale Hänschen szedł szybkim ku czółnu krokiem.

— A ty umieszże pływać? — zapytał ospowaty.

— Gdybym pływać, robić wiosłem albo kierować czółnem umiał — odparł żywo bohater — nie byłoby w tem nic osobliwego, żebym was na czółno zapraszał. Sztuka jest w tem, że żaden z nas pływać nie umie, żaden wiosłem nie robił w życiu, a jednak opanujemy statek, zdobędziemy go i w tryumfie puścim się na odkrycie ziem nieznanych, nucąc chórem pieśń studencką.

To mówiąc, zbiegł już w dół, sznurek na kołku zadzierzgnięty odczepił i w środek lichego czółenka skoczył tak silnie, iż zadrzało pod nim, i potrzebował całej zręczności swej siły, aby się na nogach utrzymać. Dwaj towarzysze stali na brzegu niepewni, co poczną, spoglądając na siebie. Nie chcieli mniej pokazać odwagi

i fantazyi a zimnej kąpieli nie życzyli sobie oba.

— Kto mój przyjaciel, za mną! Fryc, widzę tam leżący drąg, który posłuży nam za wiosło — daj mi go tu!

Z wielką trudnością tłusty Fryc podjął leżący obłocony drąg i unosząc go do góry, podsunął Riebemu — sam jednak do czółna się nie spieszył. Ospowaty wejrzeniem rozkazującem wezwany, ostrożnie burt przestąpił i stanął, trzeci już nie mógł mniej odwagi pokazać od dwóch swych towarzyszów. Choć ociągając nieco i ostrożniej od nich wszedł do czółna.

Zaledwie się w niem pomieścić mogli. Hänschen kijem się o brzeg oparłszy, odpychał już wątłą barkę, która się na wsze strony wahała... Fryc na nogach nie mogąc się utrzymać, przysiadł... Hänschen stał... Czółno wydobywało się na mętne wody Sprei, której pęd zaczynał go unosić... lecz niedosyć starannie rozłożony ładunek na jedną stronę tak przeważał, iż woda zaczynała zaglądać. Fryc rzucił się w przeciwną gwałtownie tak, że ztąd znowu zajrzała woda... Łódka się ustatkować nie mogła, a butny Hänschen wcale jej pokierować nie umiał. Tymczasem coraz dalej odbijali od brzegu...

— Stój! stój! — krzyknął Fryc — dosyć

tego żartu i brawury! Kat ją wie! rzeka, choć ma minę, że pomyjami płynie, może mieć zdradliwe głębiny... Donnerwetter! utonąć w Sprei to i śmiesznie i niesmacznie... Zalane mieć gardło wszystkiemi brudami miejskiemi... Stój — niech cię kaci porwą...

Wołał jeszcze oburącz trzymając się łódki, w której głąb padł był także ospowaty, gdy Hänschen nie zważający na nic, w chwili, gdy miał już pieśń burszowską zanucić, stracił równowagę i na wznak padając głową, w wodę się zanurzył... Rozprysnęły się szeroko fale, dwaj studenci pozostali o mało także nie wypadli i winni byli chwyceniu się łódki, iż przy niej zostali. Hänschen zniknął.

Sprea nad wszelkie spodziewanie była w tem miejscu głęboką...

Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi towarzyszów...

Na chwilę roztwarta paszcza wody zamknęła się za szalonym chłopakiem... W chwilę potem ręka jedna i głowa pokazały się nad powierzchnią wody... widać było wysiłek próżny tonącego... zniknął powtórnie... przechyloną łódkę prąd wody zwolna unosił od miejsca, w którem się to stało.

Przechodzący, którzy patrzyli z brzegu, poczęli krzyczeć i nawoływać — kupka ludzi ciekawych, ale do ratunku nie ocho-

-czych zbiegła się u mostu i na wybrzeżu. Wszyscy rękami wskazywali miejsce, jedni zachęcali drugich, ale nie szedł nikt. Zdawali się oczekiwać, czy śmiałek nie wypłynie...

Jeszcze raz zdawało się, iż ręka jego na jedno oka mgnienie wydobyła się z wody... Hałas nad brzegiem się wzmagał.

W tej chwili młody chłopak, który zdala zapewne musiał widzieć wszystko, biegiem szybkim zdążał do miejsca, od którego czółno odpłynęło.

Byłto słusznego wzrostu, pięknej budowy młodzieniec, skromnie a raczej ubogo ubrany... Po długich włosach i po paczce książek, którą rzucił na ziemię, poznać było łatwo studenta... Stanąwszy nad brzegiem i uwolniwszy się naprzód od papierów, które miał z sobą, zrzucił surdut i kamizelkę, oddając je pierwszemu lepszemu z ciekawych, a sam, jak stał, skoczył w wodę i popłynął.

Patrząc, jak dzielnie i silnie rękami robił, jak żywo posuwał się ku środkowi rzeki, pomimo, że mu odzież zawadzać musiała — przytomni przyklaskiwali.

Ten jednak, komu młodzieniec surdut i książki oddał w opiekę, znać słabszych będąc nerwów od innych i nie mogąc patrzeć na tak straszne widowisko, zapo-

mniawszy pewnie, iż cudzą własność z sobą unosi, wysunął się zręcznie i zniknął gdzieś w oddaleniu.

Z mostu i z brzegów przypatrywano się ciekawemu ratunkowi tonącego. Śmiały chłopak poszedł na dno, nie było go dosyć długo, ukazał się potem, ale walcząc z ogromnym Hänschen, który resztą sił pochwycił go pod wodą za nogę i, zamiast siebie uratować, zbawcy swemu groził utopieniem. Choć mniej może silny, lecz zręczniejszy od niego, dobywając ostatka sił... nieznajomy wypłynął na powierzchnię, potrafił nogę od konwulsyjnego uwolnić uścisku i razem z uratowanym zbliżał się ku brzegowi.

Ogromny okrzyk dał się słyszeć zewsząd, z mostu, z okien domów... z wybrzeża, na którem tłumy się już były zebrały... Witano z uczuciem ludzkiem zacnego zbawcę, który własne życie poświęcił dla uratowania nieznajomego. Znalazło się nareszcie dwóch rybaków, którzy podali linę i kij, aby się zmęczony pływak mógł ich chwycić.

W chwilę potem na wilgotnej ziemi leżał Hänschen prawie bezprzytomny, siny, a przy nim otrząsając się z wody niespokojnemi oczyma szukał swych książek i sukni młody chłopak, aby się co prędzej

oddalić i uniknąć podziękowań i niemiłych pochwał, któremi go obsypywano.

Policyant już nawet, zapóźno przyszedłszy, rozpędzał tłum, aby módz zdać szczegółowy raport zwierzchności. Znalazł się i lekarz, który przykląkłszy, zajął się cuceniem omdlałego bursza... Zbawca tymczasem napróżno dokoła się oglądał, dopominając się swych sukni... Chłodny dosyć wieczór powrót do domu w obmokłej koszuli bez wierzchniej odzieży czynił bardzo przykrym.

Studentowi też znać nie tyle już może szło o surdut, co o książki, które razem z nim znikły.

Oburzali się przytomni, klął policyant — lecz nie było na to rady...

Nerwowy ów jegomość nie powracał, odzież i książki przepadły. Chłopak znać sobie pomyślał, że na świecie najczęściej się tak opłaca poświęcenie dla ludzkości — uśmiechnął się smutnie i już tak, jak stał, chciał się co najprędzej wyrwać z ciżby i pójść gdzieś ogrzać przynajmniej po nie potrzebnej zimnej kąpieli.

Tymczasem łódkę z dwoma towarzyszami Hänschen'a przyprowadzono do brzegu, wylękli bursze stali smutni nad ciałem towarzysza, który wprawdzie znaki życia dawał, ale nie był jeszcze przytomnym..

Fryc zbliżył się do zmokłego zbawcy...

— Cześć wam i chwała kolego — rzekł. — Postąpiliście sobie po bohatersku, a wierzcie mi, nie ocaliliście niewdzięcznika... Riebe najpoczciwszy chłopak w świecie, chociaż szalona pałka. Nic mu przecie nie będzie... a ojciec wam za jedynaka podziękuje...

Widujemy was na lekcyach, pozwólcie spytać o nazwisko?

— Ale to najprostsza w świecie rzecz, com zrobił — odparł słabym nieco głosem zmokły... pierwszy lepszy umiejąc pływać uczyniłby toż samo...

I nie chcąc nawet powiedzieć nazwiska, odchodził.

— Proszę was, imię wasze!!

Pochwycił go za rękę Fryc...

— Bardzo was proszę...

— Nazywam się Wolski — rzekł chłopak — spotkamy się gdzieindziej. To najgorzej, że mi moje książki skradziono.

— I surdut! — zawołał Fryc...

— A! już mniejsza o surdut stary — ale książki! książki...

I westchnąwszy, wysuwał się już, gdy zatrzymano go zziębłego znowu.

Dziwnym trafem niedaleko ztamtąd koło kościoła św. Jadwigi mieszkającemu radcy komercyjnemu p. Gottliebowi Riebe dano

znać o wypadku syna i o uratowaniu go szczęśliwem. Radca, żona jego i córka już byli, zdyszani przybiegli, łamiąc ręce... Lekarz ich uspokoił, że kochanemu Hänschen nic nie będzie, pokazano radcy komercyjnemu biednego zbawcę, trzęsącego się od zimna. Czując się do obowiązku wdzięczności, pobiegł zaraz uścisnąć jego rękę. Był to sporego wzrostu Niemiec, ryżo-siwy, biały bardzo, otyły dosyć i mocno piegowaty. W dziurce od guzika miał nieopuszczający go nawet w domu order korony klasy trzeciej i jakiegoś orła klasy czwartej.

Te oznaki wdzięczności mogły co najmniej febry nabawić, zatrzymując na zimnie mokrego bohatera. Skłoniwszy się więc wyrwał się nareszcie z ciżby a spostrzegłszy naprzeciw knajpę, której cała służba w progu stała... co prędzej do niej się wsunął.

Gospodarz może w innym razie gościowi takiemu nie koniecznieby był rad, bo z niego woda jeszcze ciekła, ale obrachował, że ciekawi za nim podążą i zrobi się mały geszefcik, bo się muszą czegoś napić. Powitał go więc otwartemi rękami i zajęto się zaraz posiłkowaniem młodzieńcowi do odmiany sukien i osuszenia.

Pan Kajetan Wolski, którego widzieliśmy tak ochoczo rzucającego się w wodę dla ocalenia życia nieznajomemu... rozmyślał teraz w małej izdebce na tyle restauracyi, co miał począć z sobą.

Był to piękny chłopak może dwudziestoletni, ciemnych oczów, orzechowych włosów polepionych teraz na skroni, zwykle wyglądający blado a od zimna zsiniały. Melancholiczny wyraz jego twarzy stał się posępnym i chmurniejszym niż zwykle. Żal mu było książek i notat zatraconych, a prawdę powiedziawszy, surduta i odzieży, bo ich do zbytku nie miał.

Ubogi, żyjący z małego zasiłku, jaki z domu odbierał, z lekcyi i przepisywania rozmyślał właśnie, co pocznie. Spoglądał na siebie i zdawał się obrachowywać, czy suknie przyległe do ciała, buty i to, co na sobie miał, przydadzą się na co jeszcze. Myślał też, jak się dostać do domu, bo mieszkał dosyć daleko... a posyłać nie mógł i nie chciał.

Położenie dość było przykre. Chodził po izdebce machinalnie, patrząc na mokre ślady, jakie po sobie zostawiał, rachując i to, że gospodarzowi trzeba też będzie indemnizować wodę, którą przyniósł z sobą, i grzane wino, którem go poczęstował — wypite w pierwszej chwili bezmyślnie dla pozbycia się uczucia przykrego wewnętrznego chłodu.

W kieszeni miał wprawdzie sakiewkę, ale w niej nie było więcej nad kilka srebrnych groszy. Sądził, że najlepiej uczyni, nie przyznając się i do tych a dając tylko adres swój i nazwisko z zaręczeniem zapłaty.

Rozmyślał tak jeszcze, gdy się drzwi otworzyły i w nich pokazała się figurka niepoczesnego, trochę garbatego, dosyć wyelegantowanego na złość temu garbowi młokosa, który ręce otworzył zrazu, krzyknął, chciał się rzucić w objęcia Wolskiego, ale się powstrzymał.

— Jesteś mokry jak ryba — zawołał — uścisnę cię innym razem. Ale mi ślicznie wyglądasz. Przechodząc, dowiedziałem się od jakiegoś bursza o nazwisku bohatera, które mimo przekręcenia poznałem a raczej domyśliłem się, że nie kto inny, jak ty mogłeś takie głupstwo zrobić, żeby w zimną plusnąć wodę — gdzie? do Sprei! po

co? aby Niemca ratować! A toć ich chwała Bogu tylu jest... nie zbywa na nich! Gotów jesteś dostać febry.

— Febra toby była najmniejsza rzecz — odezwał się Wolski — ale wystaw sobie — rzuciłem książki i odzienie na brzegu i ktoś skorzystał z zamięszania, aby mi je ukraść.

Garbus zaczął się śmiać serdecznie.

— A to przedziwnie! otóż to tobie masz, naucz się, co kosztuje chcieć grać rolę bohatera i zbawcy.

Słyszałem od ludzi — stała ich tam kupa, nie pospieszył nikt na ratunek tonącemu rodakowi, trzeba było, żebyś ty plusnął w wodę.

— A Pan Bóg ciebie tu przyniósł — przerwał Kajetan — abyś ty mnie ratował. W istocie jestem w najprzykrzejszem w świecie położeniu, nie mam się czem okryć a bodaj, że w knajpie nie będę miał czem zapłacić.

Wyelegantowany garbusek, który wyglądał jak z igły i zdawał się zamożnym, chwycił się jedną ręką za głowę a drugą za kieszeń.

— A! niechże cię... ja bodaj nie mam więcej nad pięć srebrników.

— Ty?

— Ja! cóż chcesz... student też jestem,

a studenckiego »nihil a me alienum puto!« Co może być bardziej studenckiego nad goliznę?

Jednakże czekaj — dodał — nie mam pieniędzy, to prawda, lecz umysł mam obfity w resursa... Wiem, jak czułą opieką otacza cię poczciwa gospodyni twoja, wdowa Richterowa... lecę do niej, nastraszę ją, żeś się o mało nie utopił, pożyczy... przyniosę ci odzież, daj mi tylko klucz.

Kajetan głową potrząsał smutnie.

— Klucz gdzieś także na mulastem dnie Sprei spoczywa — rzekł zmokłe opatrując kieszenie... a u Richterowej za nic w świecie pożyczać nie chcę... kobieta biedna — jam i tak jej winien... i nie wiem, kiedy będę mógł oddać.

— Zlitujże się, tu nie czas ceremonie robić... — krzyknął garbus. — Nie masz klucza... mniejsza o to — wytrych się znajdzie, reszta moja sprawa. Czekaj tu na mnie.

Nie czekając na odpowiedź, garbus się zawrócił, w progu tylko powtórzył jeszcze:

— Nie rusz się ztąd i czekaj na mnie.

Wolski znowu smutną wędrówkę rozpoczął po małej izdebce. Gospodarz trochę niespokojny pokazał się wkrótce na progu. Zaczynał się domyślać, że zmokły gość

mógł być niewypłacalnym i już grzanego wina żałował.

Kajetan, który z rysów jego oblicza odgadł, co go trapiło — odezwał się żywo:

— Posłałem mojego przyjaciela po suknie i po pieniądze... bom i suknie i sakiewkę zostawił gdzieś w rzece... Nie zabawi to długo — bądź pan spokojny.

Gospodarz skłonił się w milczeniu.

— Prawdę powiedziawszy — bąknął po namyśle — pan by się bardzo słusznie i sprawiedliwie mógł o swą szkodę dopomnieć u radcy komercyjnego von Riebe. To człowiek bardzo majętny. Tak! tak! bardzo... bardzo. Ocaliłeś mu pan syna — i to jeszcze jedynaka... Pani radczyni niemłoda i chorowita, wątpię, żeby się kiedy drugiego doczekał... Jedynak syn, dla którego on sobie »von« wyrobił. A co go to panie kosztowało!

Ruszył ramionami.

— Pan musi znać radcę komercyjnego von Riebe? — spytał, spoglądając z ukosa.

— Nie — rzekł Wolski.

— Ale pan w przyjaźni z jego synem?

— Poznałem się z nim bliżej na dnie Sprei.

Gospodarz się rozśmiał.

— Więc pan nie zna ani jego matki — ani pięknej siostry jego?

— Ani brzydkiej, ani pięknej, nie wiem nawet, czy ma jaką?

— A rzucił się pan do wody za nim?

— Tak samo jakbym się rzucił ratować pana, którego znać też nie mam przyjemności — rzekł Wolski.

Po chwili namysłu gospodarz podniósł oczy i rzekł cicho:

— Pan Polak?

W zapytaniu tem, tak było głębokie znaczenie, takie pokryte szyderstwo, takiego coś okrutnego, że Wolski nie odpowiedział zrazu. Nie chciał podnosić znaczenia tego zapytania.

Gospodarz tymczasem popatrzywszy nań, krzesełko poprawił i wyszedł.

Wolski stał zamyślony. Nie wiedział jeszcze, czy się ma gniewać czy cieszyć pytaniem, gdy gospodarz powrócił ze szklaneczką glühweinu na tacce.

— Niechno pan pije — to pana rozgrzeje.

Kajetan chciał podziękować i rzekł śmiejąc się.

— Pieniędzy nie mam przy sobie...

— To nic, to nic — dodał, stawiając wino gospodarz — ale pan Polak. — I wyszedł z ukłonem...

Pierwsze pytanie naprawiło się zupełnie drugą odpowiedzią.

Wolski, czując przykre dreszcze, nie drożył się już i wino wypił.

W pokoiku zaczynało się robić ciemno... przyniesiono świecę... wszystko to w duchu rachował biedny Wolski, bo musiał za to płacić. Śmiesznie było przez oszczędność chcieć zostać po ciemku. Chłopak likwidował teraz w myśli koszta swojego dobrego uczynku... Książki, odzież... to, co musiał zapłacić w restauracyi... Zdrowia i wysiłku nie rachował wcale.

Z niecierpliwością oczekiwał na garbusa. Nareszcie zaturkotała dorożka, zaczęto głośno rozmawiać w pierwszej izbie, wtoczył się kolega a za nim posługacz niosący odzież.

— Zabawiłem długo — rzekł Wojtuś (tak garbusa zwano) — trzeba było ślusarza poszukać, aby zamek otworzyć. Poczciwa Richterowa o mało nie omdlała. Dalipan, gdyby nie to, że lat więcej czterdziestu, powiedziałbym, że się w tobie kocha! Ledwiem ją mógł uspokoić.

Wiesz, że nieboraczka polskiego języka, choć Polka, zapomniała prawie zupełnie... powraca jej tylko ta mowa połamana, gdy bardzo jest wzruszona lub mocno się na kogo pogniewa. Tym razem po niemiecku i po polsku — Herr Jesu! i — Chryste Panie! wołała, desperując nad tobą.

Summa summarum poczciwa kobieta. Przyrzekła gorącej kawy zgotować, abyś ją zastał z powrotem.

Wojtuś mówił, a Wolski się już przebierał co prędzej, zrzucając mokrą bieliznę...

— A pieniądze? — zapytał nagle...

Garbus nic nie mówiąc sięgnął do kieszeni, dobył z niej cztery talary bite i położył je na stole.

— Od Richterowej? — zawołał Wolski.

— A od kogóżbym je wziął! Cztery talary, sumę neapolitańską!!

— Ale po cóż było brać tyle?

— Przyznam ci się, że jednego z tych czterech... musisz mnie pożyczyć... — dodał Wojtuś — to darmo, ręka rękę myje... jestem goły... Skorzystam z twego heroizmu... ty na to jesteś stworzony, aby z ciebie wszyscy korzystali...

Ale ci oddam.

Wolski nic nie odpowiedział, a Wojtuś jednego talara wsunął do kieszeni. Zaledwie przebieranie się skończyło, wszedł gospodarz. Rozpłacenie się poszło gładko — Wolski targować się nie śmiał. Policzono mu przyszłe szurowanie podłogi.

U drzwi stała dorożka, siadającego w nią, Wojtuś pożegnał, miał talara i korzystał z niego, aby pójść do Spargnapaniego pokazać się rodakom, a opowiedzieć im całą

przygodę. Kajetan, czując się zmęczony, mocno rzucił się w powóz, na którego dnie zmokłą swą odzież umieścił, i kazał się wieźć do domu. Jeszcze się z dorożkarzem rozpłacał, gdy po schodach kroki słyszeć się dały niespokojne. Ze świecą w ręku biegła przodem nie młoda kobieta, w czepku, którego wstążki były rozpuszczone, w szlafroku ciemnym i pantoflach na nogach. Z twarzy jej łagodnej i dobrej znać było, że niegdyś musiała być piękną. Znękanie i wiek, praca i ubóstwo nie odjęły jej pewnego wdzięku, który daje serce prawdziwie niewieście, dobroć i spokój ducha. Za nią w filcowych ciężkich trzewikach, zdyszana szła otyła służąca z zakasanemi rękawami i niebieskim fartuchem. Była to gospodyni pani Richterowa, wdowa po urzędniku od akcyzy miejskiej, u której Wolski mieszkał, ze sługą.

Gospodyni z wielkiego wzruszenia rzuciła się niemal ściskać zmięszanego Kajetana, który jej, jak mógł i umiał, dziękował.

Służąca mimo poczwarnej fizognomii i postawy, nosząca poetyczne imię Laury, zabrała węzełki mokre i już szli na górę... a całą drogę Richterowa gderała po polsku i po niemiecku.

— Czy to się tego godziło... Herr Jese

panie Kajetan! Matka pana jednego ma... Mein lieber Gott... Schauderhaft! mógł pan się upić! (utopić). Ale pan tak zawsze, o drugich pamięta — o sobie in keinem Falle! Herr Jese! Herr Jese!

Pomimo, że nie pora było jeszcze palić w piecach, a szczególniej ubogim studentom... Richterowa w izdebce Kajetana kazała napalić. Kawa była gotowa... radziła mu zaraz iść do łóżka. Poczciwa kobieta krzątała się sama, posyłała sługę i nie uspokoiła się, dopóki podziękowawszy jej za to macierzyńskie serce, Wolski się nie zasunął ze środka i nie położył w istocie, aby odpocząć.

Mimo młodości, siły, zdrowia — kąpiel, walka z topielcem, cała ta przygoda oddziałała silnie na niego. Czuł mocny ból głowy i powoli rozpościerającą się gorączkę... Obrazy dziwne snuły się po mózgu... dom, matka... garbus... topielce... komercyjny radca... gospodarz z restauracyi... książki zgubione, surdut skradziony... wszystko to razem kłębiło się, wiło, przewracało jak w kaleidoskopie. Dziwne głosy... burzy, muzyki, krzyku i śpiewu brzmiały mu w uszach... turkot powozów po bruku, uroczysty chór organów, wisk zwierząt razem mu w uszach szumiały...

Usypiał, lecz nie był to sen uspokajający a raczej senność chorobliwa, która gra na wstrząśnionym mózgu, poruszając wszystkiemi jego fibrami. Po kilkakroć usiłował się pozbyć tego przykrego wrażenia, jakie gorączka wywierała na nim, lecz jak brzemię ołowiane uciskała go i obejmowała. Zdawało mu się, że wieki tak się przemęczył.

Gdy nakoniec otworzył powieki znużone... stukano silnie do drzwi... biały dzień wpadał przez jedyne okno izdebki. Za drzwiami słychać było niespokojne głosy Richterowej i Wojtusia.

Chciał się zaraz okryć i zerwać Kajetan, ale uczuł się tak słabym, że zaledwie mógł się poruszać. — Usta miał spalone, głowa ciężyła, w uszach szumiało.

Słabem głosem też odezwał się po chwili, że drzwi wkrótce otworzy... Narzuciwszy na siebie płaszcz, powlókł się do nich, odryglował z wysiłkiem i padł na krzesło... Wchodzący Wojtuś, zobaczywszy go skurczonego na krześle, krzyknął przestraszony.

— Ty jesteś chory... doktora ci potrzeba.

Richterowa zaglądała przez szparę, Wolski mówić jeszcze nie mógł, lecz wzmianka o doktorze przeraziła go.

— Na miłość Boga! — zawołał — daj-

cie mi tylko wypocząć... młodość to najlepszy doktor... żadnego lekarza nie chcę... nie chcę... proszę...

Richterowa zniknęła, Wojtuś pozostał.

— Idź do łóżka, masz gorączkę — odezwał się — ja posiedzę przy tobie. Kąpiel wczorajsza nie posłużyła ci widocznie, byleś ją tylko drogo nie przypłacił. Śliczna rzecz choroby się nabawić, ażeby niezdarnego takiego bursza za uszy z błota wyciągnąć.

Wojtuś usiadł przy łóżku.

— W uniwersytecie dziś o niczem nie mówią tylko o tobie. Turyngia gotuje uroczysty komers na cześć twoją. W srebro okuty róg czyszczą, aby go spełnić za zdrowie bohatera. Ale kiedy kto ma szczęście jak ty, to mu się jeszcze uda, życie narażając, wyciągnąć z wody takie stworzenie z pozwoleniem jak tobie. Widziałem go, chodzi zdrowiuteńki bestya, ogromny bałwan. Znają go wszyscy... sławny brutal i pojedynkowicz... despotycznie władający Turyngami. Syn bogatego radcy komercyjnego von Riebe... Ojciec na rozmaitych handlach dorobił się szlachectwa, dekoracyi, tytułu i majątku. Całe szczęście, że ma mieć bardzo piękną siostrę, która, jak wieść niesie, taksowaną jest na giełdzie na minimum stotysięcy talarów.

Żebyś się jednak nie łudził jej wdzięcznością, muszę cię ostrzedz, iż się o nią stara junkier, oficer z gwardyi baron von Liebenthal. Widzisz, żem na twoją intencyę dowiedział się o najmniejszych szczegółach.

Teraz potrzeba abyś wyzdrowiał jak najrychlej, gdyż komers i pijatyka cię nie miną. Gdybyś odmówił, Hänschen cię wyzwie i pokiereszuje za to, żeś mu życie wyratował.

Nie ręczę, żeby i radca komercyjny nie chciał ci okazać swej wdzięczności sałatą kartoflaną ze śledziem i prawdziwem piwem bawarskiem.

Paplał tak Wojtuś, a Kajetan leżał z zamrużonemi oczyma na łóżku, gdy pukanie dało się słyszeć.

Garbus widząc znużenie i zamknięte oczy przyjaciela, wybiegł co prędzej, ażeby go od niepotrzebnych jakichś uwolnić odwiedzin.

W progu zastał ogromnego Hänschen, w nowej czapeczce na głowie, w butach paradnych, ze świeżą wstęgą na piersiach, z laseczką w ręku, a przy nim dwóch wczorajszych towarzyszów w podobnych strojach... Hänschen już się nieco namarszczył, że go zaraz nie wpuszczono.

— Przebaczcie, panowie, — odezwał się garbus.

— Czy tu mieszka Herr von Wolski?

— Tak jest, ale mój przyjaciel von Wolski mieszka w tej chwili w łóżku i ma silną gorączkę, przebaczycie więc...

— A! a! a! — ozwało się trzy głosy — chory!

— Zaziębił się wczoraj...

— Chciałem mu podziękować... mruknął Riebe, ocalił mi życie...

— A! nie ma za co — z uśmiechem niewinnym niby, a w istocie szyderskim dodał Wojtuś — mała rzecz!...

— A ja dziś ani czuję nic — odezwał się piękny młodzian, z góry spoglądając na garbusa. — Więc powrócimy później... gdy odpocznie. Niech pan od nas...

Skłonili się sobie. — Wojtuś podjął się wyrazić wdzięczność i pozbył się nareszcie studentów.

Wolski był ciągle drzemiącym...

O godzinie dwunastej dało się słyszeć powtórne pukanie do drzwi i nie czekając pozwolenia, nie nawykły, aby go odprawiono od progu, wtoczył się sapiący komercyjny radca von Riebe. Wojtuś chciał już zbyć się go u drzwi, lecz nie dał się wstrzymać i zbliżył do łóżka. Rozpalona gorączką twarz Wolskiego sprawiła na nim

widoczne wrażenie... stał niemy, patrząc na niego... ustami tylko poruszając z nieukontentowaniem... Oglądał się po ubogiej izdebce... zmięszał nieco i dawszy znak garbusowi, odciągnął go do kąta.

— Pan jesteś przyjacielem tego pana? — szepnął zakłopotany.

— Tak jest — odparł Wojtuś — do usług.

— Chory widzę...

— Tak — chory...

— Niezmiernie mi przykro...

— Mnie jeszcze bardziej, bo go znam i kocham.

— A jam mu życie syna winien... — mruknął radca komercyjny. To mówiąc, schylił się do Wojtusia i wziął go za guzik od sukni. — Widzi pan, wdzięczność wdzięcznością a rachunek rachunkiem... Pański przyjaciel nie jest zamożny... to łatwo poznać. Mam rachunek z nim do załatwienia.

— Jaki? — ofuknął Wojtuś.

— A no... suknie... podobno mu skradziono... i jeśliby chorował, doktor i apteka... Oczywiście to, co było pomoczone... to wyschnie i tego nie ma co liczyć. Stracone nie jest. — Garbus wlepił w niego oczy zdziwione, osłupiałe.

— Pan jesteś komercyjny radca Riebe? — spytał Wojtuś zimno.

— Von Riebe — poprawił radca.

— Przepraszam.. mówił garbaty — panu jako radcy handlowemu wolno rachować w ten sposób, ale my ludzie nie komercyjni i nie radcy przysług, które czynimy ludzkości, nie zwykliśmy sobie likwidować... Mówmy ciszej; gdyby mój przyjaciel usłyszał rozmowę, mogłoby mu to powiększyć gorączkę. Pan zupełnie nic nie jesteś winien memu przyjacielowi — dodał złośliwie, bo nawet wdzięczność trzeba odłożyć do czasu, gdy się pan przekona, że z syna mieć będziesz pociechę.

Na te szybko wypowiedziane słowa radca nie umiał czy nie chciał nic odrzec. Stał potrząsając głową... patrzał na garbusa, to na łóżko, potarł brodę, chrząknął. Spojrzał na dziurkę od surduta, czy w niej znaki orderowe widoczne były... ukłonił się z lekka i zadumany wyszedł. Nie był pewnym, czy nie obraził tej pysznej a ubogiej szlachty polskiej, której próżność znaną mu była z odgłosu... nie wiedział, ani jak to naprawić, ani jak się pogodzić z tą myślą, że ubogi chłopak z jego przyczyny stracił kilka talarów. Już był za progiem, gdy nagle mu myśl przyszła szczęśliwa, wywołał garbusa.

— Gdy przyjaciel pański wyzdrowieje — rzekł po cichu z miną uradowaną, ich muss

mich-revanchiren — nie odmówi mi, napiwszy się wody z przyczyny mojego syna — napić się wina u mnie i pozwolić, bym jego szlachetną dłoń uścisnął.

Wojtuś się uśmiechnął, minę nastroił wielce poważną, uroczystą i w milczeniu oddał ukłon radcy komercyjnemu, który swobodniej oddychając — po wyrzeczeniu — ich muss mich revanchiren... posunął się już na schody spokojny na duchu i na sumieniu.

W izdebce Wolskiego zapuszczono firanki. Richterowa gotowała rosół z kury i stała zafrasowana w kuchni. Garbus wziął szlafrok swego przyjaciela, który misternie skrócił, bo był dla niego za długi, zapalił cygaro i został przy chorym na straży. Kajetan ciągle był drzemiący i senny... niekiedy prosił słabym głosem o wodę. Gospodyni koniecznie chciała sprowadzić lekarza, lecz Wojtuś ją zapewnił jako medyk, że jeszcze nie widzi niebezpieczeństwa, a gdyby je spostrzegł, w takim razie uprosi jednego z profesorów... Wolski zarówno z nim na medycynę chodził.

Wątpię, by który z czytelników moich, nawet z tych, co wino szampańskie lubią i smakują w niem, zapragnął bliżej poznać sposób, w jaki się ono wyrabia. Jest to proces bardzo ciekawy. Wino zaprawiają cukrem i, nie wiem, jakiemi tam dodatkowemi ingredyencyami i zakorkowują je w butelkach. Po upływie pewnego przeciągu czasu, gdy fermentacya się w niem wywiąże, którąby niechybnie flaszkom boki porozsadzała, dobywają korki, dają gazom zbytecznym ulecieć i dopiero potem zamykają znowu do — wiadomego użycia.

W ten sposób praktyczny obrachowane jest wychowanie młodzieży niemieckiej. Gdy zbytek gazów w głowie i organizmie się wyrobi, puszczają młodzież swobodną na uniwersytety... aby odkorkowana pozbyła się wszelkiego zbytku niebezpiecznej siły. Młodzieniec hula, pije, puszcza wodze bucie i fantazyi przez lat trzy lub cztery, i gdy zużyty, wycieńczony, pokłóty, odarty ze wszech złudzeń powróci potem do

domu, już go bezpiecznie do wszystkiego użyć można — stanie się z niego człowiek praktyczny, wystygły i doskonały — do wiadomego użycia...

Jest to cała tajemnica, za pomocą której w Szampanii robią dobre wino, a w Niemczech doskonałych Regierungsrathów. — Ten, którego dziś zowią księciem żelaznym, niegdyś ubogi szlachetka na Schönhausen w drugim Jerychowskim okręgu na Pomorzu, miał być burszem zapamiętałym i znać mimo odkorkowania nie pozbył się wszystkiego gazu zbytecznego, bo w polityce jego jeszcze dziś czuć niemieckiego bursza. Może dla tego tyle w niej fantazyi i siły.

Lecz — nawiasowo tylko wspomnieliśmy o tem, aby wytłumaczyć czytelnikom iż Hänschen, mimo burszowskich obyczajów nie był tak nieznośnem stworzeniem, jak się na pierwszy rzut oka wydawał. Jeszcze z niego złe i dobre gazy nie były się zupełnie ulotniły. Hänschen był niezmiernie liberalny, wierzył w prawa ludzkości, czcił swobodę, z pogardą wyrażał się o zbytecznym militaryzmie, wyznawał wolność sumienia i burszowskie prądy unosiły go ku opozycyi, chociaż sobie jasno nie zdawał sprawy ze wszystkich do niej pobudek.

W Niemczech jeszcze gdzie niegdzie naówczas przechowany z r. 1831 błąkał się wysoki szacunek dla »heroicznych synów Polski«. Nazwisko Polaka oznaczało obrońcę zasad liberalnych, żołnierza swobody, syna wolnego a ujarzmionego ludu. Szlachetnem było wyznawać cześć dla męczeńskiego narodu. Hänschen też znalazłszy te tradycye w uniwersytecie, wziął je do serca. Bardzo mu było przyjemnie życie być dłużnym polskiemu baronowi — tak bowiem Niemcy zowią każdego Polaka, który jest szlachcicem. Wprawdzie wyobrażał sobie to baronostwo nie na trzeciem piętrze i nie w tak ubogiej stancyjce od tyłu — ale przykre położenie potomka znakomitej arystokratycznej rodziny dodawało jej jeszcze blasku.

Schodząc ze schodów, spotkał Riebe panią Richterową i domyśliwszy się w niej gospodyni, zatrzymał się, aby o p. von Wolski popytać. Zacna niewiasta, która swojego lokatora wysoce szacowała — bardzo chętnie rozpowiedziała o nim panu Riebe, okrywając go pochwałami. Nie mogła znaleźć wyrazów na opisanie jego dobroci, pracowitości, szlachetności, urósł w jej ustach na ideał. Hänschen powróciwszy do domu do ojca, w kilku słowach mu to

powtórzył. W uniwersytecie też mówiono o Wolskim z wielkiem współczuciem.

Matka bohatera, chora, kaszląca, nie młoda, wiecznie milcząca i bardzo zajęta domem kobieta, wysłuchała także tych pochwał, nie okazując, by na niej jakie czyniły wrażenie. Najbardziej zaentuzyazmowaną była Helmina czyli Wilhelmina, siostra jedyna studenta, przywiązana wielce do brata i lubiąca latać po obłokach a szukać aniołów, z któremi się na ziemi spotkać nie mogła. Jakim sposobem istota tak piękna mogła wyrosnąć w tem gnieździe, było tajemnicą natury i zapewne jakiegoś atawizmu. Przypominała ona twarzą nieco przystojnego brata, ale on przy niej pospolitą, realistyczną wydawał się karykaturą.

Był to typ niemiecki, lecz jakby zapożyczony przez państwo radcostwo komercyjnych z obrazka Schwinda, z rysunku Richtera, z fresku Kaulbacha, z ilustracyi Overbecka.

Chociaż wychowana w mieście, Helmina miała w sobie urok jakiegoś dziewictwa wiejskiego, naiwnego, jakby zdziwionego i nieświadomego życia. Twarzyczka trochę długa, regularnych rysów z wielkiemi oczyma niebieskiemi — cała osłoniona obfitością złotych włosów — usteczka wpół

uśmiechnięte pytaniem jakiemś i jakby gotowe równie czy się rozpłakać, czy wesołością wybuchnąć — dopełniały tylko całości, jaką stanowiła postać zręczna zarazem i niewymuszonej prostoty nosząca piętno na sobie. Trzeba ją było widzieć poruszającą się, idącą, gospodarującą w domu, aby poznać, jak była piękną. Ruch dopiero darzył ją całym właściwym jej wdziękiem. Piękna Helmina znaną była wszystkim towarzyszom Riebego młodego, a oprócz tego większej części młodzieży wojskowej i już wyemancypowanej. Widywano ją i zabiegano jej drogę na przechadzkach, w teatrze, gdziekolwiek się tylko pokazała.

Matka była nią dumna, ojciec obrachowywał, że taka piękność, używająca tytułu »von« przy nazwisku, mogąca mieć sto tysięcy talarów i ojca radcę komercyjnego — nieochybnie wyjść powinna za czystej krwi junkra pruskiego lub starożytnego szlachcica meklemburgskiego — używającego dotąd rzemienia na chłopów dla przechowania starożytnej tradycyi. — Postanowił też był sobie wyczekiwać, wypatrywać i lada komu jej nie oddać. — W jego przekonaniu stosunki były też kapitałem procentującym, a że się one przez córkę zawiązać mogły, Helmina w oczach jego

przedstawiała też kapitał, który na ogólną korzyść masy powinien był być zużytkowany.

Matka innem wcale okiem spoglądała na ukochane dziecię, które ją, dobrą, spokojną gospodynię i kucharkę całą głową fizycznie i moralnie przerosło. Uwielbiała w niej kobietę idealną nowych czasów, z rozwiniętemi władzami umysłu, zdolną do wszystkiego, pojmującą wszystko, czytającą Schopenhauer'a i Heinego razem, Gervinusa i Freitaga, Gutzkowa i Schellinga — rozkoszującą się Goethem, grającą Schumanna z wirtuoztwem Klary Wieck i szkicującą z natury — jakby ją który z Achenbachów uczył.

Ojciec przywiązywał wielką cenę do wychowania córki, wcześnie ją do wyższych sposobiąc losów — nie żałowano na nauczycieli... uczono ją może do zbytku, szczęściem zdrowa i silna natura nie dała się ani zwichnąć, ani skrzywić — tylko życie, które u kobiety mieszka w sercu i piersi, u Helminy paliło się całe w głowie. Żyła myślami, czucie u niej rodziło się z myśli, nie, jak naturalnym trybem rodzić się powinna myśl z uczucia.

Zrozumie mnie, ktokolwiek się nad człowiekiem zastanawiał, gdy dodam, że przez to samo Helmina była daleko więcej wye-

gzaltowaną niż inne kobiety, które serce tylko unosi.

Ona i brat kochali się z sobą bardzo i rozumieli lepiej niż z rodzicami. Radca komercyjny niegdyś pono dojechał był z wysileniem do sekundy niższej, dalej zdawało mu się już sięgać niepotrzebnem a przynajmniej zbytecznem. Żyłka go ciągnęła do handlu. — Wychowanie szkolne wielce się życiem zatruło, zapomniał wiele, a w obejściu z ludźmi skorzystał mało. Można więc śmiało powiedzieć, że był nieukiem, chociaż chciał uchodzić za wykształconego człowieka i łatwo mu to przychodziło wśród tych, co go zwykle otaczali. Niewiele więc córkę i syna rozumiał, usiłując tylko wobec nich się nie skompromitować. Matka nie udawała mędrszej niż była, owszem chętnie się przyznawała do braku wychowania, ale lepiej daleko rozumiała córkę i można powiedzieć, że dozorując jej wychowania, sama się wiele rzeczy nauczyła, bo głowę miała otwartą i pojętną. W domu więc młodzież stanowiła jakby świat oddzielny i inny — z którym stosunki odbywały się przez pewne wybitne dróżki — dla wszystkich przystępne.

Jak Helmina tak Hans miał bystre pojęcie, uczył się, gdy chciał, łatwo, lecz wolał żyć niż się uczyć i zamęczać. Zarozu-

miałość kolosalna wedle wyrażenia burszowskiego, była jednym z jego najwybitniejszych przymiotów. Radca komercyjny, którego syn dosyć lekceważył, największą w świecie miał trudność obok niego się na prawowitem utrzymać stanowisku. Musiał się pilnować ogromnie, bo mu syn żadnego bąka, żadnego niewłaściwie użytego wyrazu nie przebaczył. Jak matka wiele w istocie przy córce nabrała wiadomości, tak ojciec przy synu nauczył się — milczeć — nauczył tak zręcznie wykręcać słowy, aby o żaden ostry kant nie zaczepić. Syn by mu nie darował i śmiałby się nielitościwie.

Kto właściwie w tym domu panował, nadzwyczajnie trudno dojść było. Najgłośniej mówił i najmocniej głowę zadzierał radca komercyjny, lecz żeby był głową wszystkiego — uznać trudno.

Najcichszą, najmniej znaczącą była pani radczyni, która czasem rankami wyglądała na kucharkę lub służącą — czy ona tu w istocie rządziła tak po cichu — to wątpliwa. Być może, iż kierowały wszystkiem dzieci, a z dwojga ich więcej Helmina niż brat jej, którego ojciec chciał trzymać ostro a nie umiał. Siostra wyrabiała dłań, co było potrzeba, sama lub przez matkę...

Jedna rzecz najniedostępniejszą była dla

rodziny — kasa. Radca komercyjny rozumiał to dobrze, iż póty tylko jest panem, dopóki ma od niej klucze. — Wprawdzie skuteczne do niej przypuszczała szturmy Wilhelmina, otwierała się ona na znak dany przez matkę, lecz radca stał na straży tej arki najnowszego przymierza i w głębiny jej tajemnicze, nikomu okiem sięgnąć nie dopuszczał. Zkąd szły, ile ich było, jak rozporządzał pieniędzmi — o tem nikt nigdy nie wiedział... Zdobyczami nie chwalił się nigdy, na złe czasy uskarżał się nieustannie...

Po obiedzie radca zwyczajnie na dzienniki szedł do swojego klubu. Dawniej chodził do zwykłej piwiarni, gdzie czytywał ciocię »Voss« i mógł zajrzeć do rządowego «Anzeigera«, ale zostawszy radcą komercyjnym, dobiwszy się uszlachcenia, nie mógł jak prosty śmiertelnik obok szewca lub krawca może siąść przy białem piwie z gazetą. Czuł, że »von« go do czegoś obowiązywało... postarał się więc o przyjęcie do klubu szlachty i wojskowych, w którym też czasem ukazywali się podsekretarze obcych poselstw lub geheimraty pracujący po ministerstwach. Tu można było przysługując się zapałką lub przy innej jakiej zręczności zawiązać stosunek nawet z Ekscelencyą. Później kłaniało się

jej w ulicy, ludzie to widzieli i to stawiało człowieka w przyzwoitem świetle. Radca więc teraz chodził po obiedzie do klubu swojego, o czem rad głośno mawiał, lecz nazajutrz po strasznym wypadku, który najsmutniej skończył się dla Wolskiego, p. von Riebe wyjątkowo siedział przy poobiednej kawie z całą rodziną.

Kawa ta podawaną była zwykle nie w saloniku, który jako przybytek szanowano zwłaszcza od czasu, gdy cały nowy garnitur mebli czerwonym wybity aksamitem został tu wprowadzony — ale w pokoju samej pani skromnie nader urządzonym. Przypominał on radcy, smutnie, czy wesoło, nie wiem, początki jego zawodu i miodowe małżeństwa miesiące i złotą mierność pierwotną. Mebliki były proste i stare, a cacka porozstawiane i religijnie zachowywane — nie ładne i tanie. Lecz poczciwa radczyni skrzętnie tuliła te swoje drogie wspomnienia przeszłości. Tu i stół do kawy okrywano starą serwetą, którąby już gdzieindziej nie uszła dla pana radcy. Na stoliku stały imbryki i filiżanki z berlińskiej porcelany i niesmaczne i niewykwitne. Jejmość siedziała pokaszlując i patrząc na córkę w fotelu spłowiałym, starszym pewnie od jej dzieci. Obok niej Helmina książkę złożoną trzymając w ręku,

zabawiała się nią zamyślona, piękne jej oczy niebieskie w okno były w lepione. Na nizkim foteliku rozłożony, z nogami wyciągniętemi, palił cygaro Hänschen od niechcenia pokręcając młodego wąsika. Na ostatek tyłem do okna z rękami w kieszeniach rozsiadł się wygodnie sam radca. Rozmowa toczyła się jeszcze o wczorajszym wypadku. Młodzieniec nie przyznawał się do winy — mówił — że go towarzysze wciągnęli, że mniej nad nich odwagi okazać nie chcąc, musiał do łódki wskoczyć.

Ojciec miał go za wytłumaczonego, od czasu jak mieli »von«, trzeba było — jak powiadał — okazywać się zawsze nobel... Syn więc w jego przekonaniu nic nie był winien, postąpił sobie, jak przystało na syna radcy — nobel.

— Ja go widziałem, bom wszedł zaraz do izdebki — mówił cicho radca... leżał w łóżku... zdaje się, że był nieprzytomny... ale młody, nic mu nie będzie. Piękny chłopiec tylko mizerny... i w mieszkaniu bardzo ubogo.

— Ale kochany ojcze — przerwał żywo bursz — z mieszkania akademika wnosić nic nie można...

Rozśmiał się trochę z naiwności ojca i ciągnął dalej.

— Akademik istota wyjątkowa... mój ojcze... dla młodzieży trzecie piętro, ma siłę atrakcyjną. Jest coś poetycznego na poddaszach... Potem... któż wie... jeśli sobie zrazu cugle puścił, teraz ich musi przykracać rad nie rad. Ale szlachcic znakomitej rodziny... to nie ulega wątpliwości... wiem to od innego Polaka studenta, że to miejsce, na którem Polacy królów obierali, zwało się Wola... i było w posiadaniu jego rodziny. A że w ich języku jest śmieszny zwyczaj dodawania do nazwiska »ski«, zwali się Wolski.

— Jakto? — przerwał radca — oni mieli dziedzictwem to pole, na którem królów wybierano?

Zamyślił się chwilę i uderzając po kolanie jakby mimo woli zawołał:

— Co oni za dochód musieli mieć z tego!!! Ba! »polnische Wirthschaft«, wszystko przehulali!! U nich tak...

Machnął ręką i westchnął.

Bursz popatrzał na ojca.

— Znalazł się względem mnie bardzo szlachetnie, winienem mu wdzięczność i tę mu poprzysiągłem... Turyngia sprawi dla niego komers... ale należy go choć raz zaprosić do nas. Ojciec jakby mimowolnie spojrzał przelotnie na córkę, która, nie wiedzieć dla czego, zarumieniła się, spu-

ściła oczy i wnet podniosła je z udaną jakąś odwagą.

— To rzecz niezawodna — potwierdził radca, że prosić go trzeba — ale młodzież zbierać w domu... ubogą, tam, gdzie jest taka piękna i bogata panna...

Helmina ruszyła ramionami i rozśmiała się, a ojciec zmieszany zamilkł, czując, że mógł powiedzieć niedorzeczność.

Bursz się na głos rozśmiał.

Siostra zerwała się z krzesełka... W tem dzwonek dał się słyszeć w przedpokoju i służąca przybiegła rumieniąc się i dając znać, że baron von Liebenthal pragnął złożyć swe uszanowanie.

Kawa co najprędzej porzuconą została, a gospodyni pierwsza poprawiwszy włosy wyszła do salonu. Za nią pospieszył radca, potem Wilhelmina, która mimo oznajmionego barona, ani w zwierciadło nie spojrzała, ani ubrania raczyła poprawić, szła za nimi z najzupełniejszą obojętnością; na ostatek dźwignął się olbrzymi bursz z foteliku, stękając, cygaro rzucił pod piecyk i wyciągając się, posunął za rodzicami.

Właśnie z przeciwnej strony w surducie mundurowym z dwoma wstążeczkami — wchodził zapięty ciasno, sztywny i obracający się z militarnym wdziękiem junkra,

chcącego być pięknym — młody baron von Liebenthal. Maleńka blada twarzyczka, ostry nosek, wąziuchne usta, fizyognomia nic nie znacząca, ale trochę nadęta — wąsik chudy i głowa wcześnie nadłysiała, krótko ostrzyżona — mimo młodości nie czyniły go wcale ani pięknym ani miłym. Coś ostrego, szorstkiego przebijało się przez przesadnie grzeczne ruchy pana barona, który, jak widać było ze szlif, piastował już wysoką godność ober-lejtnanta... Z nadskakującą uniżonością i przesadnemi ukłonami powitawszy kobiety, uścisnąwszy rękę radcy — zwrócił się przybyły z objawem nadzwyczajnej czułości ku ocalonemu burszowi, winszując mu, iż go Sprea nie połknęła. Czy powinszowania te były szczere — i czy baron nie pomyślał, dowiedziawszy się o wypadku, o ile by to powiększyło posag panny — za to ręczyć nie podobna.

Helmina zaledwie spojrzawszy na barona, siadła zdala na krześle z miną zrezygnowaną i obojętną. Radca żywo począł opowiadać, matka jak zwykle milczała.

Nieprzyjemnie tknęło to bursza, iż baron przy pierwszej wzmiance o pochodzeniu polskiem wybawiciela, bryznął zużytym sarkazmem na Polaków. Wszyscy zmilczeli, Hänschen usta wydął i wąsika

pokręcił, baron poczuł może niewłaściwość tego wybryku i zwrócił rozmowę.

— Szanowny panie Janie — odezwał się — niech to wam przypomni, że jako szlachcic...

Stary Riebe nadął się przyjemnie, uczyniło mu to sensacyę niewypowiedzianie miłą.

— Jako szlachcic — kończył baron — powinieneś umieć pływać, konno jeździć i bić się... doskonale. Sport wszelki szlachecka rzecz.

— O! bić się — odparł Hänschen — uśmiechając się i gładząc po twarzy, na której miał już szram od rapira — bić się nie powstydzę.

— Anglicy nawet boksować się uczą — pierwszych familii — zawołał baron.

— O! pierwszych familii — podchwycił Riebe — to już ekscentratyczność (omylił się, syn nań spojrzał groźno i jak winowajca umilkł).

— Tak jest — ciągnął baron — A! niema jak angielska szlachta!! Wzór dla nas wszystkich.

Radca westchnął czując, jak dlań wzór ten był niedoścignionym.

Baron, który widocznie chciał zawsze okazywać, iż go tu sprowadziła panna, zwrócił się, wdzięcząc i uśmiechając do niej.

— Na pani też musiało to uczynić okropne wrażenie.

— Tak — cicho rzekła Helmina — pojmie to tylko, kto jak ja kochał jedynego brata...

— Zazdroszczę wybawcy — odezwał się baron — wdzięczności, na jaką sobie u pani zarobił...

— Opłaca ją teraz chorobą — odpowiedziała Helmina.

— I nie widzieli go państwo? — zapytał baron.

— Ja u niego byłem — rzekł radca.

— I ja — dodał Hänschen.

— A ma to być, słyszę, akademik jak pan — mówił oficer — i pewno znajomy.

— Nigdym go w życiu nie widział, a on nie wiedział też kogo ratuje, rzucił się, spostrzegłszy tonącego człowieka.

— Przepysznie! — zawołał z przekąsem baron i zamilkł a po chwili dodał:

— Należy mu się medal za ocalenie życia — nie wiem na jakiej wstążce się on nosi — ale że jest, to pewna.

Radca to żywo podchwycił.

— A tak! w istocie na myśl mi to nie przyszło! doskonałą uwagę uczynił pan baron... powinienem mu się o medal postarać, to go uszczęśliwi... Będzie go mógł nosić.... Nie prawdaż?

Oficer odpowiedział potwierdzająco. Radcy twarz się rozjaśniła — mógł się więc postarać o medal i w ten sposób świetnie zrewanżować, bo rewanż ów nie wychodził mu z myśli... Twarz studenta milczącego dowodziła, że nie chcąc się przy orderowym ojcu i orderowym gościu źle odzywać o znakach tych honorowych, nie zupełnie podzielał ich zdanie pod względem wagi, jaką do nich przywiązywali. Zagryzł usta, spojrzał na siostrę i szyderski wyraz rozlał mu się po całem obliczu. Wstał z krzesła, poczynając się przechadzać po saloniku.

— Co to jest niemiecka nasza krew i zdrowa, silna natura germańska — dodał oficer.—Hans chodzi zdrów, jakby nie wziął kąpieli w Sprei, a tamten nieborak odchoruje, że się trochę popłukał. Jak to zaraz znać obumierające plemię...

Nikt na to nie odpowiedział i baron obejrzawszy się, poczuł, że drugi raz popełnił omyłkę — zagadał więc coś o powtórnie kwitnących jesiennych fiołkach.

Piękna panna odpowiedziała mu, że fiołków nie lubi, i że się jej pretensyonalnemi ze swą wszukaną wydają prostotą... Odwróciła się potem ku bratu.

Baron spojrzał na zegarek, porwał się udając, że spieszyć musi, i z niezmiernem

szastaniem nogami cały w ukłonach i łamańcach opuścił salon, przeprowadzany przez radcę i jego syna aż na wschody...

Gdy ojciec do saloniku powrócił, córki już w nim nie zastał.

— Wiesz — odezwał się z cicha do żony — zdaje mi się, że Helmina zbyt zimno przyjmuje barona. To źle, — ani go nazbyt ośmielać, ani go też odpychać należy. Dowiadywałem się o niego... wioska, słyszę, licha i rodzeństwo liczne, ale imię ładne i wojskowa karyera może być świetna. Chłopiec zręczny, oszczędny bardzo, nieposzlakowanych obyczajów... ma przyszłość przed sobą... i baron.

Radczyni powoli podniosła oczy na męża.

— Ale zdaje mi się, że Helmina lepszego czego warta... — szepnęła.

— Zapewne! ale któż się dziś żeni? — rzekł radca — zupełnie to wyszło z mody. Szczególniej u arystokracyi, chyba starcy, gdy już młodość do odrobiny wyszafowali.

— E! — podchwycił Hans, biorąc się w boki — Helmina ma czas poczekać i wybrać. Takiej drugiej tu nie ma. Baronowie się teraz żenią z aktorkami, to dla niej mało księcia...

— Słowo honoru! — dodał Hans — dziewczyna jak malowana i rozumna i bogata! Co mi przy niej taki chudy baron znaczy!

Na tem się skończyło.

W kilka dni potem Wojtuś z talarem w kieszeni przyszedł odwiedzić towarzysza już mającego się znacznie lepiej po przebytej gorączce. Wolski siedział blady i pokaszlujący nad książkami. Rękę miał zatopioną w bujnych włosach i dumał, a z namarszczonego czoła widać było frasunek.

— Widzisz — rzekł po przywitaniu, kładnąc na stoliku talara — jaki jestem bezprzykładnie słowny. Nie zdumiewasz się, twarz twoja nie promienieje radością, nieczuły człowiecze!!

— Ale słuchaj — przerwał nagle — co ci jest? Siedzisz smutny jak noc...

Wolski się zerwał z siedzenia, milcząc i po pokoju gwałtownemi krokami chodzić zaczął.

W istocie był tak widocznie skłopotany, przybity, że Wojtuś, który wszedł wesół jakby nigdy garbatym nie był, nagle też zląkłszy się posmutniał. Zbliżył się, wziął go za ręce i natarczywie począł.

— Ale mówże, co ci jest! Komuż się już zwierzysz, jeśli nie mnie. Co ci jest? przerażasz mnie.

— Dopiero teraz — wybuchnął Wolski — prawdziwie żałuję, że mnie skorciło Niemca z wody ratować.

Książki mi zginęły, dykcyonarza jeden tom, na którego kupienie od gęby sobie odejmowałem, najlepszy surdut... jedyne buty... Wszystko to jeszcze mniejszaby było, ale ten kłopot... ten kłopot...

— Jaki? trzy talary zadłużyłeś się gospodyni, wielka mi rzecz — wołał garbus — Richterowaby ostatnią suknię zdjęła, aby ci usłużyć!

— Nie o to idzie.

— A o cóż u Boga?!

— Przyszło im na myśl... zaprosić mnie na wieczór.

— Więc cóż? bo nie rozumiem.

— Tępy jesteś jak stara brzytwa — zawołał Wolski — możesz-że nie rozumieć tego, że na wieczór do radcy komercyjnego potrzeba mi fraka i całego frakowego garnituru, potrzeba kapelusza, rękawiczek... przyzwoitego paletota, wszystkiego tego, czego nie mam i mieć nie mogę.

Wojtuś popatrzył na towarzysza i roześmiał się.

— Gdybym był na twojem miejscu, po-

szedłbym, jak stoję. Pal ich kat! ale tu twoja próżnostka nie pozwala, chcesz wystąpić. Pewnie wiesz już o bardzo pięknej pannie.

— Właśnie mi panna w głowie — wołał Wolski. — Przecież w łachmanach nie idzie się z wizytą... Przyznasz ty, co tak elegancyę lubisz, że nie mogę iść, jak stoję. Znasz całą moją garderobę, boś ją nieraz wyśmiewał.

Wojtuś zaczął papierosa kręcić — dumając niby.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje mi się, że chyba zbytnia aplikacya musiała ci odjąć wszelką umysłu żywość.

Jak można tak nadzwyczaj prostej rzeczy nie domyślić się... że w mieście jak Berlin na wieczór się występuje świetnie bardzo — choćby nie mając koszuli.

— Jakimże to sposobem?

— Najprostszym w świecie! — zawołał Wojtuś. — Począwszy od fraka najmuje się wszystko.

— Jak to najmuje?

— Tak, jak mówię, idzie się do wynajmującego suknie, który od stóp do głów cię wykierowywuje na eleganta, a nazajutrz odbiera odzienie. Sądziszże, iż przybywający ze wsi klienci, którzy zmuszeni są do ekscelencyi iść w białych krawatach

i czarnych frakach, sprawiają je sobie na jeden wieczór? Zatem proszę cię i bądź o to spokojny, ja wszystko ułatwię, żebyś tylko był zdrów.

Wolski się wzdrygnął.

— He! zapewne—odezwał się ponuro—gdy konieczność zmusza, trzeba przejść przez tę próbę. Przyznam ci się jednak, że kłaść choćby najpiękniejszy frak, który już na niewiedzieć czyich spoczywał ramionach, iść w sukni pożyczanej...

— Więc jest jeszcze lepszy... dyabłu duszę zapisać i sprawić sobie garnitur z sajety. Trzeciego środka nie widzę.

Gdy te słowa kończył, wesoły głos odezwał się odedrzwi — głośno aż do przestraszenia odezwał się:

— Ja mam trzeci!

Obrócili się zdziwieni, drzwi po cichu otworzone stały szeroko, a w nich ładny i zręczny chłopak ubrany jak lalka, w którym trudno było poznać studenta.

W paliowych świeżych rękawiczkach, z lornetką na wstążce morowej, w paletociku jak ulanym, ze szpicrutem w ręku.

Stał śmiejąc się prawie dziecinnie uradowany i wesoły.

— Deus ex machina! — zawołał Wojtuś. — Co ty tu robisz Ryszardzie?... ty?

na trzeciem piętrze... to kompromituje twą elegancyę.

Wolski z nim się witał.

— Ale mi się za Kajciem stęskniło... — dziwnie miękko jakoś szepleniąc głosem niemal kobiecym rzekł Ryszard.

Był to student chodzący na prawo.

Z powodu imienia Ryszarda dodawano mu przydomek Lwie serce, choć serce miał gołębie a że chodził na prawo nie bardzo regularnie, Wojtuś mówił nań, że chodził raczej — na lewo... Ryszard był hrabiątkiem z Poznańskiego, młodzieńcem wielkich nadziei sukcesyi i milionów; — ale dobre z niego było chłopię... — tylko niepomiernie stratne i lekkomyślne...

Zbliżywszy się do Kajetana — począł go ściskać.

— Jak mnie kochasz... Kaju... phoszę cię... zaklinam... jesteśmy jednego wzhostu... ja ci dam, co potrzeba... zobaczysz... Co masz bhać jakieś tam wachmany po chohych Niemcach... Swowo honohu... kiedy cię phoszę!!

— W istocie Ryszard znalazł sposób trzeci, który jest jedynym... — dodał żywo Wojtuś — nie ma rady...

— Ale ja ci odzienie paradne zniszczę.

— To je zniszcz... to mi wszystko jedno... phoszę cię... takie guupstwo... — wołał ści-

skając Wolskiego Ryszard... — Kiedyż ten wieczór! dziś?

— Nie — jutro...

— Dziś będziesz miał gaudeuobę... i zaimponujesz Niemcom — śmiejąc się mówił Ryszard.

— Tak — śliczna rzecz — podchwycił Wolski — wnosząc z niej wezmą mnie za majętnego człowieka... To rodzaj kłamstwa.

— A tak! — z udaną powagą bardzo śmieszną lamentująco rzekł Wojtuś — trzeba się nad tem zastanowić! Ma słuszność ten człowiek sumienny... to będzie okropne, szkaradne, nie przebaczone, mogące za sobą pociągnąć straszliwe sumienia wyrzuty, kłamstwo... Biegnę do księdza... casus conscientiae, niech rozwiąże! Potem przy konfesyonale, gdy się przyznasz — Pater! peccavi! poszedłem na wieczór w pożyczanym fraku, ksiądz weźmie za waryata i rozgrzeszenia nie da! Zaczęli się śmiać, ale Kajetanowi ogromny ciężar spadł z piersi.

— Przyszedłeś tu jak Opatrzność — rzekł ściskając mięciuchną dłoń Ryszarda... który był uszczęśliwiony i śmiał się powtarzając — Zobaczysz, jak ja cię wystrychnę.

Rozmowa zwróciła się na inne przedmioty i chwila szybko przeszła. Ryszard

pożegnał Wolskiego, Wojtuś także... konwalescent pozostał sam z książkami...

Przed wieczorem paradny służący hrabiego Ryszarda w jeszcze paradniejszem zawinięciu przyniósł dwa pełne ubiory do wyboru, z troskliwością największą aż do najmniejszych szczegółów zebrane. Wolski wziął pierwszy z brzegu, spróbował tylko, czy na niego wejdzie, a że leżał garnitur wybornie... zasnął spokojny. Nie był jednak bez trwogi przebudziwszy się, gdy przypomniał sobie, że mu na ten wieczór iść trzeba było odegrywać smutną rolę wybawiciela fetowanego przez rodzinę.

Wszelkiego rodzaju owacye dla ludzi, co mają delikatniejsze uczucie, są ciężką przeprawą. Nie jeden przez rózgiby może iść może wolał — ale są czasem nieuniknione szczęścia, które przełknąć człowiek musi, choć się niemi dławi.

Wolski jak żyw w towarzystwie niemieckiem nie bywał, choć język umiał dobrze i władał nim wprawnie; domyślał się, że tu obyczaj, mowa, myśli, wszystko być musiało inne jak u nas. Godziny szły jak na złość z utrapioną szybkością i straszna się owa chwila, której się tak obawiał, zbliżała. Wzdychając wdział piękny, do zbytku wytworny garnitur Ryszarda, spojrzał w zwierciadło... trudno mu się poznać było, tak

jakoś nie swojo, inaczej, dziwnie sobie samemu wyglądał. Rumieniec pokrył mu twarz bladą. Pomimo szyderstw Wojtusia czuł, że ubiór kłamstwem być może; czuł, że nie miał mowy ani ruchu stosownego do tego stroju. Było mu w nim obco, cudzo i straszno.

Przypomniał sobie matkę w ubogiej izdebce, w szlafroczku perkalikowym, w białym czepcu... i łza mu się zakręciła w oku...

Biedna matka przestraszyłaby się pewnie, gdyby skromnego, poczciwego swojego Kaja zobaczyła przestrojonego na jakiegoś eleganta. Była chwila, że Wolski chciał zrzucić suknie, zapakować rzeczy i uciec bodaj z Berlina — ale pracował dla matki, dla jej spokojnej przyszłości... i dla niej wszystko znieść musiał, nawet tę upokarzającą maskaradę.

Z westchnieniem więc narzuciwszy palto, wyszedł z izdebki, unikając spotkania z p. Richterową, która go, wnosząc ze stroju, o płochość posądzić mogła.

Udało mu się prześlizgnąć niespostrzeżonemu i wysunąć na ulicę. Szedł dalej z bijącem sercem... ale mu się w oczach ćmiło... Strój ten palił go jak ogniem...

Już stał przed drzwiami domu oznaczonego złowrogim numerem trzynastym, miał przed sobą tylko wschody pierwszego

piętra... w którego oknach rzęsiste światło przebijało się przez zapuszczone story.

Jak skazany na ciężką pokutę... poszedł... zadzwonił.

Lokaj w białych rękawiczkach, najęty na ten wieczór umyślnie, aby dać gościowi wspanialsze wyobrażenie o domu pana radcy komercyjnego, przyjął go głębokim w progu pokłonem. Tuż z przeciwnych drzwi wybiegł ocalony Hänschen bez godeł burszowskich, we fraku na przyjęcie przybywającego. Pewne zadziwienie odmalowało się w twarzy studenta, gdy spojrzał na strój wytworny i białe rękawiczki kolegi.

Kajetan wyglądał w tym nie swoim ubiorze tak arystokratycznie pięknym, tak mu było z tą zaniedbaną nieco elegancyą dobrego smaku do twarzy.., iż Hans mimo swej młodzieńczej piękności ledwie mu nie pozazdrościł.

Lecz tuż przez pół otwarte drzwi wyglądał radca komercyjny z obydwoma orderami, nie przez znaki skrócenia wyrażającemi się, ale in naturalibus. Ogromne dwa krzyże wisiały na cześć gościa w pętlicy jego fraka. Krawat biały włożył znowu dla tego, że ilekroć brał krzyże wielkie, zawsze im zwykł był ten znak poszanowania towarzyszyć.

Nie wiedział sam, jak ściskany za ręce, mrucząc coś dostał się do salonu. Niedaleko od drzwi czekała nań w czarnej sukni jedwabnej, wzruszona w istocie pani radczyni. Nie mogła się zebrać na długą mowę, ale serdecznie uściskała jego rękę.

W tej chwili Kajo podniósł głowę, czując jeszcze kogoś przed sobą i — osłupiał.

W białej sukni z niebieskiemi wstążkami, z rozpuszczonemi na ramiona włosami trochę blada i zmięszana stała Helmina. Wyciągała ku niemu maleńką dłoń... ale Kajo tak był oślepły jej pięknością, iż chwilę stał prawie nie przytomny... I pana i cała rodzina widzieć to musiała.

— Pozwól pan, bym i ja za kochanego brata życie podziękowała szlachetnemu wybawcy. Gdybyś pan me własne ocalił... nie byłabym panu wdzięczniejszą.

Głos brzmiał jak muzyka i upajał... Wolski odpowiedzieć nie umiał, ale to jego pomięszanie pewnie mu nie zaszkodziło w oczach panny. Spojrzała nań długo swe niebieskie topiąc w nim oczy, ścisnęła mocno jego rękę i cofnęła się parę kroków.

Towarzystwo składało się z rodziny tylko, do której należał wuj samej pani, stary pastor z długiemi siwemi włosami i szeroko zawiązaną chustką białą na szyi —

brat radcy komercyjnego, kupiec, prosty Riebe bez żadnego von i człowiek ubogi, jego córka skromnie a niesmaczno ubrana panienka — a — naostatek kuzynek jakiś chowający się w kącie.

Wolskiemu i nawyknienia do towarzystwa i przytomności umysłu brakło; ratował go jakiś instynkt, zupełnie jak tonącego człowieka, który już nie myśli, nie rozumuje, lecz chwyta wiedziony potrzebą ocalenia, co mu nastręczy Opatrzność.

Przez chwilę po zajęciu miejsc toczyła się jeszcze rozmowa o przypadku, którego bohaterami byli Hänschen i Wolski. Nieszczęśliwego Kajetana wszyscy bombardowali tytułem barona, który padał na niego jak kamień. Dniem wprzódy wypraszał się od tego najusilniej u młodego przyjaciela — nic to nie pomogło... musiał baronostwo i frak pożyczany znosić razem. — Jedna Hełma jakoś umiejętnie unikała tytułu, za co jej prawdziwie był wdzięcznym.

Nie rychło rozmowa z ogólnej zaczęła przechodzić w podzieloną. Wolski znalazł się na chwilę przy Helminie, która bardzo śmiało i zręcznie pytała go o życie w Berlinie i naukę. Przez brata dosyć była oswojoną z temi przynajmniej obyczajami burszowskimi, o których pannie wiedzieć się godzi; zajmowało ją nawet to bujne

i rzeźwe rozwijanie się młodzieży, puszczającej cugle fantazyi i umiejącej podołać razem nauce i zabawie, książce i światu. Zdziwiła się gdy Kajetan, który wcale innym się (mimo fraka) wydawać nie chciał niż był w istocie, odpowiedział jej, że żył zupełnie odsunięty od wspólnych i tłumnych zabaw młodzieży, nie należąc do żadnej z nacyi uniwersyteckich i pędząc czas w bardzo szczupłem kółku znajomych lub nad swojemi książkami.

Helmina wyraziła swe podziwienie. Z tego tematu wszczęła się rozmowa o młodości i poezyi. I tu dwie istoty z dwóch tak różnych światów — jak niemiecka panna i ubogi polski chłopak znaleźli się z odmiennemi zupełnie wyobrażeniami; ale Kajetan miał tę wyższość nad nią, że niemiecka literatura, życie, pojęcie przyswojone zupełnie obcemi mu nie były, a to co wyniósł z rodzinnego domu, dopełniało i prostowało jednostronne poglądy germańskie, gdy panna o całym tym słowiańsko-polskim, dzikim — według pojęć ich — świecie — miała zaledwie powierzchowne, mętne i bardzo niedostateczne wyobrażenie. Wolski wydał się jej dziwnie oryginalnym i zajmującym jak studyum nieznanej książki. — Helmina była chciwą wiedzy... młodzieniec obudził w niej ciekawość. Czegoś

podobnego nie spotkała jeszcze. Mówił doskonale po niemiecku, ale ideami polskiemi, które czasem jak stal brzęczały, czasem błyskały jak ogniki, czasem przeciągały jak mgły sine, z poza których czarowne migają krajobrazy. — Rozmowa więc stała się niezmiernie ożywioną. Wmięszał się do niej Hänschen i gwarzyli dosyć wesoło. Oczy pięknego dziewczęcia jakby akompaniamentem cichej muzyki towarzyszyły słowom. A jak zwykle u młodych bywa... polecieli wszystko troje pod niebieskie stropy, zaczepiając jak o gwiazdy o najwznioślejsze zadania ludzkości.

Szczęściem dla nich, aby im nie dać zalecieć zbyt daleko, skąd powrót na ziemię jest trudny — najęty kamerdyner otworzył drzwi jadalnego pokoju i pani radczyni poprosiła na wieczerzę. Nie wiem, jak się to stało, że Wolskiego posadzono między siostrą i bratem...

Wieczerza wzięta z restauracyi — przynajmniej co do zewnętrznej swej fizyognomii — była wcale wytworną.

Wina stały we flaszkach, których korki ze srebrnymi główkami wyobrażały jakieś fantastyczne istoty. Na bokach butelek lśniły etykiety chromolitografowane tak przepysznie, iż gdyby Wolski miał cokolwiek doświadczenia, to jednoby mu dowio-

dło, że — nic nie były warte. — Wszystko razem wzięte udawało przepych pański... nieumiejętnie naśladowany — ale dla Kajetana wydawał on się rzeczywistym i najpierwszej wody.

W pośrodku stołu w dwóch koszykach mocno zużytych, lodem otoczone panoszyły się dwie butelki niemieckiego szampana. Radca był uszczęśliwiony, czuł, że baronowi polskiemu swoim revanschem zaimponował, wprawiało go to w tak dobry humor, że oczy syna musiały ciągle stać na straży ust ojca, ażeby bąka jakiego nie wystrzelił.

Jak się to najczęściej trafia, że gdy człowiek wielce się czego lęka, to właśnie sprawi mu przyjemność, a gdy się czego z upragnieniem spodziewa, trafia na zawód bolesny — wieczór upłynął nieskończenie milej i łatwiej, niżby Kajetan mógł przypuszczać.

Pastor był człowiek oczytany, miły i łagodny — kupcówna skromna, ale dobrze wychowana panienka, bursz zwykle zuchwały, w domu rodziców dochodził prawie do ugrzecznienia, a Helmina zachwycającą się wydała Kajetanowi.

Była zawsze niepospolitą istotą, ale tego dnia jakieś dziwne usposobienie spotęgowało jej wdzięki, dowcip, wszystko, czem

ją obdarzyła natura. Rodzice nawet znajdowali ją niezrównanie świetną.

Nie było to wyszukane, wymuszone, przygotowane umyślnie na pokaz — była mimowoli w tym blasku, płynącym z duszy i niezrozumiałym dla niej samej. Wolski słuchał jej zachwycony... Była śmiałą, wesołą i potęgą jakąś opanowała ster rozmowy — zaćmiła wszystko, co ją otaczało.

Ojciec był z niej dumny, brat podzielał jej tryumfy i dopomagał do nich, reszta rodziny słuchała w milczącym podziwie. Właściwie ona, pastor, Hänschen i Wolski wiedli rozmowę, która coraz się wyżej nastrajała. — Radca komercyjny sam uznał, że na tak wysoko rozciągniętej linie — dla niego taniec był niebezpieczny, mięszał się więc tylko cichemi uśmiechy i znakami potwierdzającemi.

Wino otworzyło usta jeszcze, rozjaśniło humory, nadało więcej swobody myśli i słowu.

Przy pieczystem radca komercyjny wniósł toast za zdrowie szlachetnego wybawcy syna i z uczuciem tryumfu oznajmił mu, sądząc, iż nadzwyczajne wywoła wrażenie i wdzięczność — że wysokie ministerstwo, przyczyniając się do prośby jego, raczyło obdarzyć i p. barona von Wolski medalem

5*

za uratowanie człowieka do noszenia na wstędze... orderu jakiegoś...

Wolski kłaniając się pobladł i zmięszał niezmiernie, wzięto pomięszanie za wyraz uradowania; radca komercyjny ubolewał tylko, że pewne formalności nie dozwoliły mu natychmiast wręczyć tej zasłużonej ozdoby młodemu tryumfatorowi...

Nastąpiły serdeczne powinszowania i Wolski uczuł się dopiero teraz należycie skonfundowanym. Że jednak miał to być dlań ze wszech miar wieczór szczęśliwy, więc los i długiego trwania tej konfuzyi nie dopuścił. Stało się coś niespodziewanego.

Baron von Liebenthal, którego nie proszono na tę fetę familijną, mający jednak wogóle wolny wstęp do domu, w wielkim uniformie wracając z zamku wstąpił do państwa von Riebe. Być bardzo może, iż ciekawy był... że niespokojny, że się dnia tego domyślał, lub o nim dowiedział.

Zrazu radca spojrzał na żonę zafrasowany nieco, ale tajemniczy znak przez nią dany a oznaczający, iż pieczystego, ciasta i wina dosyć było jeszcze — wnet go uspokoił.

Świetnie teraz wyglądał gwardzista w pełnym mundurze, ordery na piersiach, w ręku hełm połyskujący. Musiało mu się

zdawać, że występował jako zwycięzca bez walki... Veni, vidi — vici... Mundur pełny czynił na nim to wrażenie, że w zwykłym krygując się śmiesznie, w nim rzucał się, trząsł, poruszał na sposób Poliszynela... Było to coś, co się opisać nie daje, ukłon jakby się łamał, w rozmowie rzucanie rąk, nóg i dźwiganie szlifów na ramionach i potrząsanie piersią i obracanie głową — wszystko to przy sztywnie wyprostowanej postawie — sprawiało wrażenie nieopłacone! Tego wieczora czy był już po militarnym jakim ponczyku, czy tak uszczęśliwiony recepcyą doznaną — czy z siebie zadowolniony — czy zaćmić pragnąc filistrów — baron von Liebenthal grał rolę junkra pomorskiego czy meklemburgskiego jak wirtuoz niedorównany.

Zasiadłszy krzesło wnet oczyma i pytaniami rzucił się na Helminę.

Spojrzał zdala na zaprezentowanego mu Wolskiego jako na małe stworzonko zniknąć mające w jego blasku i puścił się w głośną, dowcipną berlińskim akcentem rozmowę.

Jest to pewnik doświadczeniem wieków stwierdzony, że wchodzący w towarzystwo rozbawiono człowiek nowy bardzo rzadko trafia na ton właściwy.

Jest on jak opóźniony skrzypek... co instrumentu nie mógł do orkiestry nastroić. Rozmowa była dosyć już wybujałą, gdy gwardzista wpadł na nią z brukową kroniką i piękne kwiaty stratował bez miłosierdzia. Wszyscy zamilkli i sam on zmiarkować musiał, że zaintonował fałszywie. Ocaliło go pieczyste, które mu postawiono wraz z kieliszkiem madery i szampana.

Radca przysiadł się do niego... został pastor; kupcówna, kuzynek szukający cienia, Helmina, Hänschen i Wolski wysunęli się do salonu, gdzie uproszona do fortepianu piękna panna zanuciła głosem sympatycznym i pełnym wyrazu Schumanowską pieśń:

Mein Herz ist betrübt
Ich sag' es nicht —
Mein Herz ist betrübt um Jemand...

Wdzięczny głos zabrzmiał po salonie... a po pierwszej piosence nastąpiła druga Schuberta a potem jakaś fantazya na fortepianie.

Wolski, który bardzo lubił muzykę, choć zajmować się nią nigdy nie miał sposobności ani czasu, czuł się do głębi poruszonym tym dźwiękiem dziewiczych piersi, który rozbudza w sercu wszystkie śpiące marzenia. Helmina śpiewała jak mówiła bez przymusu, z prostotą, naturalnością,

która śpiew jej jeszcze milszym czyniła Ile razy słowa i muzyka potrąciły o wiekuistą ludzką tęsknicę... brzmiała pieśń wyrazem głębokiego uczucia. Zdawało się, że temu szczęśliwemu dziecięciu radcostwa komercyjnych, dziedziczce stu tysięcy bitych talarów pruskich, otoczonej wszystkiem, czego tylko mogła zapragnąć — brakło jednak wśród prozy żywota, oprawnej w suto złocone ramy, czegoś, coby sercu i duszy czyniło zadość.

W pieśni najmniej było wesela.

Baron von Liebenthal, który zawsze odgrywał rolę entuzyasty przy muzyce Helminy, tym razem jeść musiał kotlety z akompaniamentem śpiewu zdala od ideału... i rozmawiać z radcą komercyjnym o nierozsądnem wznoszeniu się cen na wiktuały i paszę dla koni.

Wolski zapomniał zupełnie o godzinie, w salonie nie było widomego zegara. Obiecywał sobie nie przesiadywać dłużej nad dziesiątą. Klucz od głównych drzwi miał wprawdzie w kieszeni, ale pieszo potrzeba było iść ogromny kawał drogi.

Muzyka się przeciągnęła — spojrzał ukradkiem na swój srebrny, skromny zegareczek, nie odpowiadający ubraniu i przestraszył się, bo wskazywał już pół do jedenastej.

Hänschen, który to dostrzegł, szepnął mu na ucho, żeby się nie spieszył i nie frasował, bo — choć deszcz począł lać jak z wiadra — każe mu doróżkę sprowadzić.

A! w istocie doróżka dla pożyczanych sukni stawała się nieuchronną, ale kasa — kasa Wolskiego jakże strasznie ucierpieć miała. W ostatnich dniach od tego nieszczęśliwego wypadku zapożyczył się był u Richterowej do dziesięciu talarów... a skąd było wziąć, aby je oddać? Matce od ust odejmować? Wolski wolałby głód cierpieć, niż prosić ją, wiedząc, że mu i tak daje więcej niż może, sobie na starość, przy chorobie nie zostawiając nic nad nieuchronnie potrzebny chleba kawałek.

Smutne te myśli przeciągnęły jak chmura... nowa piosnka ozwała się i Kajetan zapomniał o wszystkiem. Czarodziejka nakoniec wstała, przyszła do niego i zaczepiwszy go o coś, chodzić z nim zaczęła po salce.

Byli sami, bo Hänschen poszedł do barona. Helmina z poufałością niemal dziecięcą usiłowała się zbliżyć do Wolskiego. Udało się to łatwo, oczarowała biednego chłopca... ożywił się i przez ten krótki przeciąg czasu dał jej się poznać lepiej. Zdawała się tego pragnąć.

Spytała go o rodzeństwo.

Wolskiemu nie wiedzieć, dlaczego pilno było wypowiedzieć jej wszystko o sobie i nie zwodzić jej ani swem baronowstwem, ani elegancyą. Przed nią w pożyczanych nie chciał stawać piórach.

— Mam tylko matkę — rzekł żywo — dobrą, drogą, ukochaną matkę... jestem ubogim sierotą. Nikogo więcej na świecie... Dla niej więcej niż dla siebie chciałbym co prędzej dobić się czegoś na świecie... niezależności... Tytuł, który mi tu państwo łaskawie dawać raczycie, nie należy mi się wcale. Jestem szlachcicem polskim jak tysiące innych... Rodzina moja była uboga, a w ostatnich czasach i z tegośmy wiele stracili... Nadzieja matki na mnie... a moja w pracy.

Helmina słuchała, nie zdając się wcale rozczarowaną.

— I obrałeś pan sobie medycynę? — zapytała.

— Tak pani, bo przez nią ludziom być można użytecznym, wiadomości nabywa się wiele.., a doktor jest najpotrzebniejszy i najłatwiej mu na skromny kawałek chleba zapracować.

Panna spojrzała nań z żywem zajęciem.

— Jaki to urok ma dla mnie — odezwała się — ta śmiała walka z losem...

to dobijanie się przyszłości o siłach własnych...

Gdybym była mężczyzną — wolałabym takie położenie, niż gotowy chleb i los. Jest coś godnego człowieka samemu sobie przyszłość i położenie w świecie stworzyć.

— Tak — dodał Wolski — i ja to czuję, lecz jeśli się do tego łączą ofiary i niepokój tych, których się kocha — pragnęłoby się dojść co prędzej do mety.

Panna spytała go, gdzie mieszka matka, troskliwie zaczęła go badać o jej zdrowie, o wiek... Zajęło go wielce to okazane mu współczucie.

W przeciągu pół godziny zbliżyli się i poznajomili, możnaby powiedzieć, spoufalili więcej, niż całego wieczora. Helmina miała czas jeszcze szepnąć mu, żeby o nich nie zapominał, żeby przyjaźń zachował dla jej Hansa.

— Hänschen — rzekła — dobry, poczciwy chłopak, ale mu życie płynie łatwo i on je z braku walki często tak szalenie wyzywa, jak tego dnia... który pan o mało nie przypłaciłeś życiem... Wpływaj pan na niego — zbliż się — stań mu się przyjacielem — serce ma dobre.

W czasie tej miłej rozmowy baron dojadł wieczerzy, dopił wina i całe towa-

rzystwo wyszło do salonu... Wolski niespokojny chwycił za kapelusz.. Hans kazał mu się jeszcze zatrzymać, pókiby nie znaleziono doróżki... bo deszcz lał ciągle.

Na ogólnej już rozmowie upłynął ten kwadrans ostatni... Hans skinął, iż dorożka stała u drzwi, Wolski jak najczulej pożegnał gospodarzy, dziękując im, oni jemu. Helma podała mu rękę, zapraszając głośno, aby ich odwiedzał często, co rodzicom może nie bardzo było do smaku... i Wolski znalazł się w przedpokoju...

W tejże chwili baron von Liebenthal, wyszastawszy się i wykłaniawszy, wyszedł przodem.

Gdy Wolski, przebywszy trochę ciemne wschody, znalazł się na dole — w porę właśnie nadążył, by usłyszeć, jak siedzący w jego doróżce gwardzista komenderował woźnicy:

— Dorotheenstrasse 21.

Doróżka zaturkotała a Kajo został bez parasola na deszczu, myśląc co ma począć nie z sobą, ale z garderobą Ryszarda.

W trzy miesiące po opisanych wypadkach Wolski siedział wieszorem przy lampie w swojej izdebce zadumany... zziębły mimo odzieży, którą się obwijał — blady i smutny.

Przed nim leżała roztwarta Fizyologia i notatki do niej... ale na rozrzuconych kartkach... widać było roztwarty list... na którym spoczywały jego oczy wlepione nieruchomie — list kobiecą pisany ręką, po niemiecku... Drobnym i pięknym charakterem jak sznureczkami plecionemi udatnie zasypana była cała ćwiartka na wszystkie strony... ćwiartka welinowa, biała, lśniąca, na której górnym brzegu misternie związana cyfra łączyła w sobie dwie głoski W. i R. szlachecką pokryte koroną.

Kajetan czytał i odczytywał zadumany, pogrążony, smutny jak noc... smutny jak dzień pogrzebowy. W okna bił wicher wczesnej wiosny, która się jeszcze mogła zimą nazywać... w domu panowała cisza

ponura... w izdebce przejmujące zimno jak na dworze a od okna chwilami dął jeszcze chłodniejszy wiatr...

Dosyć było spojrzeć na Wolskiego, ażeby odgadnąć, że mu na świecie było tak strasznie ciężko, tak okrutnie smutno, tak nieporatowanie i rozpaczliwie źle, iż nie wiedział, co pocznie z sobą. Siadał na chwilę, patrzał na ten list, czytał go, odsuwał, chodził znowu, naostatek schowawszy go do szufladki stolika, rzucił się w róg starej sofki, podparł na dłoni i zadumał.

Stuknięcie do drzwi, którego się mógł spodziewać, bo wprzódy daleko słychać było chód po schodach, ale tego nie uważał zamyślony Kajo — przestraszyło go tak, iż się zerwał cały drżący i chwycił za głowę. Wzrok jego padł naprzód na stolik, bo nie był pewnym, czy list schował — i dopiero słabym głosem chciał się odezwać, aby wszedł ten gość wieczorny... gdy nie czekając pozwolenia, wtoczył się płaszczem obwinięty garbus.

— A niechże ich z tym berlińskim klimatem!... Na podwórzu choć psy goń! Ale ba! i u ciebie widzę nie palono.. czy co?

— Nie palono... późno... wkrótce pójdę spać — węgla nie ma... kłopot... dzwonić... prosić... — rzekł Wolski.

Garbus nie zdejmując ani kapelusza ani płaszcza, wzdychając, usiadł na stołku. Popatrzał na towarzysza i głową pokiwał.

— Coraz gorszy z ciebie desperat — rzekł. — Proszę cię, powinienbyś ze mnie brać przykład. Nie mogę tego zataić ani przed sobą ani przed światem, że jestem odrobinę garbaty... jestem goły — nauka mi idzie nierównie ciężej niż tobie... żadna Niemka (tu chrząknął) nie zakochała się we mnie, coby mi mogło urozmaicać przyjemnie egzystencyę, mam długi, perspektywa egzaminu nie pocieszająca, a spojrzże na mnie, wyglądam raźniej i weselej od ciebie.

Pfe! pfe! i dziesięćkroć pfe! Należeć chcesz chyba do tej kasty ludzi, którzy żywota nie widzą i nie czują nic jak jego nędzę. Zgadzam się na to, że życie najpiękniejsze ma zawsze damoklesowy miecz zawieszony nad sobą, ale jak skoro jest co nieuniknionem, człowiek rozumny i silny oswaja się z tem i nie stęka. Stękanie na nic się nie zdało a nudne jest dla drugich i dla siebie. To dzieciństwo. Dzieci tylko płaczą i lamentują, mężczyzna szuka środka do zaradzenia złemu a, jeśli go nie ma, po rzymsku zawija się w płaszcz i powiada losowi — za pozwoleniem — kpie

losie, bij — i niech cię kaci porwą. Możesz bić ale jęku mojego nie posłyszysz.

— Albo ż ja jęczę? — odezwał się Kajo.

— Twarzą, postawą, oczyma — powiadasz, żeś nieszczęśliwy, a nieszczęśliwym być nie powinieneś.

Wolski się gorzko uśmiechnął, założył ręce na piersiach.

— Cóż dalej? — zapytał.

— Żal mi cię — rzekł garbus — mówmy otwarcie, z kościami mnie znasz, spodziewam się, że w przyjaźń moją wierzysz a zwierzyć mi się z żadną swą biedą nie chcesz. Chociaż żaden z nas nie łatwo słucha kogo... zawsze lżej radzić we dwóch i podzielić się goryczą. Mów, co ci jest, bo jak nie powiesz... zgadnę.

— Ciekawym! — rozśmiał się Wolski i przeszedł z głową spuszczoną po pokoju.

— Nie wyzywaj, powiadam ci, mam oczy ostrowidza. Zgadnę...

— Cóż możesz odgadnąć? co! że nie mam ani grosza? że mam długi? że w piecu nie palę, bo węgla nie ma za co kupić?

— To są wszystko curae posteriores — odezwał się Wojtuś — z tegobyś ty się śmiał jak ja.

To mówiąc wstał, zniżył głos i począł seryo.

— Na sercu mi leżało od dawna, żeby się rozmówić z tobą. Czekałem, ażebyś ty rozpoczął, lecz widzę, że do tego nie przyjdzie nigdy — muszę sam palce włożyć między drzwi — ale z dobrej woli, żeby cię ratować. Nic mi nie potrzebujesz mówić, nie szpiegując wcale, łacno się było domyśleć wszystkiego. — Zrobiłeś jedno pierwsze głupstwo, żeś niepotrzebnie skoczył w wodę Niemca ratować! Co się było mięszać nie w swoją sprawę? Zatem poszło, żeś się z całą dostojną poznał rodziną, że w rodzinie znalazła się bardzo piękna panna. Nie przeczę, piękna, mówią, że rozumna, przypuszczam, że anioł dobroci — ale — Niemka.

Grzech pierworodny nie zmazany nigdy i niczem... Zakochałeś się w niej, zakochała się w tobie i brniesz po uszy w sentymencie, z którego wypłynąć na suchy brzeg nieskończenie trudniej niż z mętnej i smętnej Sprei. Hier liegt des Pudels Kern.

Rodzice panny świeżo uszlachceni i bogaci córki takiemu jak ty biedakowi nie dadzą; matka, którą kochasz, gdybyś jej, nie wiem, jak bogatą przyprowadził synowę, nie umiejącą po polsku, będzie rzewnemi płakała łzami... ty sam nie wiesz, jakby ci było wchodząc w ten świat, któ-

rego nie znasz, z którymbyś związać się musiał a który ci nie przebaczy tego, żeś się urodził Polakiem. Oto twoje położenie...

— Skądże wiesz? jakże możesz... — przerwał gwałtownie Wolski.

— Nie zaprzeczaj mi, tak jest — dodał Wojtuś. — Co się nawarzyło, trzeba wypić. Ale w położeniach tego rodzaju na heroiczne lekarstwo zdobyć się potrzeba... Napisać rozpaczliwy list z pożegnaniem do pięknej panny, zapakować tłumoczek i przenieść się z resztą medycyny do Halli lub do Lipska, aby pokusę z oczu stracić...

Wolski słuchał — westchnął, milczał chwilę... z trudnością dobyło mu się wreszcie z piersi:

— Rozpaczliwe położenie...

— Tak! nareszcie się przyznajesz...

— Ale ja ją kocham — zawołał Kajo gorąco — ale ona mnie kocha — nasze dusze się rozumieją.

— Wiem, wiem... wiem... daj ty mi z tem pokój... stare to dzieje... będzie bolało, lecz lepiej odboleć chwilę, niż męczyć się całe życie... Na co to roić próżno? Wiem od Hänschena, który mi to nie pytany powiedział, że rodzice przyrzekli siostrę jego baronowi Liebenthal... tobie jej nie dadzą.

Masz z Niemcami do czynienia — pamiętaj. Gdybyś pannę wykradł, zrobią ci proces i wsadzą do cuchthausu, pannę bądź co bądź odbiorą i jutro baron się z nią ożeni... a matka umrze z żalu i ze wstydu.

Wolski milczał znowu... począł się przechadzać po pokoju.

— Masz słuszność — odezwał się ochrypłym głosem po chwili — masz słuszność — rozum mówi przez twoje usta... ale rozum bywa głupi... gdy idzie o serce.

— Pięknie powiedziano — ale nie do rzeczy — ozwał się uparty Wojtuś. — Rozum trzeba mieć zawsze. Jeszcze jedno przypuszczenie. Wykradasz pannę... Baron Liebenthal zrzeka się raz już kradzionej, rodzice ci ją zostawiają — lecz... radca komercyjny — na to jest radcą i komercyjnym, ażeby rachował, zyskuje na tem posag panny i zostawia was waszemu szczęściu sielankowemu bez złamanego szeląga. Co dalej? panna czyta, gra i śpiewa, ale szyć ani na maszynie ani bez maszyny nie umie.. istota idealna... Ty jeszcze nie masz patentu i marzniecie oboje w nieopalonej izbie, co doświadczona rzecz, wymraża wszelką miłość najidealniejszą.

Szybko skończywszy mówić, Wojtuś, który zmarzł, bo w izdebce zimniej może

niż na dworze, począł chodzić i trzeć ręce — parę razy się wzdrygnął i nie mówiąc słowa ani się żegnając wyszedł.

— Wracam natychmiast — rzekł w progu.

Wolski jak stał z założonemi rękami w środku pokoju, ze zwieszoną na piersi głową tak pozostał — zdawał się skamieniały.

Po krótkiej chwilce powrócił Wojtuś, a za służącą chustką wełnianą otulona Richterowa.

— Otóż to widzi Herr von Wolski, na co mnie... compromittirt... Ludzie pomyśleć, że ja panu nie chcę kredyt dać na jedny mizerny Korb Steinkohlu. Pan jest nie dobry... pan jest niewdzięczny, Herr von Wolski... jak można z pańskie zdrowie chcieć marznąć... a mnie taki Kummer zrobić...

Wolskiego ten czuły macierzyński głos poruszył, zbliżył się, chwytając za rękę panią Richterową.

— Pani szanowna—rzekł—ja i tak nadużywam dobroci waszej, jestem wam dłużny...

— No to co? to mi pan kiedyś to oddasz — poczęła gestykulując żywo gospodyni. — 's geht nischt!... pfuj! To jest nie ładnie...

Zbliżyła się do pieca, szepcąc coś służącej i wyszła...

W piecu się zaczynało już palić... była choć nadzieja, że się kiedyś ociepli, a że piec był starożytny, żelazny, nie potrzebował nawet na to wiele czasu...

Milczący jakiś czas stali przeciw sobie towarzysze, Wolski popatrzał na garbusa, wziął go za rękę i nie mówiąc słowa uścisnął ją.

— Poczciwy, dobry Wojtusiu... nigdy nie ratuj tonących z wody i tonącym jak ja nie podawaj ręki... bo co przeznaczone... to nie minie.

— E! co ma wisieć nie utonie! — rozśmiał się Wojtuś — bądź dobrej myśli — kochasz się — przekochasz... Miłość jak wszelka choroba przechodzi, niezmiernie rzadki wypadek, ażeby przeszła w stan chroniczny... Patologia uczucia naucza tej prawdy. — Jesteś młody...

— A to moja pierwsza miłość!

— Wiem, taka bywa najstraszniejsza, gwałtowna... lecz — wierz mi — najkrótsza... Znowu się zwrócę do teoryi, ogólne prawo bytu — co silne to krótkie...

— Tego prawa nie znam... nego!

— Uczy cię go proste wpatrzenie się w świat... a mów, co chcesz, prawa bytu i fenomenów są ogólne i jedne.

— Tak — mówił cicho Kajo — można przekochać się, ale można i umrzeć.

— Jak Werther i Kleist... zgadzam się na to. Ale jabym takich kochanków chował na cmentarzu przy domu waryatów... Miłość jest tak wyśmienitą rzeczą, że kochać się, nawet bez nadziei, dla samej satysfakcyi kochania... nieopłacone szczęście, a ci zabijają się dlatego, że... osły!! »Płomień ich nie może być uwieńczony«

Osły!! Samobójstwo takie jest zaprzeczeniem miłości samej lub dowodem, że to nie była miłość, ale fiksacya...

Kochaj się i — nie mówmy o tem... Niech Wilhelminę wydają za barona — ty się kochaj — niech żyje z nim... ty się kochaj — póki tylko możesz się kochać.

A! — westchnął Wojtuś, smutnie kiwając głową — gdybym ja umiał i mógł się kochać — w kim chcesz — w mężatce, mniszce... pannie, wdowie, rozwódce, osobie stanu nieokreślonego i określić się nie dającego, bylem się kochał... ale — nie mogę.

Mimowolnie zaczął się śmiać Kajo... choć był smutny...

— Dlaczego? — spytał.

Wojtuś wskazał swój garb...

— Na co mi się to zdało, kiedy żadna w świecie nie może mi »wypłacić się wza-

jemnością«. Jestem skazany na wiekuisty post serca...

Garbusowi zdawało się, że powinien był przyjaciela rozweselić i czarne jego myśli rozpędzić. Spojrzał nań, Wolski stał znowu pogrążony i jakby już nie wiedzący, co mówili i z czego się uśmiechnął przed chwilą.

Westchnienie głębokie wyrwało mu się z piersi.

— Wiesz — zawołał — wypowiedziano mi dom. Scena była przykra — jeszcze mi się zimno robi, gdy o tem pomyślę... Helma kazała mi przyjść pod jakimś pozorem... wiedziałem, że tam na mnie złem patrzą okiem posądzając, że nikczemnie korzystałem z ich obowiązków, jakie mają dla mnie, aby nie o córkę ale o posag jej się starać.

Cóż chcesz! ma to pozór taki w istocie! Jestem ubogi — ona bogata! Bóg widzi, że ile razy przyszło mi próg tego domu przestąpić, dreszcze przechodziły po mnie. Lecz Helma kazała, dla niej rzuciłbym się w ogień.

— I rzuciłeś się w istocie — w piekło... mruknął Wojtuś.

— W przedpokoju — kończył po cichu Wolski — spotkał mnie pan radca, sztywny, zimny, gniewny. Zobaczywszy mnie,

nie mówiąc słowa — ręką wskazał mi drzwi swojego gabinetu. Domyslałem się, co mnie czeka... Weszliśmy. Stary otworzył drzwi od drugiego pokoju, aby wyjrzeć, czyśmy sami. Nie prosił mnie siedzieć, zbierał się widocznie na wystąpienie urzędowe. »Musimy się z panem rozmówić, rzekł w ostatku odetchnąwszy. Widzi pan jestem ojcem — mam obowiązki. Nie mogę zaprzeczyć, żeśmy panu wiele winni — starałem się część mej wdzięczności okazać mu, wyrabiając oznakę honorową, której pan, widzę, nigdy nawet nie nosisz... Pan uczęszczałeś do mojego domu, który dlań był otwarty... ale się nie godziło z tego korzystać, aby mi córkę bałamucić. Tak! tak jest — bałamucić, powtórzył, widząc, że mu chcę przerwać — nie mogę tego inaczej nazwać jak bałamuceniem — bo — widzi pan, trudno przypuścić, abym ja mógł córkę moją, której sama edukacya kosztuje z piętnaście tysięcy talarów, wydał za studenta medycyny.

Sam pan mówisz, że nie masz nic, nawet tego baronostwa. Jakże to może być! jak to może być, abyś pan sobie to wyobrażał... Byłbym ostatecznie głupim i wyrodnym ojcem, bez wnętrzności dla własnego dziecięcia...

Więc, widzi pan — dokończył — Wil-

helmina wychodzi za barona Liebenthal... który odebrał znaczną sukcesyę i wkrótce będzie majorem... byle wojna, pułkownikiem... niechże pan jej nie kompromituje.

Milczałem, jak słup stojąc...

— Wiesz pan co — dodał radca — nie jestem człowiekiem bez serca, chcę panu okazać wdzięczność moją...

Tu się zawahał. — Pożyczę panu na prosty rewers bez procentu tysiąc talarów, abyś spokojnie dokończył nauki w Getyndze, w Bonn, gdzie pan chce.

Usłyszawszy to, odskoczyłem jak oparzony, skłoniłem się panu radcy i wyszedłem.

Wojtuś słuchał z wielką ciekawością oddech wstrzymując, tak go to zajmowało.

— Zdaje się — dodał Wolski po chwili — że mimo wyglądania radcy Helma była pod edrzwiami i całą rozmowę słyszała.

— Ha! tak... — mruknął Wojtuś — ale dla czegoż się tego domyślasz?

— Wnoszę z jej listu.

Mimowolnie prawie wygadawszy się z listem, Wolski sam siebie nastraszył i dłonią potarł niespokojny po czole.

— Pisujecie więc do siebie, tegom się domyślał. Żadna młodzieńcza miłość bez pióra i kałamarza obyć się nie może. Ko-

niecznie potrzebujecie się uwieczniać, choć w ten sposób...

Wojtuś zaczął się śmiać a Wolski, któremu to przykrość czyniło, zamilkł zachmurzony.

— No, mów dalej — słowo daję — uszanuję waszą miłość. Cóż pisze panna...

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Kajo się przechadzał po izdebce krokami wielkiemi i wzdychał. Tarł włosy rozrzucone, łamał ręce.

— Helma na wszystko gotowa — rzekł jakby sam do siebie — ona wie, że ojciec nie zezwoli na to małżeństwo. Zdaje się, że ma za sobą matkę.. Z matką nigdy nie mówiłem o tem. Gotową jest opuścić dom rodzicielski i iść ze mną w świat...

Wojtuś chwycił go za rękę gwałtownie.

— Szalony! zlituj się! nie mów mi tego! nie daj się wplątać... opamiętaj... Matka... kraj... przyszłość! Zgubionym jesteś człowiekiem, jeśli to uczynisz. Rodzina będzie bez litości... Ściągniesz na siebie nieszczęście. Otrząśnij się — uchodź! zaklinam cię...

Wolski stał, nie dając po sobie poznać, co myślał.

— Jest gorzej, niżeli sądziłem — począł garbaty — za dalekoście zaszli. Już nie o samego ciebie mi idzie, chodzi mi i o los

kobiety egzaltowanej, nieopatrznej, poświęcającej się, nie rozmierzywszy głębiny, w którą chce skoczyć.

Odepchnięta przez swoich, nieprzyjęta przez naszych, — ona także byłaby nieszczęśliwą. Nie wiesz, co to jest być przesadzonym w świat nowy lub oderwanym od wszelkich z ludźmi stosunków... Jestem starszy od ciebie... chłodniejszy od ciebie... Błagam cię, zastanów się bacznie. Za chwilę szału życia oddawać się nie godzi.

— Za chwilę niebieskiego szczęścia! — zawołał z zapałem ręce składając Wolski.

Garbus spojrzał nań, głową zaczął potrząsać, usta wydął i jakby stan ten uznał zrozpaczonym, rzucił się w krzesło gniewny i smutny.

Po namyśle zerwał się jednak z siedzenia.

— Słuchaj Kaju — rzekł zimniej — o jednąbym cię rzecz prosił, którą dla mnie uczynić możesz.

Wolski się odwrócił z pytającą twarzą.

— Rób, co chcesz — kończył Wojtuś — nie powiem nic — proszę cię o jedno, nie spiesz się, błagam cię — daj jej i sobie czas do rozmysłu.

— A jeśli ją naglić będą o wyjście za Liebenthala?

— O! nie frasuj się! jeśli nie zechce

wyjść, potrafi zwlec, choćby nie przyszytą falbaną. Kobiety są w takich razach nieskończenie zręczniejsze od nas. Potrzeba namysłu, potrzeba próby samych siebie. W chwili takiego szału nie widzi się nic, ona sama rozmyślać nie może.

Wolski się uśmiechnął dziwnie.

— Wierzę najmocniej, że cię kocha, że ubóstwia — i nie mogło być inaczej, przyniósłeś jej z sobą woń poezyi i ideału, gdy dotąd żyła wśród najobrzydliwszej prozy. Rozumiem, pojmuję, nie dziwuję się wierzę, ale zarazem błagam... Nie spiesz się...

— Wszakże o pośpiechu mowy nie ma, westchnął Wolski. Dla mnie on już dlatego jest niepodobieństwem, że — jak widziałeś — dodał, uśmiechając się smutnie, węgli nie było do pieca. Od trzech dni marznę w nieopalonej izdebce...

Dobył z pod szlafroka, którym był okręcony, nogę i pokazał Wojtusiowi but w ruinach...

Garbus się uśmiechnął, jakby go na ten raz ta nędza wielce uradowała.

Oddychał wolniej.

— No — rzekł — godzina późna, czas do domu, mam jeszcze coś pisać.

Podał rękę Wolskiemu.

— A propos — wtrącił — jest rzeczą

prawdopodobną, że będę musiał na kilka dni wyjechać do Lipska.

— Po co? — zapytał Wolski...

— Mam głupi interes studencki, nie warto i mówić o tem... Wrócę prędko, spodziewam zastać w dobrem cię zdrowiu... i może trochę ostygłego...

Powtarzam ci — kochaj się — nie mam nic przeciwko temu — platonicznie!... doskonale. Nie platonicznie! wola twoja... eterycznie czy somatycznie — ale nie żeń się na miłość bożą nie mając grosza przy duszy i to z dziewicą, która może być kolekcyą doskonałości i kompendium wszystkich cnót, ale rasa inna, plemię odrębne. Niemka! Niemka! Niemka! człowiecze, niech cię to przejmie zgrozą i trwogą i da ci jasnowidzenie przepaści, nad którą stoisz! Więcej nie powiem! — Dobranoc!

I drzwi zatrzasnął za sobą.

Garbaty Wojtuś mimo swojego usposobienia żartobliwego i ironii, z jaką się był zwykł wyrażać o wszystkiem, miał najlepsze serce. Zdawało mu się tylko, że się z niem wydawać nie powinien, że toby oznaczało słabość — krył się więc ze swoją dobrocią, jak drudzy z zepsuciem się tają. Dla Wolskiego miał przyjaźń starszego brata, a czując, że nieopatrzne chłopię potrzebowało opieki, nie wypuszczał go z niej nigdy. Nie narzucał mu się wiedząc, że toby wyegzaltowanego mogło podrażnić — lecz przychodził w porę i miał talent przemawiania do niego tak, że często go Kajo posłuchał. Oba byli rodziców nie majętnych synami. Ojciec Wojtusia przez całe życie profesorował w jednej z wyższych szkół w Poznańskiem, a że najrzadziej profesor coś dzieciom zostawić może oprócz wykształcenia, Wojtuś i jego siostra nie wzięli po rodzicach nic oprócz biblioteki, ruchomości i mało znaczącego kapitaliku, który Wojtuś szwagrowi w ca-

łości ustąpił z warunkiem, żeby mu procent od niego opłacał, dopóki medycyny nie skończy. Szwagier trzymał dzierżawę niewielką od proboszcza w..., szło mu nie ciekawie, procent przychodził bardzo nieregularnie. Wojtuś też lubił trochę żyć, stroić się i po cukierniach przesiadywać, choć się i uczył — stąd często talara brakło, ale się tem tak bardzo nie frasował.

Wyszedłszy od Kajetana, ręce w kieszeniach, zamyślony, garbus pociągnął spojrzawszy na zegarek do cukierni Spargnapaniego, gdzie, jak się zdaje — jeszcze któregoś z towarzyszów spotkać się spodziewał. W istocie, chociaż godzina była spóźniona, w drugim pokoju siedzieli jeszcze znajomi a między innymi par extraordinaire hr. Ryszard Lwie Serce. Był to kasyer wszystkich towarzyszów w potrzebie, pożyczali u niego zawsze a nie oddawali mu prawie nigdy, co tem mniej mu się czuć dawało, że nazajutrz nigdy nie pamiętał, czy kto co wziął u niego,

Zobaczywszy go siedzącego na kanapce ucieszył się Wojtuś i wprost poszedł doń, odciągając go na stronę.

— Chcesz spełnić dobry uczynek?

— Ale zawsze... — odparł Ryszard.

— Potrzebuję nie w swoim interesie, ale dla... kogoś... dla jednego z kolegów je-

chać koniecznie do Poznania a nie mam grosza przy duszy.

Ryszard chwycił za pugilares. — Wieleż potrzeba — zawołał

— Bylem miał tam i nazad do Poznania... i żeby w drodze z głodu nie umrzeć.

Ryszard rękę trzymał na pugilaresie.

— No — ale wieleż?

Wojtuś czuprynę tarł.

— Gdybym wiedział, że szwagra zastanę w Poznaniu.

— Rachuj, jakbyś go nie miał zastać, trzydzieści będzie dosyć? hę? Mam pieniądze.

— Aż nadto.

Ryszard schylił mu się do ucha.

— Ty jedziesz dla Kaja... przysięgam.

— Ha... może...

— Wszyscy mówią, że się żeni...

Wojtuś ruszył ramionami.

— Niech go Bóg uchowa! — zawołał.

— Panna jak anioł...! — Ryszardowi oczy zaświeciły. — A! jaka piękna!

— A widziałeś hrabia ojca, jaki brzydki? — spytał Wojtuś wzdychając.

Po chwilce poszeptawszy rozeszli się.

Wojtuś zniknął. Nazajutrz nie było go w Berlinie a towarzysz, który stał z nim razem, mówił, że ma silny katar i lekarz mu przez dni kilka wychodzić zakazał.

Wieczorem nazajutrz poczciwy garbus był już w Poznaniu, lecz, że pora nieco mu się zdała spóźnioną, odłożył do jutra zajęcie, przekąsił po spartańsku i spać się położył. Wielka rezygnacya i chłodna krew dozwalały mu usnąć nawet, gdy miał najsilniejsze zmartwienie.

Nazajutrz wyszedł wcześnie z domu a nie chcąc być widzianym, bo miał tu mnóstwo znajomych — bocznemi uliczkami udał się na Chwaliszew. Tu w małej obrukanej kamieniczce, której dół szewc, właściciel jej zajmował — wszedł już był do sieni i miał ciągnąć dalej na wschody, gdy z bocznych drzwi w skórzanym fartuchu, wełnianej czapeczce i ogromnych okularach mosiężnych na koniec nosa spuszczonych, w pantoflach z butów wykrojonych zastąpił mu drogę nie młody mężczyzna wesołej twarzy. Mijając garbusa, podniósł okulary, popatrzył nań chwilę i zawołał...

— Pan Jezus przy dziecięciu... Pan Wojciech! a pan tu co robi?

— Tsyt... jestem incognito, panie Zarwański... proszę mnie nie nazywać po imieniu.

Szewc wielkiemi oczyma nań patrzał.

— Cóż to pana za przygoda spotkała? I pilno gołemi oczyma, okulary obniżywszy, patrzył na przybylca.

— Nic... nic... mam tu interesik...

— Do kogo?

— Wszak pani Wolska tu mieszka?

— A jakże! na drugiem piąterku... poczciwa kobieta. Szanowna osoba... tak — tak... Czy nie z synem jaka biedą? hę? To zawsze był szałaput...

— Nie — nie — to mój własny interes.

— Ale pan jej teraz nie znajdziesz, bo chodzi regularnie co dzień na ranną mszę do Tumu.

Szewcowi bardzo się czegoś chciało dowiedzieć a Wojtusiowi jak najmniej mówić.

Pożegnali się.

— Nie bez kozery! — mruknął Zarwański do siebie.

Garbus był nie rad, że go wyszpiegowano. Poszedł na górę. Pierwsze tylko piąterko i szumnie drugiem nazwane poddasze zawierała kamieniczka. A że między sklepami na dole a wielkiemi oknami piętra było coś w rodzaju entre-solu — poddasze liczyć można było śmiało za trzecie.

Schody drewniane, rozchwiane, nie były ani wygodne ani piękne... Zwężając się ku górze, stawały się coraz gorsze... Mieszkanie znał zdawna garbus, bo wdowa oddawna je też zajmowała. Drzwi znalazł zamknięte na klucz i nie prędko się do-

stukał. Służąca była sama, wyszła do niego ze szczotką na ramieniu.

— A kogo to panu potrzeba?

— Pani Wolska?

— Pani Rejentowa na mszy św. — o tej godzinie zawsze u fary...

— Długoż to potrwa?...

— Bóg święty wiedzieć raczy, może będą suplikacye i Przed oczy...

Ruszyła ramionami.

— Albo to ja mogę obrachować.

— Moja panno — odezwał się Wojtuś — jestem dawny pani znajomy, przynoszę jej ukłon od syna... dajże mi gdzie spocząć, póki nie nadejdzie...

Z pewnem niedowierzaniem przypatrzywszy mu się, sługa milcząc zaprowadziła go do obszerniejszej izby, podała mu krzesło i odezwała się głosem nakazującym:

— Tylko niech pan nic nie przewraca, bo się jejmość gniewa za to... a potem powie, że ja...

Wojtuś się rozśmiał i obiecał być grzecznym.

Miał czas przypatrzeć się ciekawemu pokojowi Rejentowej, który mu dawne przypominał lata, bo się w nim nic nie zmieniło od wieku. Czyściuchno tu było ale ubogo. Podłoga wymyta, dwoma drożynami z szarego płótna zasłana... w ma-

łych oknach firaneczki białe misternie ułożone, przy jednem z nich klatka z dwoma kanarkami... Pod ścianą stolikowy fortepianiczek, jakaś pamiątka nieużywana teraz ale poszanowana jeszcze... Stare kanapki nowemi siatkami pookrywane nie dla oszczędzenia ich, — ale dla osłonięcia ubóstwa. — Na stoliku kilka książek pobożnych w wielkim i systematycznym porządku. Między oknami na pułeczce trochę filiżanek i szkła. Ściany zdobiły spłowiałe rysuneczki, stare daguerotypy i w ramki oprawne włosy, pod któremi stały daty zagadkowe dla obcych, wiele mówiące dla właścicielki: wszystko tu oznaczało skrzętnie tajone ubóstwo i oszczędność. Wojtuś zamyślił się nad życiem kobiety, którego ostatki dopędzała tu samotnie, między wspomnieniami tego, co znikło, i nadzieją jakiejś przyszłości... Czuć jednak było religijny spokój w tym bycie zrezygnowanym i cichym. A on przybył tu — ażeby ażeby niepokój i postrach przynieść z sobą.

Zawahał się nieco. Miałli powiedzieć wszystko, z czem przybył, lub zmilczeć? przyjechał dla tego umyślnie — a wahał się jeszcze.

Miałoli to pomódz? a jeśliby nie pomo-

gło, pocóż truć kilka godzin spokojnych krótkiego życia biednej kobiecie?

Na ścianie uśmiechał się wizerunek Kajetana w latach młodzieńczych, z odłożonym kołnierzykiem, z puklami włosów na ramionach.

Profesor rysunku zrobił go był dla wdowy, bo chłopczyk był bardzo ładny. Kajetan jeszcze teraz zachował te rysy niemal dziecinne, jak w duszy całą naiwność dziecięcia. Po cóż ze swym chłodnym rozumem miał on się tu wciskać... nie mogąc ręczyć, czy widział jaśniej nim niż Wojtuś sercem?

Im dłużej patrzał... tem niepewność mocniej go dręczyła.

Pod oknem na stoliczku leżała zwinięta porządnie siatka, okulary i książka. Zdało mu się, że widzi Rejentową w białym czepku zadumaną nad robotą o swoim Kaju.

Powiedział sobie, że denuncyacya na nicby się może nie zdała a przyczyniłaby łez i niepokoju... Słowem, siedząc tak pod piecem podparty, spostrzegł dopiero, że może jechał zupełnie na próżno i że powinien był wszystko to wcześnie rozważyć. Ale naprawdę dopiero widok tego pokoju — wprawił go w to zwątpienie.

— Na drugich gderzę — a jakie też ze

mnie samego dziecko! Dopiero tu zebrało mi się na rozwagę!! Zdaje mi się, że Rejentowej nic nie powiem, podróż wezmę na własnego głupstwa rachunek i wrócę jak niepyszny ze wstydem.

Cóżby pomogło oznajmić jej wcześniej o tem, co się być zdaje nieuchronnem? Maż ona tyle siły i przewagi nad synem, aby powstrzymać go mogła? Co znaczy najboleśniejszy wyraz matki przy jednem spojrzeniu kochanki...? Życie ma ostateczności obrzydliwe i straszne.., rzeczywistość najpoetyczniejsza może być nielitościwie, okrutnie, zbójecko ohydną!! To matka, tamta obca... tu obowiązki, tam fantazya... ale to przeszłość a tamto obecność i życie...

Marzył tak garbus, gdy w drugim pokoju usłyszał szelest i szepty... a potem ujrzał prędkim wchodzącą krokiem Rejentową, ubraną bardzo skromnie ale zarazem starannie... Rejentową, która doń obie wyciągała ręce, uśmiechając się radośnie.

Pani Rejentowa nie była bardzo starą, miała lat pięćdziesiąt kilka, ale znać na niej było chorobę, znużenie i smutek wdowieństwa. Twarz jej wyżółkła i tęgo marszczona typem przypominała Kajetana, lecz życie nie rozwinęło jej do takiego blasku i siły. Zdało się, że w połowie niedokoń-

czone rysy, tworząc się, stężały i zamarły. Kajetan był podobny do niej, ale rozkwitły i rozwinięty. W ustach miała uśmiech łagodny, na czole wypogodzonem rezygnacyę chrześcijańską. Mimo wieku zachowała coś w sobie z panieńskiej skromności i obawy.

— Jakże się pan ma, panie Wojciechu — zawołała drżącym od radości głosem, — a! jakiżeś dobry, zacny, żeś też o mnie nie zapomniał. Cóż mi o Kaju przywozisz? List? nieprawda?

— A! nie! wyjechałem nagle — potrzebowałem się widzieć ze szwagrem. Chwilowo tylko na lekcyi Kaja widziałem, prosił mnie, bym rączki pani ucałował...

— Ale zdrów?...

— Zdrowiuteńki...

— Jakże mu idzie?

— Doskonale... wybornie...

Wdowa usiadła i przysunęła krzesło blisko siebie Wojtusiowi.

— A! żeby pan wiedział — odezwała się wzdychając — jak mnie nieraz niepokój o niego opanowywa... od czasu, jak za tym Niemcem wpadł do wody, zawsze mi się Bóg wie co roi. Zdaje mi się, że mam przeczucie, że widzę niebezpieczeństwo... trwożę się, modlę i nie łatwo pozbyć mogę tych wrażeń.

Złożyła ręce na kolanach i wpatrując się w Wojtusia, siedziała milcząca.

— Kajo chwała Bogu zdrów... nauka idzie dobrze...

— Czy ma on tam wszystko, co mu potrzeba? bo nigdy o nic nie poprosi! Pracując tak przynajmniejby na niczem zbywać mu nie powinno, a tu często tak trudno... dostarczyć.

Zarumieniła się, oczy spuszczając.

— A! proszę pani — odezwał się wesoło Wojtuś — my młodzi nie wiele potrzebujemy, a Kajo młodszy i wytrzymalszy odemnie. Kiedyż człowiek ma więcej sił do znoszenia wszystkiego, jeśli nie za młodu?

— Cóż więcej! co więcej? mów mi pan o nim... jak wygląda?

— Bardzo dobrze... Radbym tylko może, ażeby mniej chodził do tych Niemców...

— Dlaczego? — spytała matka.

— A! widzi pani, oni go trochę bałamucą tą swoją wdzięcznością, a to czcze formy, bo oprócz grzeczności na nic tam rachować nie można.

— Dobra i grzeczność ich! — przerwała Rejentowa — zawsze Kajo zyskał choć dom przyjazny, za co Bogu dziękuję.

Wojtuś się zmusił do śmiechu...

— Ale bo tam ładna panna jest! — dodał jakby od niechcenia.

Wdowa się mocno zarumieniła — jakby nie miała zmarszczek i lat pięćdziesięciu.

— Bardzo ładna panna... — powtórzył Wojtuś.

— Ależ to Niemka — szepnęła nieśmiało matka... — i to wielkie państwo...

— Ale młodość — pani dobrodziejko!

Szybko spojrzała mu w oczy rejentowa, jakby z nich chciała wyczytać więcej, odgadnąć, niż mógł jej powiedzieć słowami...

— Kajo ma rozum... — szepnęła po cichu — on przecie wie, że to do niczego nie prowadzi.

— Ja sądzę, bo i Niemka i luterka...

— Gdzieżby o czem podobnem nawet pomyśleć można... Kajetan dziecko, ani domu ani łomu... my biedni... a sumienia ma i uczciwości tyle, iżby nie chciał bałamucić...

Ciągle mówiąc to przerywanemi słowy, patrzyła na Wojtusia. Nagle jakby chciała przerwać rozmowę i szukała pozoru, wstała i zawołała zmięszana:

— Panbyś się choć kawy napił... a ja nawet nie proszę! o mój Boże!

Wojtusiowi kawy się wcale nie chciało, ale pragnął dłuższej rozmowy, a do niej

ona była wybornym pozorem... Nie wyrzekł się więc bardzo.

— Dosiu! Dosiu! — zaczęła wołać Rejentowa — wszak śmietanka jest; prędzej! podaj maszynkę... i sucharki... a żywo...

Usiedli tedy znowu.

— Nie powiem, żebyś mnie pan nastraszył... — zaczęła wdowa — mam ufność w Bogu, że moje niegodne modlitwy wyproszą dla mego Kaja opiekę... lecz — jeśli pan co wiesz... niech mi pan powie, proszę pana...

Chwilkę milczała a Wojtuś nie miał siły i odwagi do zwierzeń.

— Kajo jest bardzo wrażliwy, ale o ile ja go znam — wrażenia u niego łatwo przechodzą.

— Otóż i ja się tej jego wrażliwości lękam — począł Wojtuś — panna, choć Niemka, ale rzeczywiście bardzo piękna, wymowna, oczytana i rozumna a podobno ma słabostkę do Kajetana.

Rejentowa załamała ręce, znowu się zarumieniwszy.

— O mój Boże! — zawołała — ja to pojmuję, ocalił życie jej bratu... i — choć mój syn — trudno mu nie przyznać, że chłopak ładny... że podobać się może. Ci ludzie gotowi go posądzić... Ale tam przecie nie

ma nic?... podchwyciła żywo. Mów mi pan otwarcie.

— Proszę pani dobrodziejki — ja nie wiem... Kajetan mi się tak dalece nie zwierza, miarkuję tylko z niego, że panną trochę zajęty a ona nim...

— Niemka! luterka! a to dzieciak! dwudziestego pierwszego roku nie skończył... — przerwała, lamentując Rejentowa, której twarz pałać zaczynała — panu się to chyba marzy. On o nauce powinien myśleć jeszcze.

— Niech pani tak tego do serca nie bierze, mimowolnie się wygadałem — rzekł spokojnie Wojtuś. — Pewnie tam nie ma tak dalece nic — ale w liście niech mu pani żartobliwie napomknie, żeby się strzegł sideł niemieckich...

Rejentowa sparła na ręku głowę i zamyśliła się, gdy do przedpokoju zadzwoniono. Poczęła się przysłuchiwać, spojrzała na zegar.

— To chyba poczta? — zawołała z cicha.

W tejże chwili Dosia weszła krokiem szybkim, w ręku do góry podniesiony trzymając list.

— Od Kaja! — zawołała, porywając go żywo matka — pozwolisz pan! — chwyciła za okulary... Zapomniała już zu-

pełnie o gościu, rozerwała kopertę, list otwarła.

Półarkusz zapisany był na wszystkie strony. — Wojtuś spoglądając na twarz matki, z niej list mógł wyczytać i prawie jego się treści domyśleć. Z początku ta twarz promieniała radością, uśmiechały się usta, rozkoszowała się każdem słowem ukochanego dziecięcia... potem jakby mgła przesunęła się po licu, zaduma okryła twarz, ścisnęły się usta, ręce drżeć zaczęły... rumieniec schodził, bladość okrywała policzki, czoło, wargi. Na chwilę wstrzymała czytanie, odetchnęła ciężko, lecz oczy się oderwać od listu nie mogły... Coraz silniej drgały ręce. Z widocznym pośpiechem poczęła gonić oczyma wiersze, odwróciła kartę... wyprostowała się, czoło zmarszczyło, oczy zamknęły, list i ręce opadły na kolana — z pod powiek puściły się dwa łez strumienie. Nie patrząc na Wojtusia, zasłoniła dłońmi twarz i jęknęła... list zsunął się na ziemię.

Łatwo się było domyśleć, że Kajo musiał jej wyznać wszystko...

Nie miała siły ani spytać, ani się użalić, ani przemówić. Siedziała jak osłupiała. Służąca, która znać podpatrzyła ją z za drzwi i znała swą panią, przybiegła żywo ze szklanką wody.

— Pani, pani, niech się pani napije... na rany pańskie — co pani jest... Rejentowa wyciągnęła rękę po szklankę i znaleść jej nie mogła długo, poniosła do ust i zniżywszy je ledwie — jęknęła głośno. Załamała ręce i spojrzała z za łez na siedzącego Wojtusia.

— O! jakim pan byłeś nieszczęśliwym prorokiem — odezwała się głosem, który ledwie był dosłyszany.

— Cóż się stało? — przerwał Wojtuś wstając — co Kajetan pisze... może czas radzić jeszcze...

— Ja nic nie wiem... czytaj pan! Radź, ratuj, głowę tracę...

Garbus podjąwszy list z ziemi, poszedł z nim do okna. Nie potrzebował czytać całego, z kilku słów spostrzegł, że był pisany w chwili, gdy razem z panną Wilhelminą von Riebe mieli siadać na kolej i uciekać. Dokąd? Kajetan nie pisał. Miał o tem donieść później, lękał się, ażeby list nie był czytanym na poczcie i nie posłużył za wskazówkę dla ścigających...

— Wszelka rada i wymówki byłyby już dziś zapóźne — odezwał się po namyśle. Dopóki można było zapobiedz temu, należało czynić, co w mocy ludzkiej, dziś należy się poddać przeznaczeniu. Nie będę krył przed panią, że widząc już, na co się

zanosi, nie mówiąc nic Kajetanowi, przyjechałem tu w tym celu, ażeby pani powiedzieć, czego się lękam, i przedsięwziąć jakieś środki. Kajetan na wyjezdnem zapewnił mnie, iż tak prędko o niczem stanowczem nie myśli, znać albo sam się tego nie spodziewał... lub chciał tylko mnie się pozbyć.

Nie pochwalam wcale postępku jego, otwarcie byłem przeciwny — ale od tej chwili gdy są razem, gdy ich nie inaczej tylko jako żonę i męża uważać muszę, patrzę na to z innej strony. Nie jest to znowu tak wielkie nieszczęście.

Chciął pocieszyć wdowę, która zanosiła się od płaczu.

— Niemka i luterka... — powtarzała.

— Rodzice bardzo majętni... — dorzucił Wojtuś.

Rzuciła ręką.

Nie było już co mówić więcej, zdawało się garbusowi, iż najlepiej uczyni, gdy ją samą zostawi, aby się swobodnie mogła wypłakać i pomodlić. Wiedział od niej, że szwagier jego był w mieście, miał więc gdzie parę godzin przepędzić.

— Pani dobrodziejko — odezwał się, biorąc za kapelusz — ja dziś wieczorem powracać muszę. Przyjdę panią pożegnać

jeszcze... teraz nie chcę nadaremnemi słowy jej nużyć.

Rejentowa płacząca ciągle podała mu rękę...

W progu z fartuchem na ustach przestraszona, zaciekawiona stała sługa. Wojtuś wysunął się przybity.

Umysł poczciwego garbusa we wszystkich wypadkach ze ścisłą postępował logiką. Ta teorya, którą niegdyś wykładał Kajetanowi w skróceniu, służyła mu zawsze i we wszelkich okolicznościach. Był tego zdania, że należy z energią działać przeciwko złemu, którego uniknąć można, ale gdy złe jest nieuchronne, poddać mu się i szukać ulgi lub siły do oddziaływania. Wyszedłszy więc co prędzej mimo szewca w okularach, który go nadaremnie wstrzymać usiłował — powlókł się ku miastu, rozmyślając nad losem Rajetana. Według niego pierworodny grzech niemieckiego urodzenia niczem się zmyć nie dawał — ale — ale można było starać się go zmniejszyć, usuwając Wolskich od niemieckiego wpływu... Kajetan był poczciwy, ale dosyć miękki, był zakochany, musiał więc żonie stać się powolnym — jeśliby więc państwo radcowie von Riebe wyparli się córki i nie chcieli znać ani widzieć zięcia — byłoby tylko do zniesienia ubó-

stwo a nie wynarodowienie i sprzeniewierzenie się obowiązkom.

Lecz któż mógł odgadnąć, co się stanie?

—Zobaczymy, rzekł w duchu—zawsze mi jednak żal biednego Kaja... czuję, że przepadnie...

Utinam sim falsus vates!

Szwagra znalazłszy w mieście i dosyć nieprzyjemnie go zdziwiwszy przytomnością swoją, która była admonicyą o procent zaległy, spędził z nim dzień garbus, usiłując mu dowieść, że nie ma o czem do Berlina powracać. Ułożyły się interesa przy obiedzie, dzierżawca westchnął nad nieszczęśliwym składem okoliczności, który mu kochanego braciszka tak niespodzianie nastręczył, wypili razem butelkę wina, uściskali się serdecznie i rozstali. Wojtuś pobiegł na Chwaliszewo do wdowy.

Na dole zastał znowu pana Zarwańskiego z okularami na samym już końcu nosa... Zdawał się nań oczekiwać i pochwycił.

— Co tam takiego u Rejentowej na górze — zawołał, zastępując mu drogę — nie mogę się dowiedzieć... posyłali po cyrulika, żeby krew jej puścił... Od rana jak we młynie, a ja jak w rogu... Możeż to być, żebym ja nie wiedział, co się z moją loka-

torką dzieje? Postyliony latają, pan przyjechałeś... Uchowaj Chryste Jezu, czy synowi się co stało?...

To w lewo to w prawo zapierając sobą drogę, szewc natarczywie domagał się odpowiedzi.

— Ale cóż jest? co jest? Z sekretu przecie nie wydam! Czy do jakiego spisku go wciągnęli? Co? czy chory? Niechże mi pan powie choć słowo!

— Śpij pan spokojnie, panie Zarwański — zawołał zniecierpliwiony garbus — nic się nie stało. Niemka się w nim zakochała i tyle tego...

Szewc splunął i ustąpił.

— Było czego lamentować... jak sobie posłała, tak się wyśpi...

Machnął ręką i wszedł do izby czeladnej a Wojtek pospieszył na górę.

Rejentowa siedziała w fotelu z ręką obwiązaną, z głową chustkami okrytą. Posłyszawszy drzwi, odgadła przyjście garbusa i słabym głosem zaczęła go wzywać do siebie...

Firanki były zapuszczone... Dosia stała przy pani cała we łzach...

— Niechże pani tak do serca tego nie bierze... nic się może jeszcze nie stało. Proszę Pana Boga, aby ich złapali, nim ucie-

kną... I toby być mogło... Nie ma się jeszcze martwić czem, bo nie wiemy...

— A! jakże nie wiemy — przerwała z załamanemi rękami Rejentowa... — na stoliku leży drugi list... czytaj pan...

Odwrócił się Wojtuś i spostrzegł na papierze biurowym długie pismo po niemiecku. U góry drukowana firma: Commerzierrath von Riebe. Commisions-Speditions- und Incasso-Geschäft etc...

Nie widać było, ażeby piszącemu ojcu drżała ręka... pismo było płynne i czytelne, zredagowane ostro i nielitościwie, ze ścisłością notaryalną.

Radca komercyjny oznajmiał pani Wolskiej, iż syn jej stał się winnym porwania panny, wprawdzie pełnoletniej,· ale zostającej pod władzą rodziców... że dotknięci tem do żywego oboje, postanowili córkę wydziedziczyć i znać ani wiedzieć o niej nie chcą.

Oznajmują więc pani Wolskiej o tem by jej syn ani progu ich domu przestąpić się nie ważył, ani się spodziewał zmiany tego postanowienia, które już jest nieodwołalne i na tymże dniu aktem notaryalnym w sądzie prezentowanym a przez oboje państwa podpisanym, stwierdzone zostało.

Przeczytawszy list Wojtuś trochę się zamyślił.

— Powinszować pani należy tego—rzekł spokojnie. — Kajetan dokończy wkrótce medycyny i nie potrzebuje pomocy tych rodziców tak czułych — a raz na zawsze z familią zerwano i nic już z nimi do czynienia mieć nie będzie...

Matka płakała...—o niewysłowionem nieszczęściu swem, które jej się co chwila straszniejszem wydawało, mówić nie mogła. Wszystko mówiły jej łzy milczące... Wojtuś przez pół godziny siedząc przy niej, usiłował pocieszyć, przynieć ulgę jakąś, wystawić wszystko w jaśniejszem świetle — ale na bladej twarzy Rejentowej nie znać było skutku jego wymowy.

Płacz nie ustawał.

Chwilami wargi coś szeptały, powtarzając dwa słowa, które się wiły po głowie i opasywały serce.

Doktór, którego Dosia z własnego natchnienia wezwała, nadszedł. Był to dawny męża przyjaciel, lekarz nie osobliwszy ale człowiek serdeczny.

Tego zostawiszy przy niej... Wojtuś wysunuł się już mrokiem, prosto dążąc na kolej, by się dostać co prędzej do Berlina.

Rok od tego czasu upłynął, gdy poczciwy przyjaciel Wolskiego wrócił smutny do Berlina, usiłując zapomnieć o wszystkiem, na nic poradzić już nie mogąc. Przyjaźń swą dla Kajetana opłacił przykrem nader wrażeniem tego wypadku. Wykradzenie panny Wilhelminy, jak to tam nazywano, chociaż najdobrowolniej w świecie na oznaczoną godzinę z torbą podróżną przybyła na kolej, na której dworcu Kajetan czekał na nią — wykradzenie to dało powód do najboleśniejszych narzekań na wszystkich Polaków i potwarzy. Hänschen posądzający garbusa, że pomagał Wolskiemu, chciał go wyzwać i zarąbać — i ledwie mu się złożyć mógł dowodami, że w czasie wypadku w mieście go od dwudziestu czterech godzin nie było. Richterowa potem wpadła nań, wyrzucając mu także, iż zgubił jej faworyta... wiedziała bowiem, że panna była wydziedziczona.

Listy, które do rodziców pisała Wilhel-

mina, wymogły tylko na nich, że zezwolenie dali potrzebne do ślubu, ale rozporządzeń majątkowych nie odwołali. Hänschen który był tak przywiązany do siostry, wyrzucał jej niewdzięczność i wyznawał ślepe dla rodzica posłuszeństwo.

Naprόżno Wojtuś usiłował się dowiedzieć o Wolskim. Spodziewał się listu od niego, ale długo nie było od niego ani słowa. Z Poznania doszła go smutna wiadomość, że biedna Rejentowa umarła w parę tygodni, że syn przybył sam, już po jej zgonie na to tylko, aby pójść za ubogą jej trumną. Sprzedano szczupłą pozostałość, ściągnął mały kapitalik, jaki odziedziczył po niej i zniknął. Nie rychło nareszcie odebrał pismo od niego Wojtuś z jakiejś nieznanej stacyi kolei żelaznej pisane lub na niej do skrzynki wrzucone — smutne, dziwne, niezrozumiałe. Trudno w niem było poznać tego miłego Kaja, którego wszyscy tak kochali...

Od pierwszych słów zapewniał przyjaciela, że był szczęśliwy nad wyraz wszelki, że w niebiosach tylko raj taki mógł marzyć, że Helma była aniołem i ideałem niewiasty — ale list tchnął smutkiem, tęsknicą — bólem — który z każdego wyrazu wytryskał.

Szczegółów list nie dawał żadnych

oprócz tego, że Kajo kończył medycynę na jednym z uniwersytetów niemieckich i że spodziewał się otrzymawszy facultatem medendi... i do pełnienia tego wszystkiego, o czem Molière wspomina — dobić się samoistnego, niezależnego stanowiska. Gdzie? jak? o tem list nie mówił wcale... Wojtuś, który nawykł był ze wszystkiego wnioskować, z papieru, koperty, listu niefrankowanego jakby przez zapomnienie, z samego nawet charakteru i sposobu pisania domyślał się, że państwo Wolscy nie musieli być w najświetniejszem położeniu...

Nieraz przypomniawszy sobie wesołe chłopię — Wojtuś westchnął nad jego losem i powtarzał mimowoli:

— Stracony dla nas!

W tym roku on nareszcie skończył medycynę... patent był napisany, szło tylko o zapłacenie kancelaryjnych kosztów, o pożegnanie się z przyjaciółmi pozostającymi jeszcze w uniwersytecie, o zapakowanie tłumoczków, które ze wszystkiemi elegancyami Wojtusia razem wzięte nie były bardzo ciężkie ani ogromne. Czekał na list rekomendowany od szwagra... z niecierpliwością wielką... potem na kolej, w Poznańskie i czyżby też w całem Księstwie kąta nie znalazł do praktyki??

Pora była letnia, czas piękny, roboty skończone, w mieście skwarno i pusto... Wojtuś wziąwszy na siebie surdut, który był arcydziełem krawca, bo garb jego sprowadzał do niedostrzeżonej prawie ułomności, jakby tylko podwyższenia jednego ramienia — wyszczotkowawszy włosy aż do jedwabnego połysku... włożywszy cylinder na bakier nieco i duńskie rękawiczki, z przyjemnością w zwierciedle się sobie przyglądał.

Bezstronne zastanowienie się nad fizyognomią i postacią widzianą z przodu — przekonywało go, że był prawie przystojnym, że wyrazowi twarzy nie zbywało na dowcipie, który jako gratia status przysługuje wszystkim garbatym — że przyszłość dlań mogła nie być ogołoconą z kwiatów, pączków, wianuszków i słodyczy.

Zatopionym był w tem odgadywaniu własnej przyszłości — gdy w drzwi puknięto.

— A! gdybyś to był ty — z tęsknicą oczekiwany brieftregerze! — zawołał w duchu, zwracając się ku drzwiom twarzą.

Jakież było zdziwienie jego, gdy miasto tego posła trosków i pociechy ze skórzaną torbeczką ujrzał w progu kogoś... niezmiernie podobnego do Wolskiego. Na pierwszy rzut oka nie był pewnym, czy to przyja-

ciel, widmo jego oczy postać przypominająca rysy Kajetana, lecz dziwnie i okrutnie zmienione.

Stał przed nim ktoś blady, zmęczony, z oczyma wpadłemi, z uśmiechem na ustach wymuszonym, z nieco obłąkanym wzrokiem... pomięszany, zdający się wątpić, jak będzie przyjętym.

Wojtuś z okrzykiem rzucił mu się na szyję.

— A! przecież — zawołał — przypomniałeś sobie, że ja żyję i że masz w sercu mem miejsce, którego nikt zająć nie może... Jak się masz? co tu robisz? Źle wyglądasz!

Kajo dłonią białą powlókł po twarzy, jakby z niej co chciał zetrzeć.,.

Siedli...

— Tyś miał gdzieś wyjść?

— Na przechadzkę — chodźmy razem po staremu do Thiergartenu.

Wolski zerwał się z krzesła. Garbus dopiero teraz postrzegł, że przyjaciel nie bardzo był właściwie do przechadzki ubrany. Chociaż skwar był dojmujący, ciężki wytarty surdut miał na sobie. Reszta stroju dowodziła albo wielkiego zaniedbania lub niedostatku... Wolski, który był dawniej zawsze przy swem ubótwie czysto i ze smakiem przyodziany, miał na sobie

jakieś suknie jakby z tandety wzięte — opylone... bieliznę zbrukaną... ręce zaniedbane... włosy strzyżone niezgrabnie. Kapelusz słomkowy pogięty trzymał w ręku... Twarz wydawała się zwiędłą i zestarzałą, czoło parę fałdów przerzynało — w ruchach — w postawie niezmierne czuć było znużenie. Nic nie mogło ujść baczności Wojtusia, postrzegł zaraz, że nie miał nawet zegarka. Buty na nogach stare były i szkaradne...

Podobniejszym był do tych armer Reisender, którzy po miastach zwykli obchodzić domy, niż do przyszłego doktora medycyny i szczęśliwego małżonka ślicznej Wilhelminy.

Litość przejęła Wojtusia.

— Aleś ty może zmęczony podróżą — zawołał — tybyś u mnie tu choć w gorącu spocząć wolał?

— A! nie... wszystko jedno — pójdziemy — rzekł Wolski widocznie się wysilając na żywość i wesołość, której mu brakło. Usta się uśmiechały, ale czoło i oczy okrywał głęboki smutek. — Pójdziemy! chodźmy — jestem stęskniony za tobą, za wami... za mową naszą... za wszystkiem dawnem. Młodość to taka miła, dobra i słodka rzecz...

— Aleś ty jej przecie nie stracił! — podchwycił Wojtuś.

— A! tak — ale — cóż chcesz? — jestem żonaty... jestem ojcem... mam żonę chorą...

Pociągnął znowu ręką po twarzy.

— Chorą? — zawołał Wojtuś.

— Tak jest — nie zdrową — nie ma nic niebezpiecznego... Karmi małego Fryca...

— Jakto Fryca? — krzyknął wojtuś — twój syn ma imię Fryc!

— A! proszę cię! — imię, to wszystko jedno... fantazya Helmy, której bohaterem jest Fryderyk W...

Wojtuś osłupiał i zamilkł... nie śmiał mówić nic o tem więcej. Zrozumiał, że biedny Kajo był pod pantoflem żony i że wkrótce sam zapewne zacznie się przekonywać o genialności i bohaterstwie wielkiego Fryderyka.

Wyszli więc razem do Thiergartenu.

— A! wiesz — zawołał, biorąc go pod rękę Wolski, jakby zapomniawszy się — zdaje mi się, żem się po długim śnie ciężkim przebudził znowu — jesteśmy razem, mówimy tym językiem, który mi matkę przypomina.

Wspomnienie to zamknęło mu na chwilę usta — spuścił głowę.

— Czy masz co do czynienia w Berlinie? — przerwał garbus.

— Papiery do wyjęcia z kancelaryi uniwersytetu — rzekł Wolski — nareszcie i ja spodziewam się zdać egzamin i nowe rozpocząć życie.

Głos zniżył.

— O! nie będę ćmił przed tobą, przebyliśmy ciężką próbę... Rok... na przemiany w dostatku i o głodzie... Było trochę pieniędzy po matce, chciałem Helmie osłodzić to gorzkie życie nie na długo starczyło... potem długi...

— Ależ rodzina? nie udawaliście się do niej?

— Ja, nie — Helma pisała do matki i brata...

Zmięszał się nieco...

— Jakto! bez skutku...?

— Tak — bez skutku... ale ja nie mam się na to skarżyć prawa... ona więcej boleje... Matka wspomogła ją w sekrecie małym datkiem, ale tam pieniądze są w ręku ojca, ona nie ma nic. Hänschen sam wiele potrzebuje... — Westchnął znowu. — Ciężkie było życie, choroba żony... przyjście na świat dziecięcia... ja także jakoś byłem nie zdrów... Nauka z takiem gospodarstwem ciężko się godzi!! Jakże się tu uczyć, gdy biedna żona jęczy a dziecię płacze... a mleka nie ma za co kupić a obiad na kredyt prosić trzeba i grubiańskie cierpieć słowa...

Zawszem sobie wyobrażał, że Niemcy dobre serce mają, ale oni nie mają serca, wyjąwszy Helmę...

Helma jest aniołem... Nigdy skargi z ust jej nie usłyszałem, uśmiechała mi się spokojnie. Kocham ją do szaleństwa...

Mówił to gorączkowo, tonem osobliwszym, rzucając obłąkanemi oczyma do koła.

Wojtuś słuchał z zajęciem nadzwyczajnem w milczeniu, nie przerywając mu i usiłując odgadnąć pod tem malowaniem sztucznem kryjącą się prawdę. — Nie widać było i nie czuć w Wolskim tego szczęścia, którem się chlubił.

— Dokądże myślicie się udać potem? — zapytał po chwili — zapewne tam, gdzie ty masz znajomych i stosunki — w Poznańskie?

— A! nie — odpowiedział Wolski. — Helma tyle poświęciła dla mnie, że i ja przecież coś dla niej muszę uczynić. Onaby nie mogła wyżyć wśród obcych w naszym kraju. Znasz nasze towarzystwo... jakby ją tam przyjęto? Nie chciałbym, ażeby cierpiała osamotniona i lekceważona. — Poświęcę się raczej sam i szukać będę kąta w Niemczech.

— Jest to bardzo pięknem z twej strony — odezwał się Wojtus — ale i ona i tybyś to zrozumieć powinien, że masz

obowiązki względem własnego kraju... Jest nas mało, dezertować nam nie wolno — nawet dla tak szlachetnych pobudek. Wśród Niemców przy żonie mimowolnie będziesz musiał zapomnieć o sobie i o narodowości, której jesteś jednym ze spadkobierców...

— Wszystko to bardzo piękne — odezwał się Wolski — ale widzisz położenie moje — nasze — nie mogę postąpić inaczej. Ciężko mi, lecz muszę spełnić obowiązek. Ta kobieta wyrzekła się dla mnie dostatków, rodziny, społeczeństwa.

Przytem mam trochę nadziei na jej dalekich krewnych... powinniby nam dopomódz.

— Zdaje mi się, że się łudzisz — odparł Wojtuś — z bliska dosyć przypatrywałem się im — nie są skorzy do pomocy...

Ten węzeł chrześciański, który naszą wiązał społeczność w jedną całość jako braci w Chrystusie tu nie istnieje. Nowa spółka zapisała na swej chorągwi: Help yourself — pomagaj sam sobie, bo ci nikt nie pomoże. Społeczeństwo powróciło do pierwotnego stanu walki o byt... każdy na swoją rękę. Kraj nasiedlony Niemcami jest przeludniony, więcej kandydatów do chleba niż pracy i bochenków. U nas znalazł-

byś litościwe serca bratnie choć rzadkie... tam...

Wolski zamyślony patrzał w ziemię, nie odpowiadał nic — a po chwili rzekł jakby chcąc przerwać rozmowę polskie:

— Jakoś to będzie!

Właśnie w tej przerwie rozmowy spotkali Ryszarda, który się do nich przyłączył i ochoczo powitał dawnego towarzysza, dalej nieco nawinął się jeszcze jeden z kolegów. Nie dotykając więc drażliwych przedmiotów, mówiąc o rzeczach dawnych, po młodzieńczemu żartując, poszli zaproszeni przez hrabiego na podwieczorek do restauracyi. Znaleźli ją do zbytku przepełnioną, osób było mnóstwo i w przytykającym do niej ogródku i w skwarnych pokoikach i pod werandą. Przy kuflach piwa hałaśliwe grono Turyngów wykrzykiwało poza niemi:

— Colossal!

— Famos! — Nobel!

Nie oglądając się, po samym głosie poznał Wolski Hänschena, który przenodził u drugiego stolika. Zobaczywszy szwagra, przyłożył lornetkę do oka. — Zmarszczył czoło, popatrzył nań długo, zdawał się wahać nieco, ale ani go przyszedł przywitać, ani okazał chęć zbliżenia się ku niemu. Poszeptał coś z towarzyszami i wkrótce

się wyniósł do drugiej knajpy, unikając spotkania. Wolski też nie miał ochoty przypominać się teraz ocalonemu.

Wszystkich towarzyszów uderzyła smutna i wynędzniała postawa Wolskiego; rozweselić go nawet było trudno, a wspomnienia lepszych czasów zdawały się na nim czynić bolesne wrażenie...

Ryszard odciągnął na stronę garbusa.

— Wiesz co — rzekł — jak na szczęśliwego człowieka ten Wolski wygląda bardzo biednie... Czyś ty z nim mówił?

— Trochę!

— Co mu jest? Wszak go rodzice żony opuścili?

— Zupełnie.

— Może jest w wielkiej potrzebie...

— Ja sądzę, żona dziecię...

— A! a! już — zawołał Ryszard. tybyś powinien jako bliżej znajomy z nim, zmusić go do przyjęcia — pożyczki, żeby głodem nie marli.

— Ale kochany hrabio — cóż ja mu pożyczę, sam nic nie mając?

— A to ja dam! ja dam, ale nie powinien wiedzieć, że to odemnie... Mów mu, że od ciebie. Toby mu nadto ciężyło...

Poczciwy Ryszard oglądając się, wsunął kilka frydrychsdorów w rękę garbusa i za-

czął mówić o czem innem, bardzo zręcznie pokrywając cel swej rozmowy.

Wieczorem już późnym wrócili do miasta. U brandeburskich wrót rozeszli się towarzysze i garbus sam z Wolskim zostawszy, zmusił go zręcznie do przyjęcia małej pomocy, którą tamten ze łzami i rozrzewnieniem długo wzbraniał się wziąć a nareszcie nie kryjąc, jak mu to przychodziło w porę — uradowany zgodził się zatrzymać.

Nazajutrz przybył jeszcze raz podziękować i pożegnać się Wolski.

— Mniej więcej — rzekł garbus, zatrzymując jego rękę — gdzie cię szukać, co myślisz? dokąd się chcesz udać?

— Szczerzę ci mówię — nie wiem — odparł Wolski. — Wilhelmina ma rodzinę matki w Saksonii, być może gdzieindziej, pierwsze najbiedniejsze miejsce, jakie mi się trafi, przyjąć jestem zmuszony — jeść potrzeba... Ja przymarłbym i głodem — ale oni... ale ona...

Uśmiechnął się smutnie.

— Cóż? walka o byt! los to zwykły ludzi, którzy węzły z rodziną i społeczeństwem zerwać byli zmuszeni. Idą sami i przebijać się muszą przez tłumy. To los człowieka.

Niepokój mnie dręczy... zostawiłem Hel-

mę samą, z jedną sługą... ja zwykle zastępowałem drugą.

Ona wychodzić nie może... Pieniędzy było mało, kredyt zachwiany... Muszę spieszyć do domu.

Łzami zaszły oczy Wolskiemu, gdy się żegnał. Wojtuś udawał wesołego, ale się wściekał na radcę komercyjnego i jego rodzinę, ścisnęli sobie dłonie.

— Do widzenia!!

Gdzie i kiedy, żaden się z nich nie domyślał...

Wojtuś wydobywszy się ze stolicy nad Spreą, której cierpieć nie mógł, choć miał czas się z nią oswoić i do niej przywyknąć, wrócił natychmiast do Księstwa... Nie żądając od razu wiele, osiedlił się w Poznaniu, czekając, aby mógł sobie zarobić na wziętość. Czuł się tu potrzebnym. Sił nigdy nie było zanadto do walki, a nowy zwrot systemu i postępowania zmieniając jej charakter, czyniąc ją zażartszą, wymagał nowych zapaśników. Wojtuś ani chwili się nie wahał w wyborze stanowiska; mógł sobie obrać wygodne i spokojne, opasując się neutralnością i nie mięszając do niczego; wybrał rolę czynną, bo ta i z jego charakterem lepiej się zgadzała i była jakby dalszym ciągiem tradycyi, przekazanej mu przez zacnego ojca. Życie więc musiało być ofiarne żołnierza, którego żołdem spokój sumienia i pociecha z dopełnionego obowiązku — na własnym koszcie walczącego dla idei i wiary.

Wojtusiowi szło wcale nie źle, mimo to zyskał sobie szacunek, poparcie, zajął

stanowisko w szeregu prostego żołnierza, nie w ostatniej kolumnie.

Ile razy wypadało mu z obowiązku jako lekarzowi ubogich pójść na Chwaliszewo a przechodzić mimo kamieniczki, zajmowanej niegdyś przez Rejentową, zawsze mu na pamięć przychodziła ostatnia bytność u niej i ten biedny Kajo, który jakby w wodę wpadł, wcale o sobie nie dawał znać i dość długo żadnej o nim nie było wiadomości.

— Co się z nim też stało? — mówił w duszy Wojtuś — zachciewa mi się, choćby przez ogłoszenie w dzienniku huknąć do niego, lecz któż wie, jakie on czyta i czy ma czas jakiekolwiek dzienniki czytywać?

Tak lat kilka upłynęło. Wojtuś dorobił się pracą przynajmniej tyle, że się o swój chleb powszedni nie potrzebował troszczyć, Całem nieszczęściem dlań było, że miał serce czułe i garb na plecach. Zakochiwał się co roku w jakiejś pięknej pannie i musiał w pomoc przyzywać rozum, ażeby nie puścić się w niedorzeczne konkury a nie narzucić biednej jakiej dziewczynie, którąby, jak mu się zdawało, uczynił nieszczęśliwą.

Wprawdzie teraz mając nadwornego krawca, który z jego plecami bliższą zabrał znajomość, doprowadził z pomocą waty i pikowania umiejętnego garb swój

do minimum, zawsze jednak czuł go na plecach i na sumieniu. Kochać się, ożenić, otoczyć rodziną, było jego najgorętszem życzeniem — rozum stawał na drodze i nie dopuszczał.

— Życie - - mówił sobie — nie jest znowu tak bardzo długie, w ciężkiej pracy upływa ono szybko — a wolę umierać nie doznawszy należnego mi trochę szczęścia... ale nie męcząc się cudzem cierpieniem, którebym miał na mojej duszy.

Gdy wojna o Szlezwig wybuchła i lekarzy dla wojska potrzebowano, Wojtusiowi trafiało się zająć miejsce przy jednym z pułków — odmówił go. Część wojsk ciągnęła przez Poznań na tę wyprawę, mającą rozpocząć szereg cały wypadków politycznych, do których się Niemcy wewnętrzną fermentacyą przysposabiały, gdy jednego rana — śpiącego po długiem przy chorym czuwaniu garbusa zbudził służący... oznajmując, że jakiś wojskowy mówić sobie z nim życzy.

— Dajże ty mi spokój, wiesz, że z wojskowymi nie mam żadnych stosunków, to być musi jakaś omyłka. O piątej poszedłem spać, któraż teraz godzina?

— Siódma... ale ten pan domaga się koniecznie...

— Co za pan? jak wygląda..

Służący wzruszył ramionami. — A no, jak oni wszyscy, ale trochę mówi po polsku.

— Wprowadź go tu.

Story jeszcze w sypialni nie były popodnoszone — mrok w niej panował i gdy w progu ukazał się mężczyzna słusznego wzrostu w mundurze, Wojtuś przypatrując mu się, nie mógł poznać w nim nikogo ze znajomych... Dopiero gdy się zbliżył o kilka kroków, krzyknął, wyciągając rękę:

— Wolski...

— A tak, ja! ja... akcentem nieco popsutym, z uśmiechem odparł przybyły... Jak się masz!

Usiadł przy łóżku, podniesiono story, Wojtaś wpatrzywszy się w niego, znalazł go mocno postarzałym i jeszcze mizerniejszym niż ostatnim razem.

— Cóż ten mundur znaczy? zapytał.

— Jako lekarz ochotnik... idę z wojskiem, szepnął Wolski i westchnął. — Cóż robić... muszę...

— Jakże ci się powodzi?

Wolski spuścił oczy na czapkę, którą trzymał w ręku.

— Żyjemy, — rzekł — znosimy niedostatek, ratuję się, jak mogę...

— A krewni żony?

Kajo zaczął się śmiać gorzko i nie odpowiedział nic.

— Na pomoc ludzką trudno rachować, odezwał się cicho — a ja, mimo że pracy nie szczędzę, szczęścia nie mam... Do każdego miejsca tylu się ciśnie... Naturalnie prędzej je otrzyma krajowiec odemnie.

— Popełniłeś też błąd, nie osiedlając się we własnym kraju!

— To było niepodobieństwem dla Helmy — odparł — ona potrzebuje swoich...

— Ale ty także...

— A! ja... dla mnie ona jest wszystkiem... ona i dzieci...

Z obawą spytał Wojtuś.

— Wiele ich masz?

— Troje — odezwał się Wolski — ostatnie przy piersi...

— Przecież teraz już lepiej ci idzie? gdzież mieszkacie?

— Mieszkaliśmy w Altenburgu... w Chemnitz... w Gotha... w Dreźnie... a teraz żonę zostawiłem Kötschenbroda. W małej mieścinie życie tańsze.

— I nigdzie ci się nie powiodło tak, ażebyś stale się mógł osiedlić?

— Moja w tem zapewne być musi wina, ale nie idzie. Ruszam z wojskiem na kule duńskie — dodał z uśmiechem — może to początek karyery... któż wie?

Wojtuś nic nie odpowiedział, zaczął się ubierać prędko i kazał podać śniadanie.

Wolski spoglądał na zegarek i zdawał się spieszyć, ledwie więc mieli czas zamienić kilka pytań i odpowiedzi, które nie wiele nauczyć mogły.

— Wstyd mnie, mój drogi Wojtku — odezwał się nareszcie Wolski, — że ci nie mogłem dotąd i dziś jeszcze nie będę mógł uiścić się z długu.

Ruszył ramionami. — Nigdy tylu nawet frydrychsdorów nie miałem razem w mojem posiadaniu, ileś ty mi ich dał wówczas na drogę...

Wszędzie, gdzie jestem, klientela moja składa się prawie z biedaków, co po pięć srebrników płacą za poradę lub nawet po półtrzecia... Żonie, dzieciom, zawsze czegoś potrzeba... ja się obchodzę, jak mogę, przestałem nawet palić cygara, i z tem mi zdrowiej. Gdyby nie Vorschuss, którym się z Helmą podzieliłem, nawet na kampanię tę wybraćby się było trudno... Są ludzie predestynowani... Garbus nie chciał już czynić wymówek zapóźnych, które się na nic nie przydały, odwrócił rozmowę.

— Widzę, — odezwał się, — że trudno jakoś mówisz po polsku.

— A! bo prawie tego języka nie używam. W domu mówić muszę po niemiecku... otoczony jestem Niemcami. Rzadko spotykam ziomków i tych unikać muszę. Przy-

znam ci się, że nie wiem, dlaczego Helma wstręt ma i uprzedzenie przeciw Polakom... może nie bez przyczyny... my...

— Stój, — zawołał Wojtuś — zostaw Niemcom te wyrzekania na nas i zapożyczane czarne malowidła od stu lat powtarzane... Nie lubię ich słuchać...

Wolski zarumieniony przerwał.

— Więc i książek nie czytujesz! — podchwycił garbus.

— Nawet ich nie widuję, z początku mi było tęskno... teraz, gdy gorsza stokroć tęsknota za chlebem dokucza, zapomina się o wszystkiem...

Gospodarz nie wiedział już, o czem mówić, tak go stan tego biedaka na pół już zniemczonego, zobojętniałego poruszył i obruszył... Pół godziny spłynęło na ogólnych gawędach o wojnie, o medycynie, o dawnych towarzyszach i ich losach, zdala się dał słyszeć bęben w ulicy, i Wolski pospiesznie pożegnał dawnego przyjaciela, który daleko chłodniej teraz rozstawał się z nim, niżeli go witał.

W r. 1865 garbus, który chciał i potrzebował się rozerwać, razem ze szwagrem swym, teraz już jakoś lepiej będącym w interesach, postanowił latem odwiedzić Szwajcaryę saską. Chociaż wycieczka była bardzo blizka, nigdy nie miał sposobności,

ani czasu jej przedsiębrać. Właśnie się też zbierało w Niemczech na tę olbrzymią manifestacyę narodową, która się zwała »uroczystością śpiewaków« (Sängerfest). Baron Beust, rywalizujący niedołężnie z wykłuwającym się z pod dragońskiego munduru Bismarkiem, brał pod swe skrzydła to narodowe objawienie jedności w duchu i pieśni. Saksonia tryumfowała, wyprzedzając Prusy na drodze idealnego zjednoczenia wielkich Niemiec. Cóż znaczył związek kieszeni, który się zwał Zollvereinem, wobec tego olbrzymiego chóru patryotycznego, uczczonego przez dwadzieścia tysięcy piersi ze wszystkich stron Niemiec zbiegających się, aby wznieść hymn przyszłości!!

Nad brzegiem Elby budowano co najprędzej drewnianą Hallę, która swym dachem wędrowników pokryć miała.

Wojtuś nie gniewał się wcale za to, że jego podróż schodziła się właśnie z uroczystością śpiewaków, którą chciał widzieć i dla której miał sympatyę, bo mu się zdawało, że wielkie zjednoczenie musi być szlachetnem uczuciem natchnione, a na tej drodze i sprawiedliwość dla innych narodowości i uznanie ich znaleźć się musi!!

Pomimo więc przepowiedni złych, że w Dreźnie kąta nie znajdą nigdzie, że się w najgorszą wybierają porę itp., Wojtuś

się uparł, pociągnął z sobą szwagra i pojechali. Wprawdzie mieli dosyć trudności w dostaniu izdebki na trzeciem piętrze z dwoma lichemi łóżkami w którymś z hotelów nowego miasta, lecz widok tej ćmy ludu rozochoconego, szczęśliwego, wynagrodził im niewygody doznane.

Niemiec przytomny podobnej manifestacyi polskiej nieochybnieby się na nią oburzał, wydziwiał i znalazł w niej dobrą pobudkę do wymyślania na tych nieznośnych szaleńców Polaków — poczciwy Wojciech przeciwnie przejęty był i z uszanowaniem patrzał na to święto pieśni, które wróżyło dzień czynów.

Razem ze szwagrem, który jako wieśniak a szlachcic wcale miał inne uczucia i ramionami ruszał na to, poszli nazajutrz przypatrywać się na Nowym rynku pochodowi chorągwi stowarzyszeń śpiewaków, bractw, uniwersytetów i niezliczonych Vereinów, niosących swe godła w tryumfie... i defilujących przed panem Beustem, siedzącym na koniu i w duszy urągającym Prusakom.

Był to jego dzień tryumfu — jedyny w życiu a krótko trwać mający. Kto inny miał zbierać owoce tego zjednoczenia ducha i dłoni.

Wojtuś i pan Bondarzewski, szwagier jego, stanęli, z wielką trudnością znalazłszy miejsce, na chodniku pod starą galeryą u wnijścia na ulicę Augustów, i ztąd się przypatrywali marsowym postaciom burszów, chorągwiom i kutym w srebro rogom, które się wkrótce piwem z Waldschlösschen wypełniać miały. Z początku tak byli zajęci tem widowiskiem, iż oczu od niego odwrócić nie mogli, wkrótce znużyło ich jednostajnością i nasz doktór począł się wpatrywać w otaczające go tłumy. Naprzeciw we drzwiach kamienicy pod numerem szóstym mignęło mu coś, co go tak zajęło, iż się spiął na palce.

— Przysiągłbym, że to Wolski stoi! Ale to on! to on! począł garbus.

— Gdzie? jak? — zapytał Bondarzewski.

— Ty go nie znasz... ale ja pochwycić go muszę, choćbym się miał przez te szeregi przebijać. Lękam się, aby mi nie uszedł, a chcę go widzieć koniecznie. Stój tu.

— A! dziękuję — przerwał szlachcic — ruszaj do swego Wolskiego, a ja muszę gdzie pójść, żebym mógł siąść i odpocząć. Bywaj zdrów.

Niespokojny Wojtuś dobrał chwilę, gdy między pochodem dwóch Vereinów trochę było miejsca wolnego, i przerznął się na drugą stronę ulicy.

Na rogu pod Berlińskim hotelem stanąwszy, mógł się już doskonale przypatrzeć Wolskiemu i nie wątpił, że się nie mylił. W istocie on to był jak dawniej wyglądający ubogo i biednie, smutno i przybito. Obok niego, nieco ekscentrycznie ubrana, z lornetką w ręku stała kobieta piękna, wspaniałej i dumnej postaci, z rodzajem egzaltacyi przypatrująca się defilującym szeregom... Wojtuś widział, jak rzuciła parę wiązanek kwiatów, jak klaskała w dłonie.

Poznał w niej acz nieco zmienioną i dojrzalszą Wilhelminę, zawsze piękną, majestatyczną, której świeżość i wesele dziwnie odbijało od smutku i przygnębienia Wolskiego. Maleńki chłopaczek kilkoletni z kokardą niemiecką na czapeczce stał między niemi.

Domyślił się w nim Fryca.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, doktór przesunął się po nad trotoarem, zbliżył się do dawnego towarzysza i chwycił go za rękę. Wolski, którego oczy były gdzieindziej, drgnął, obejrzał się i zarumieniony, zmięszany począł go witać.

— A! przecież cię złapałem! — zawołał doktor.

Wilhelmina odwróciła się ciekawie, a Wolski w kilku słowach przedstawił jej tego

przyjaciela, o którym tylekroć wspominał. Piękna pani zarumieniła się mocno, za rękę przyciągnęła ku sobie małego Fryca, który się ciekawie garbusowi przypatrywał, i nader zimno powitała przybyłego.

Widocznie zjawienie się jego nie było jej bardzo przyjemne. Wojtuś był z tego rodzaju ludzi, co czasem właśnie gdy się czują natrętnymi, na złość gotowi się narzucić.

Zdawało mu się, że ma do tego prawo.

— Przybyłem na krótko do Drezna, — szepnął Wolskiemu na ucho — widzę, że tu mieszkacie, nie puszczę cię więc, póki mi nie powiesz swojego adresu i nie dasz godziny, o którejbym cię mógł zastać.

Wolski niespokojnie spojrzał ku żonie, zdającej się odgadywać przedmiot rozmowy i ze znakami jakiemiś tajemnemi zwróconej ku mężowi.

— Wiesz — szepnął na ucho doktorowi, jeśli nie bardzo jesteś ciekawy reszty tej procesyi — ja tu żonę zostawię z profesorem, który ją może odprowadzić do domu, a sam zaraz ci służę.

Kilka słów szepnąwszy żonie, która zdala skłoniła głową, żegnając garbusa, Wolski wziął go pod rękę i poszli.

— Jednakże uprzedzić cię muszę, — odezwał się po chwili Wolski, — że do mnie

nie łatwo będzie się dostać. — Mieszkamy na Frydrychsztacie... dorożki dziś nikt nie dostanie... kawał drogi potężny...

Garbus się uśmiechnął.

— Wolę iść choćby na Frydrychstadt niż tu stać na skwarze.

— Prosiłbym cię na wieczór do nas, — westchnął Wolski — ale przy naszem ubóstwie, więcejby to żonę moją zmęczyło i upokorzyło, niż jej zrobiło przyjemności. My, po niemiecku nie przyjmujemy u siebie nikogo...

— Jak to? więc się nie polepszyło?

— Tem się pochwalić nie mogę. Szlezwig mnie dobił. Spiknęli się na mnie koledzy Niemcy czystej krwi i dostałem suchą odprawę. Przenieśliśmy się do Drezna. Już to samo, że mieszkamy na Frydrychstacie, nauczyć cię powinno, jakie tu położenie nasze. Potrzebujemy z dziećmi najmniej trzech izdebek, przy tem kuchenki... trudno opłacić taki lokal w mieście. Nigdy mi może tak ciężko, tak bardzo ciężko nie było. W części taję to położenie przed moją drogą Helmą, ale sam za to podwójnie cierpieć muszę.

Szli powoli, rozmawiając, droga była dosyć długa — wreszcie dobili się do mostu i w głównej ulicy pustej, wyludnionej, zamarłej, Wolski wskazał domek o trzech

oknach od frontu, na którego drugiem piętrze mieszkali.

Dość było spojrzeć na kamienicę, aby odgadnąć jej wnętrze. Była to bodaj budowa jeszcze z augustowych czasów, ze schodkami wązkiemi, z sienią ciemną, pełną mefitycznych wyziewów. Na dole mieszkał mydlarz, którego fabryka w dziedzińcu umieszczona nie dodawała woni — pierwsze piętro zajmował ubogi urzędnik, na drugiem byli Wolscy.

Nim drzwi otworzył, płacz dzieci się dał słyszeć. W przedpokoju służąca nie spodziewająca się państwa, w czułej rozmowie z żołnierzem zapomniała znać o całym świecie. Dwoje dzieci wrzeszczało napróżno wzywając miłosierdzia. Jedno z nich wiło się w koszyku, drugie leżało na podłodze.

Wejście Wolskiego spłoszyło czułą parę, wyniósł się zaraz mężny wojak cichaczem, służąca chwyciła dziecię na ręce... Uspokoiło się jakoś... Wolski posępny zbliżył się do kolebki.

W lewo widać było coś na kształt saloniku ubogo a z pretensyą przybranego, niesmaczne cacka, zabytki przeszłości kosztowne mięszały się z bardzo pospolitemi nabytkami późniejszemi. W prawo był

gabinet doktora, do którego drzwi zaraz otworzył.

Ciasny o jednem oknie, które do połowy pstry i niesmaczny stor z koszem kwiatów osłaniał — pokoik zdał się niezamieszkalny i był smutny nad wszelki wyraz... Szare i nagie ściany, stół, na którym leżało kilka książek, kałamarz i pióra... nędzna sofka, krzeseł parę — były okryte kurzem i rzucone bez żadnego starania o wygodę lub pozór przyzwoity... Wolski posadził przyjaciela na sofce a sam stanął przed nim, rękąmi trąc włosy, które się zdały ciężyć mu na wyłysiałej już nieco głowie.

Piękna, niegdyś życiem tchnąca twarz młodzieńca napiętnowana była długiem cierpieniem: nerwowe drgania ją poruszały czasami, oczy biegały niespokojne, w ustach uśmiech się przerodził w smętne jakieś przekrzywienie.

Przybyły gość patrzał, zadumał się, nie mając oderwać siły.

— Nie pytam cię — rzekł w końcu po długiem milczeniu — czy jesteś szczęśliwy. Największe szczęście struć może taki doskwierający niedostatek... Niczemby on był dla jednego człowieka, ale z rodziną!! Winieneś jej, mój Kajetanie, byś o swym losie pomyślał. W najbardziej zrozpaczonym

stanie jest lub można przynajmniej próbować jakiegoś ratunku... Wiesz już, jak ci dobrze z Niemcami. Spróbuj się przenieść do nas...

— Wilhelmina się za nic na to nie zgodzi — zawołał zmięszany Wolski — nie chciałem ci tego mówić — ale ona nie cierpi Polaków... Cóż chcesz, są to uprzedzenia...

— Więc jakże ci dzieci wychowa?

Wolski zamiast odpowiedzi poszedł do okna...

Garbus wstał i począł się przechadzać. Po chwili Wolski wszedł blady z listem w ręku... Nie mogąc oderwać od niego oczów, czytał jeszcze, wszedłszy, długo — cichy wykrzyk dobył mu się z piersi, list rzucił na stół i ręce załamał.

— Cóż się stało znowu? co ci jest...

Wolski padł na sofkę i oczy zakrył...

— Nic złego — odezwał się — nic złego, lecz wiadomość nie mniej dziwna, przykra, bolesna, która całkiem los nasz może odmienić...

Podniósł głowę. — List od matki mojej żony — Hänschen nie żyje. Koń go dziki zrzucił w mieście, padł głową na bruk, chorował dwa miesiące... zwołano wszystkich lekarzy... Radca nie żałował nic... uratować go nie było sposobu... Wilhelmina została im jedna... Zdaje się, że ojciec jej

i mnie przebaczy... los się nasz na lepszy zmienić może...

— Jakkolwiek wypadek smutny, ale dla was skutki mieć musi najlepsze. Powiniście natychmiast jechać do Berlina...

— Ja? nie — ale Wilhelmina musi... ja — ja zostanę z dziećmi... zobaczymy — rzekł Wolski... Niech się ze mną co chce dzieje, byleby jej i dzieciom lepiej było... Jam nawykł do cierpienia, skóra na mnie od ciosów stwardniała...

— Nie ma chwili do stracenia — odezwał się garbaty — byłbym ci teraz zawadą i czuję, że się oddalić powinienem. Rad tylko jestem, że mnie lepszej przyszłości nadzieja pociesza... Przybyłem w dobrą godzinę.

Wyciągnął doń rękę...

— Nie, czekaj jeszcze chwilę — począł Wolski... radź mi... co mam robić? Wihelmina ten cios uczuje... była przywiązaną do brata.

— Który was zupełnie opuścił...

— Nie mogło być inaczej... Odwiedził ją raz przecie, gdym ja był na kampanii w Szlezwigu... Przeczytaj list... zdaje mi się, że matka ją wzywa? Ją czy nas?

Wojtuś wziął list ze stołu... w kilku miejscach widocznie był skropiony łzami.., ręka, co go pisała, drżała. — W istocie

matka wzywała córkę, o Wolskim nie było mowy. Radziła jej, żeby z sobą dzieci przywiozła i z niemi razem upadła do nóg ojcu. Radca miał być nie pocieszony... to była chwila jedyna, ażeby gniew jego rozbroić...

— Co do mnie — co do mnie — odezwał się Wolski zamyślony — radca mi nie łatwo zapomni urazę i przebaczy winę, — ale Helmina powoli utoruje drogę do jego serca...

— Serca? — szepnął pytająco Wojtuś.

Spojrzeli na siebie.

— Przecież mężem jej jestem, ojcem tych dzieci, odepchnąć mnie nie może... znosić przynajmniej będzie musiał...

Garbus lękając się przybycia samej pani, w milczeniu rękę mu uścisnął i wyszedł napowrót do miasta.

Nazajutrz wybrali się ze szwagrem do tak zwanej Szwajcaryi saskiej, która p. Bondarzewskiego zachwyciła a Wojtusiowi nie zdała się do żadnej Szwajcaryi podobną.

Bondarzewski nagie skały i ogromne piaszczyste oglądając przestrzenie, na których nic oprócz skąpych wrzosów nie rosło, znajdował, że to było dla Sasów szczęściem, iż mogli za biletami ten kraj pokazywać, bo inaczejby im tu chleba zabrakło.

Drugiego dnia już do woli nasyceni widokami jednostajnemi, Elbą i statkiem parowym w towarzystwie dzieci Germanii powrócili do Drezna. Śpiewaków wielu już odjechało do domów, resztki tylko przypóźnionych jeszcze z torebkami na ramionach przesuwały się po ulicach. Mieli natychmiast powracać do Poznania, bo Bondarzewski tęsknił do domu i wymówki już czynił szwagrowi, że go z sobą pociągnął, ale garbusowi chciało się koniecznie coś o Wolskim dowiedzieć.

Wstrzymali się więc godzin kilka, doktor wziął doróżkę i zrana pojechał na Frydrychstadt. Wprawdzie numeru domu, w którym mieszkał Wolski, nie pamiętał, ale go po mydlarzu i zapachu poznać się spodziewał. Nie omyliło go to przeczucie, kamienica zresztą była znaczna tem, że najnędzniej ze wszystkich wyglądała Wdrapał się na drugie piętro i zadzwonił Po chwili sam Wolski wyszedł mu otworzyć... Blady był jak zawsze, brudnym dosyć obwinięty szlafrokiem, a twarz jego nie rozjaśniła się wcale.

— Nie będę ci natrętnym — odezwał się od progu Wojtuś — mów mi tylko, co się z wami dzieje? Żona... pojechała?

— Tegoż samego wieczora...

— Z dziećmi...

— Zabrała wszystkie — rzekł smutnie Wolski.

— Miałeś od niej jaką wiadomość?

— Kilka słów — odezwał się nieco zmięszany gospodarz, tym razem wprowadzając do pustego salonu — każe mi czekać...

— Przyjęto ją?

— Ojciec się dał zmiękczyć... tak — została w domu... u rodziców...

— Dla czegoż ci nie każe przyjeżdżać?

— Przecież to potrzebuje pewnego przygotowania... ja jestem cierpliwy. To mó-

wiąc Wolski na pół sobie dłonią twarz zakrywszy, siadł w krześle i zamilkł.

Doktor, któremu miejsce na kanapie wskazał, rozpatrywał się w mieszkaniu; chciał z niego domyśleć się, odgadnąć coś z charakteru kobiety, która dlań była zagadką.

Pokój ten przeznaczony znać na przyjęcie gości, nie w zupełnej był zgodzie z mieszkaniem gospodarza. Tam panowała prawie nędza, tu wysiłek smutniejszy może od niej jeszcze skłamania jakiejś zamożności. — Było w tem wiele kunsztu kobiecego, który jednak nie zdołał pokryć rzeczywistego niedostatku. Zawsze przecież tu, gdzie mieszkała gospodyni, daleko więcej było starania o wdzięk (bez smaku) i wiele rzeczy zbytkowych. Szczególniej uderzyła doktora ilość książek niemieckich, które stosami leżały na stolikach, na komodzie, na małym fortepianiku, zarzuconym też nutami.

— Widzę, że twoja żona wiele czytać musi.

— Bardzo wiele... to jej najmilsze zajęcie z muzyką, — począł ożywiając się nieco Wolski. — Nie tylko czyta, ale nawet pisze... pisze bardzo pięknie... Gartenlaube umieszcza jej artykuły... Nadzwyczaj wykształcona... Niestety! nas Polaków

zna tylko podobno z tego obrazu, jaki skreślił Freitag w Soll und haben, i to ją takim natchnęło wstrętem.

— Nie przeszkodziło jednak pójść za ciebie — przerwał doktor.

— Zdaje mi się, że Freitaga później przeczytać musiała.

— Ale się nie możesz skarżyć przecie, aby to osłabiło uczucie jej dla ciebie...

— O! bynajmniej — począł Wolski gorąco — to kobieta z sercem anielskiem, ja jej nie wart jestem...

— Mój drogi — odezwał się garbus — co do serca z pewnością nie ustąpisz nikomu.

— Głową, inteligencyą — zdolnościami, polotem myśli mnie prześciga — mówił Wolski. — Dla tego fraszką są ofiary materyalne, jakie uczyniła dla mnie, nieocenionem prawdziwie jest jej poświęcenie na tę samotność, brak ludzi, właściwego towarzystwa... świata inteligencyi, do którego jest stworzoną... Ona wśród nędzy tego powszedniego żywota, nieraz wśród kłopotów, które mi całą przytomność i ochotę do życia odejmowały, umiała zachować spokój ducha, który wzbudzał we mnie uwielbienie...

Garbus zmilczał, wszystko to jakoś mu się dziwnem wydawało i nie zupełnie zrozumiałem, jedno tylko było jasnem, że

Wolski musiał być dosyć nieszczęśliwym.

— Będziesz więc czekał, aż ci tam przybyć pozwolą? — spytał po chwili.

— Muszę... dopóki Helma nie napisze mi, abym jechał, nie odważę się uczynić kroku. Nędza i te lata długiej walki zabiły w nim wszelką samoistność, chcieć ją wlać w niego było już próżnem; garbus to sobie powiedziawszy, posiedział chwilę i pożegnał Kajetana, — który go do drzwi odprowadził.

Powróciwszy do domu doktor zajął się bieżącemi sprawami i trochę o drezdeńskiej przygodzie zapomniał. Czekali na niego chorzy, klienci, przyjaciele i mnóstwo interesów, w których zwykł był pośredniczyć. — Pomimo to Wolski mu się przypominał. Smutna jego zmieniona twarz stała mu w oczach, ciekawym był dowiedzieć się czegoś o nim i przy pierwszej zręczności puścił się do Berlina na zwiady. Chociaż do znajomości niemieckich nie skory — garbus miał tu jednego człowieka, dla którego przyjaźń od czasu uniwersytetu dochował.

Był to stary profesor Cylius, teraz już emeryt, dożywający dni swego żywota na bruku, do którego nałogowo przyrósł. Był to najpoczciwszy człowiek w świecie i w ca-

łem znaczeniu wyrazu tego człowiek. — Patrzał tak z góry na świat, że drobne namiętnostki — wszystko, co różni i co rozpłomienia ludzi, dla niego było rzeczą niezrozumiałą. — Filozof, sceptyk łagodny, serca anielskiego, Cylius na starość zabawiał się śledzeniem ruchu umysłów tak, jakby w teatrze przypatrywał się grze aktorów.

Uczony, należał do tej niezmiernie rzadkiej kategoryi, która wie, że się do śmierci ucząc, pozostaje nieukiem.

Rozumiał, że nauka była drogą, ale cel jej i ostateczne słowo gdzieś po za światami. — Nie gniewała go żadna teorya, bo wszystkie uważał za przejściowe, za stopnie, po których się szło ku wysokościom, nie mogąc ich doścignąć.

W charakterze i sposobie widzenia rzeczy Cylius miał wiele analogii z Wojtusiem, dlatego garbus był mu jednym z najmilszych uczniów dawniej a teraz jednym z najukochańszych młodych przyjaciół. Ile razy Wojtuś przyjeżdżał do Berlina, szedł zawsze na Französische Strasse do starego i w jego towarzystwie spędzał większą część wolnych od zatrudnień godzin.

Cylius był nieżonaty, zajmował ze swemi książkami parę kawalerskich pokoików na pierwszem piętrze od tyłu... z oknami na

ogród. Stał tu już lat kilkanaście i był jak u siebie. Życie wiódł regularne jak zegarek a pracowite jako mrówka. Chociaż oczy miał osłabione i popsute, czytał niezmiernie wiele a drugie tyle chodził... Powiadał, że go oczy i uszy zarówno uczyły i że nie było ani obojętnego widoku dla rozumnego człowieka ani głupiej książki...

Można mu to tylko było zarzucić, iż czytał bez wyboru i bez ładu, ale się to wszystko porządkowało w jego starej głowie jakimś bezwiednym procesem, tak, że się znajdowało na swojem miejscu. Zaciekawiało go wszystko, nie roznamiętniało nic.

Życie wiódł skromne, choć bardzo był dostatni. A raz dobiwszy się niezależności i dochodu, który mu starczył na jego potrzeby, wyrzekł się praktyki znajdując, iż był do niej za stary i że ją młodszym należało zostawić.

Mały, ruchawy, żywy jeszcze, zawsze ubrany czyściuchno i z pewną nawet wytworną prostotą, znany był ze swego kapelusza z szerokiemi skrzydłami i złotych okularów całemu niemal miastu... Znał też jeźli nie wszystkich, to co było najlepszego i najciekawszego. Mieszkając tu od bardzo dawna, jako lekarz, profesor, urzędnik mało się o kogo nie otarł. Przyjaznym był

dla wszystkich — niechętnych nie znał prawie. Rozbrajał ich swą słodyczą, której nic zatrzeć nie mogło.

I tym razem przybywszy do Berlina, Wojtuś pospieszył do starego profesora. — Zastał go właśnie wychodzącego z mieszkania i wkładającego klucz do kieszeni. Staruszek poznał go i otwartemi powitał rękami.

— Cóż ty tu robisz, szanowny doktorze? — zawołał — ty, co nie lubisz Berlina i nas wszystkich Niemców? Co cię tu sprowadziło?

— Najwięcej pragnienie widzenia pana profesora... — odparł garbus kłaniając się.

Staruszek pokłonił mu się jeszcze niżej.

— Zbytek łaski lub żarty... do starych takich ruin jak ja tylko archeologowie jeżdżą, a waszmość nadto masz jeszcze z żywym światem do czynienia, ażebyś się przeszłością żywić potrzebował.

Podniósł głowę profesor i spytał.

— Cóż! nie ożeniłeś się jeszcze...

— Czekam, abyś mi pan dał dobry przykład...

— O! toś się źle wybrał... Wprawdzie — rzekł zniżając głowę — miałem trzy ładne panny, które za mnie osiwiałego iść się ofiarowały, alem im oświadczył, że się spóźniły... Rachowały na prędką sukcesyę

i byłyby się omyliły szkaradnie... a ja — oprócz innych niedogodności miałbym w domu pch...

Profesor chciał otworzyć mieszkanie, garbus go wstrzymał.

— Dokąd pan idziesz?

— A! na moją nieuchronną przechadzkę.

— Więc służę...

Wyszli razem. Garbus był najpewniejszym, iż od Cyliusa się dowie coś o panu radcy von Riebe i o losie jego rodziny. Niechciał wszakże dopytywać się natrętnie i ściągać uwagi, wolał, aby to samo przyszło z rozmowy. Stary profesor dał do wyboru cel przechadzki, skierowali się więc ku kościołowi św. Jadwigi, w pobliżu którego stał dom radcy komercyjnego. Po drodze Cylius dopytywał o losy dawnych uczniów swoich. Było to wybornym środkiem do przypomnienia mu Wolskiego. Cylius miał pamięć doskonałą, przynosiła mu ona razem z nazwiskiem fizygnomię i charakterystykę.

— Wolski! a tak — rzekł — przypominam go sobie, piękny chłopak i nie bez zdolności, lecz bodaj, czy jak wielu z was, poczciwych Polaków (tak profesor zwykł był nazywać ich) — czy nie przekładał życia nad naukę.

Pomyślał chwilę.

— Wszak prawda? to ten, który ocalił życie młodemu synowi radcy von Riebe...

Na von przyłożył przycisk i uśmiechnął się.

— W liberalnych Niemczech, — odezwał się, — z osobliwszą czcią są dla tych trzech głosek! Kto je ma szczęście posiadać z prawa natury lub dobić się prawem służebnictwa, chodzi jak indyk napuszony oddzielnym dworem od pospolitego gminu... Ja tego von znałem, gdy był początkowo Laufburszem w małym handlu, odbywając nowicyat... Powiodło mu się.

— Ale jedynaka syna podobno utracił — rzekł garbus.

— Tak — napróżno go raz Wolski z wody wydobył, zabił się z konia...

— Wolski ożenił się z jego siostrą.

— Wiem, wiem, jakżebym nie wiedział, z pastorem jego krewnym grywamy w szachy kilka razy w tydzień. Cały ten dom znam doskonale i wszystkie ich stosunki. Choć w Wolskim złapali sobie von drugie, nie chcieli go podobno i córki się wyrzekli i głodem im mrzeć dali, póki syna nie stracili... teraz będzie inaczej... Stary radca komercyjny swoje von chce przekazać potomności, pewnie więc wnuki i córkę przyjmie i ma się starać, aby im pozwolono połączyć, dwa nazwiska... będą więc

von Wolski-Riebe albo von Ribe-Wolski.

I śmiać się zaczął.

— W takim razie i Wolskiego przyjąć musi...

Cylius ruszył ramionami. — Zdaje mi się, że już on tam jest i że mu z żoną dano drugie piętro w kamienicy... Tak! tak! Mówił mi o tem pastor... Wilhelmina odzyskała swą dawną władzę nad ojcem i matką...

— Cieszę się z tego niewymownie — dodał garbus — bom widział tego biednego człowieka długo walczącego z niedostatkiem, z nędzą prawie, i tak znękanego, że mnie prawdziwa nad nim litość brała.

— Daj Boże, aby i teraz z czem do walczenia nie miał — krótko i sucho dokończył profesor — ludzie całe życie walczyć muszą; życie jest nieustannym bojem...

— Tylko nie dla was, szanowny profesorze!...

— Jakto? — oburzył się stary — jakby go to obraziło... jakto? nie widziszże, iż walczyć muszę ze starością, któraby mnie chciała w niedołęgę przemienić, z władzami słabnącemi ciała i umysłu... z pannami, które chcą wyjść za starego, aby po nim wziąć spadek, i z tajemnicami świata i życia, do których myślą szturmuję.

Tak rozmawiając zbliżyli się do kamienicy radcy komercyjnego von Riebe. Właśnie mocno już podstarzały, ale zawsze jeszcze majestatycznej postawy radca z parasolem pod pachą wychodził z domu i zobaczywszy profesora salutował go bardzo grzecznie. Ukłon ten emeryt temu był winien, iż radca wiedział o tem, jako był komandorem orła czerwonego z gwiazdą. Z wielkim więc dlań był respektem, on, co miał tylko znak ogólny honorowy i jakąś drugą nieznaczącą wstążeczkę. — Zbliżył się nawet pospiesznie do staruszka, aby mieć szczęście przemówić doń słów parę i pochlubić się tem w resursie.

— Czcigodnego pana radcy sługa najniższy... sługa najniższy... — począł, zaledwie odpowiadając na ukłon garbusa, którego nie znał i w którym się zapewne Polaka nie domyślał — jakże zdrowie?

— Moje dobrze, a ja was, panie radco, nie pytam o wasze, bo je z twarzy widzę... wyglądacie doskonale...

— Mimo zmartwień tysiąca! — zawołał Riebe. — Wiesz pan zapewne od pastora, którego często pono widujesz, że straciłem jedynego, ukochanego syna, młodzieńca najpiękniejszych nadziei. Niemcy byłyby się nim pochlubić mogły... Inteligencya

była znakomita, nauka ogromna... los mi go pozazdrościł.

— Masz pan córkę — dorzucił Cylius.

— Tak, nie pospolitą, mogę powiedzieć, istotę, która nieszczęściem zakochała mi się była w polskim zrujnowanym baronie i musiałem ją wydać za niego. Imię piękne... ale... ja tylko na wnuki rachuję... z Polaka nam nic nie zrobić.

— Hę? — spytał doktor — nie podzielam w tem pańskiego zdania. Polacy mają wiele przymiotów.

— Ale wad jeszcze więcej — odparł Riebe. — Mój zięć, nie mogę powiedzieć, człowiek uczony, ma tytuł doktora...

— Uczeń mój — rzekł Cylius.

— A! a! doprawdy — przerwał radca — pan go znasz?

— Bardzo dobrze...

— Nie potrzebuję więc mówić o nim — dokończył Riebe — ale gdybyś pan znał córkę moją, dopierobyś osądzić mógł, że czegoś lepszego była warta... choć temu człowiekowi nie ujmuję.

Garbus byłby się z chęcią przysłuchiwał dłużej rozmowie, lecz w tej chwili nadszedł ktoś, co musiał mieć jakiegoś jeszcze znakomitszego orła niż Cylius, bo Riebe powitał go bardzo nizko i co prędzej poże-

gnawszy emeryta przyłączył się do jego towarzystwa.

Był to jakiś radca ministeryalny i ekscelencya. Niemcy lubią się wyśmiewać z próżności Francuzów, z ich upodobania w tytułach i wstążeczkach, lecz gdzież do tych dziecinnych zabawek więcej przywiązują wagi niż nad Spreą, i jaki jest kraj, gdzieby, zliczywszy wszystkie ordery, ich klasy, rodzaje, ozdoby i tytuły i klasyfikacye, do takiej liczby olbrzymiej stopniowań i cieniowań dojść można jak w Prusiech?

Samych radców ile jest gatunków i podgatunków — z rozmaitemi predykatami... morze do wypicia.

Cylius odwrócił się nieco i popatrzał za odchodzącym.

— Rzadki egzemplarz — rzekł — człek, który się nigdy nic nie uczył, nigdy nic nie umiał, a potrafi się tak wykręcać, że więcej jak pięć razy na godzinę w rozmowie bąka nie strzeli...

Rok 1866 wstrząsnął całemi Niemcami i stanowił przesilenie, które o życiu ich lub śmierci wyrokowało. Oprócz skutków politycznych, dotykalnych anneksyi, eufemiczne nazwanych tem łagodzącem imieniem, choćby się były mogły inaczej nazywać, w umysłach i pojęciach zrządził on wielkie zmiany. Idea jedności Niemiec dojrzała, sformułowała się i miała odwagę wypowiedzieć hukiem dział, wymierzonych przeciw partykularystom, co śmieli mniejszą kochać ojczyznę i stare Niemiec tradycye... Najobojętniejsi ludzie roznamiętniali się potęgą i wielkością przyszłą tych Niemiec, w które jeszcze Lessing nie wierzył, o których mówiąc Fryderyk II. z Gellertem znajdował, że absurdem było o jednym panującym myśleć dla tak rozlicznych krajów.

Po ulicach, które baron Beust przejeżdżał z rozwianemi włosami, spoglądając na szeregi śpiewaków — ciągnęło teraz w milczeniu wojsko pruskie i zajmowało

stolicę Wettinów, a po niej wszystkie małe stoliczki, jakie się mu podobało.

Patryotyzm wielko-niemiecki przyklaskiwał Prusom a Prusy przyklaskiwały patryotyzmowi niemieckiemu, którym się tak wybornie posługiwać umiały. Z obu stron zdawało się i zdaje, iż jedna drugą potrafi wyzyskać — dla swego interesu...

Komedya nie skończona jeszcze — do dziś dnia na piąty akt jej czekamy. Z genialnością sobie właściwą hrabia, naówczas Bismark, umiał puls średniej, na pół wykształconej klasy pomacać i zrozumiał, jak, ona mu ze swem curtum visum wybornie służyć będzie, sądząc, że służy idei.

W następnym roku doktor Wojciech znajomy nam już, wybranym został z Księstwa do parlamentu pruskiego i musiał jechać do Berlina grać tę smutną rolę posła polskiego, z którego niedouczone, niedokształcone a zarozumiałe mędrki śmieją się jak owi, co niegdyś wołali — Ecce homo! Wiekuisty to los tych, co z ideą walczą przeciwko interesom.

Gdy do niego ta wiadomość doszła, iż został obrany posłem, Wojtuś się za głowę pochwycił — nie chciał przyjąć mandatu... Trzydzieści osób naszło jego spokojną kwaterę, dowodząc mu w imię obowiązków obywatelskich, że taki mandat, tak zaszczytny

dowód zaufania odrzuconym być nie może. Trzeba się więc było pakować i jechać w dziesięciu walczyć przeciwko dwóchset ludziom umyślnie głuchym i dobrowolnie ślepym.

Mówiliśmy już, że rezygnacya w rzeczach nieuniknionych była przymiotem Wojtusia. Jak skoro dojrzał, iż rzecz być musiała, stawał naprzeciw niej, zakasując rękawy do walki na śmierć i życie. Tegoż samego dnia miał tłumok ułożony i dorożkę zamówioną na kolej a nazajutrz był już w Berlinie. Tu wybrawszy sobie jak najtańszy i jak najmniej obrzydliwy lokal w hotelu niezbyt oddalonym od prowizoryjnego parlamentu, Wojtuś dopełniwszy wszystkich obowiązków urzędowych... pomyślał, jakiemi słodyczami mógł sobie nieco pobyt w tych koszarach uprzyjemnić a przynajmniej znośniejszym uczynić... profesor Cylius był jednym z pierwszych na liście, ale też zaraz przypomniał sobie Wolskiego.

W trzy dni później nad wieczorem dążył już ku kościołowi św. Jadwigi i szukał kamienicy radcy komercyjnego. Dobra pamięć dozwoliła mu ją łatwo rozpoznać. Wiedział, że Wolski mieszkał na drugiem piętrze. Dom wewnątrz był bardzo starannie utrzymany, a na drugie piętro pro-

wadził dywanik, wyścielający schody. Tu na drzwiach przyśróbowana blaszka świeciła napisem

Baron Dr. von Wolski.

Nie omylił się więc — zadzwonił.

Z poza drzwi na pół szklanych, odsłoniwszy firanki, wyjrzała głowa jakaś i znikła, a po chwili ukazał się rodzaj grooma w liberyi.

— W domu doktor?

— Pan baron w domu... jak mam zameldować?

Wojtuś oddał swój bilet, na którym stał już tytuł deputowanego. Zobaczywszy go, sługa pobiegł... zostawiając otworem drzwi przedpokoju.

Garbus więc wszedł. Przedpokój był bardzo wytworny... Na kołku wisiały dwa surduty watowane. Przypuszczając, że jeden znich był pańskim, drugi więc gościa mógł oznaczać.

Służący, który pana szukał zapewne naprzód w jego gabinecie i nie znalazł, przebiegł przedpokój i wpadł do innych drzwi, a z tych po chwilce szybkim krokiem wysunął się Wolski.

Mrok w przedpokoju twarzy jego dobrze widzieć nie dozwalał, lecz z odezwania się poznał łatwo doktor, że był zmięszanym, choć udawał wielką radość.

— Kochany mój, rzekł — nie proszę cię do salonu... mamy gościa... mógłby cię żenować, chodź do mnie.

To mówiąc i wyprzedzając go, otworzył drzwi do małego gabinetu na prawo... Był on nieporównanie weselszym i milszym od owego na Frydrychstacie, ale miarkując z rozmiarów domu, można się było domyślać, że zięć pana radcy otrzyma dla osobistego użytku coś jednak pokaźniejszego i wygodniejszego... Pokój obity był jaskrawo niebieskim papierem i jednem oknem wychodził w ciasne podwórko a tyłem poobracaną kamienice wszelki mu widok zabierały... Sprzęt był tak skromny, jak tylko być mógł, i tak nie liczny, jakby mieszkający tu czasowo tylko przebywając o uprzyjmieniu sobie pobytu nie pomyślał.

Prawie tych samych kilka książek na stoliku i toż samo ubóstwo czegoś, coby najmniejszej dogadzało fantazyi. Szafeczka pobejcowana na orzech stała sobie skromnie w kątku a na niej futerał od cylindra nie przyczyniały się do ozdoby gabinetu... Wojtuś obejrzał się i poznał, że położenie Wolskiego nie wiele się zmienić musiało.

Spojrzał mu w oczy. Twarz była mniej zmęczona, lecz jakby tajemniczą okryta

zasłoną, uśmiechał się, przymuszając do wesołości...

— Jakże ja się cieszę — zawołał Wojtuś — że po ciężkich latach próby widzę cię nareszcie w położeniu szczęśliwem i uwolnionem od trosk codziennych, co ci życie truły...

Na uścisk Wolski odpowiedział uściskiem krótkim i zakłopotanym, poprosił siedzieć. Na powinszowanie nic nie rzekł... i pytanie tylko zadał:

— Na karcie widzę, że jesteś deputowanym?...

— A tak, na nieszczęście moje — westchnął doktor...

W tej chwili chłopak przebrany za grooma w kamaszach przyszedł coś panu powiedzieć na ucho. Wolski zdawał się, niezmiernie uradowany, zarumienił się, klapnął go po ramieniu i zawołał po jego wyjściu...

— Żona moja prosi cię do salonu — sądzę, że wyczytała na bilecie także twój tytuł deputowanego — temu jesteś winien przyjęcie, bo nie będę ci tail, że Polaków nie lubi... Poznasz przytem znakomitego naszego pisarza dr. Arnheima, przyjaciela domu, którego talent moja żona wielbi i przekonania podziela... Człowiek bardzo znakomity rzeczywiście... Musiałeś czytać

jego... rozprawę o przeznaczeniu i posłannictwie plemienia niemieckiego...

— Nigdy w świecie...

— Udawaj przynajmniej, że znasz to dzieło i, mój Wojtusiu — jak mnie kochasz... nie wyrwij mi się z jaką polakeryą.

— Co? — odskakując zapytał doktor...

Wolski się uśmiechnął.

— Pamiętaj żeś w niemieckim domu!

— Ale ba! dom pana radcy a mieszkanie Polaka...

— Proszęż cię...

— Chodźmy — zawołał porywczo garbus — nie lękaj się, potrafię pogodzić obowiązki grzecznego gościa z obowiązkami sumienia...

Wolski potarł głowę — ścisnął go za rękę, poszli do salonu.

Salon urządzony był po niemiecku — wiele pretensyi a mało gustu... Uderzyło zaraz u wnijścia doktora, jak różnie wyglądało mieszkanie pani od niezaniedbanego pokoiku męża. Tu było prawie wytwornie... W oknach stały kosze z kwiatami, papuga krzyczała w złoconej klatce... na ścianach czekając na obrazy, wisiały w szerokich ramach oddruki z alpejskiemi widokami... Znać było, iż nie smak mieszkańców ale tapicera kierował urządze-

niem tego przybytku muz, ozdobnego w fortepian i zarzuconego książkami.

Pani domu zawsze majestatycznie piękna, choć cały jej wdzięk ograniczał się na twarzy, bo postać była płaska i nie zbyt kształtna... podała rękę doktorowi na powitanie. Przy mężu wyglądała na panią, on przy niej na szabelana królowej. Wyraz twarzy energiczny, surowy był i niemiły, ale go złagodzić umiała wyrobionym uśmiechem.

Stojący za nią mężczyzna w surducie z rękami w kieszeniach, dosyć niezgrabny, ale okrutnie nadęty, godzien był szczególnego zastanowienia. Był to typ specyficznie niemiecki a nawet berliński. Twarz wyrażała na pół rozwiniętą ale wielce z siebie zadowolnioną inteligencyę, rysy jej były nie znaczące, wyraz wybitny nadawał im charakter. Zaciśnięte usta, zmrużone oczy okryte okularami, nos mały, czoło dosyć nizkie, wszystko oblane było jakby aureolą jakąś zadowolenia z siebie. Usta zaledwie raczyły otwierać się dla świata, oczy nań patrzeć prawie nie chciały, czoło w swych fałdach pomieściło już wszystko, co ludzka głowa objąć może... obu jako doktorów a Wojtusia jako deputowanego... Dr. Arnheim zajął miejsce po prawej ręce gospodyni, wspierając się

na łokciu, Wojtuś po lewej, gospodarz przy nim, pani na kanapie...

W kilku słowach dała do zrozumienia pani baronowa (tak się nazywać kazała), iż pamiętała o koleżeństwie uniwersyteckiem męża z doktorem i przypominała sobie króciuchne w Dreźnie spotkanie.

Wnet zagadnięto o to, że był deputowanym... Nie chcę czynić przykrości Wolskiemu, Wojtuś postanowił mówić jak najmniej a nadewszystko unikać wszystkiego, co na polemikę narazić mogło... Lecz sama pani chciała się coprędzej ze swem politycznem wyznaniem wiary popisać.

— Powinszować należy panu doktorowi — odezwała się — tak zaszczytnego mandatu w chwili dla Niemiec tak stanowczej i ważnej.

Wojtuś się zarumienił, chciał zrazu połknąć to — ale nie mógł.

— Pani baronowa się myli — rzekł — ja zostałem wybranym przez moich ziomków dla popierania interesów naszej narodowości.

Wolski zbladł, dr. Arnheim poruszył się, spoglądając na mówiącego, jakby śmiałkowi, co to wyrzekł, chciał się lepiej przypatrzeć, baronowa także poruszyła się na kanapie.

— Ale w parlamencie niemieckim nie

może być innych interesów jak niemieckie! — zawołała żywo.

— Na nieszczęście my nie z dobrej woli, ale zmusu przymięszani jesteśmy wcale niepotrzebnie do interesów niemieckich. Spraw naszej narodości bronić musimy — odparł doktor.

Nastąpiło milczenie. Arnheim i gospodyni spojrzeli na siebie.

Po chwilce zdawał się budzić z uśpienia uczony autor dzieła o posłannictwie plemienia niemieckiego i począł głosem profesora z katedry:

— Panowie jesteście, widzę, nie uleczeni i nie przejednani do dziś dnia... ale są konieczności historyczne, są fatalizmy nieuniknione... Misya Niemiec cywilizacyjna...

— My także, szanowny panie, przyznajemy sobie pewne posłannictwo idei i zasad — rzekł Wojtuś z uśmiechem — wątpię. żebyśmy się w tym względzie porozumieć mogli...

— Tak i mnie się zdaje — rzekł dr. Arnheim.

Gospodyni patrząc nań, uśmiechnęła się.

— Mnie się zdaje — dodała, jakby chcąc zakończyć rozmowę — że zlanie się i zjednoczenie z takim narodem jak niemiecki powinno być pożądanem i miłem... podzielać jego wielkie losy.

— Szanowna pani — uśmiechając się dodał doktor, być zjedzonym przez najpiękniejszego lwa czy panterę, jest to zawsze być zjedzonym.

Z ukosa spojrzał na Wolskiego, gdyż ten mu żywo przedstawiał to szczęście, o którym mówiła baronowa...

— Dajmy pokój tym drażliwym przedmiotom — cicho i nie śmiało wtrącił Wolski... — mówmy o czem innem.

Z drugiego pokoju wszedł chłopczyk właśnie, który mógł nastręczyć przedmiot nowy tak pożądany.

Był to najstarszy synek Wolskiego Fryc, którego on doktorowi przedstawił, szepcząc po cichu, żeby się do niego po polsku czasem nie odzywał, bo ani słowa w tym języku nie rozumie.

Chłopak był przystojny, a jako ulubieniec mamy dosyć śmiały.

Gdy garbus się nim zajął, baronowa z Arnheimem zaczęła coś szeptać po cichu i śmiać się.

Fryc bez ogródki oświadczył na pytanie, czemby sobie być życzył, iż chce być żołnierzem i bohaterem, jak ten, którego imię nosi...

Wojuś milczał — zrobiło mu się dziwnie smutno, z wyrazu jego twarzy Wolski to odgadł i oczy spuścił. Osamotniony, oto-

czony innemi ludźmi o wielu rzeczach zapomiał, wiele się w nim zatarło, które jeden teraz wyraz, spojrzenie boleśnie z duszy wyrywało i stawiło przed sumieniem.

Baronowa zawiązała znowu rozmowę.

— Spodziewam się — rzekła — że pan zmuszony mieszkać w Berlinie przez czas jakiś, częściej nas zechcesz odwiedzać, my z drem Arnheimem nawrócimy pana.

— Albo ja państwa! — zawołał Wojtuś. Z tej naiwności Polaka Arnheim się zaczął śmiać a doktór także... Śmiali się wszyscy z tej dziwacznej idei, ażeby prawda mogła być tam, gdzie jest dziesięciu przeciwko dwóchset. Za argument mogły mogły wyśmienicie służyć pięści — zwycięstwo musiało zostać po stronie większości.

— Przyznasz pan — mówiła dalej Wolska — że Berlin w oczach rośnie na europejską stolicę — nie ma jak Berlin! dla mnie nie ma w świecie jak on... to dziś istotna inteligencyi stolica.

Wojtuś nic już nie odpowiedział... co pomyślał, tego powtórzyć nie możemy.

— Nie znajdujesz pan, że jest nawet piękny? — dodała baronowa.

— Jest to niezmiernie dawno uznaną prawdą, że w rzeczach smaku spierać się

nie można... lecz... żeby Berlin aż pięknym miał być:

— Ma charakter! ma coś wojskowego, rycerskiego, majestatycznego...

— Tak, podobny jest do szachownicy, na której rozsypane stoją wojenne figury jeźdzców, wież, królów i pionków.

— To jeszcze embryon! — rzekł deklamując Arnheim... — lecz jak Rzym mógł się rozwinąć wśród pustej Kampanii, tak Berlin dźwignie się z niczego w olbrzyma na piaskach brandenburskich... Zwyciężym naturę... zrobimy raj z Hasenheide... To właśnie piękne, że w zapasach z najniewdzięczniejszą okolicą stworzymy z niej... cudo...

Baronowa z zachwytem poglądała na mówiącego, Wolski mógłby był stać się zazdrosnym, gdyby się znać nie oswoił oddawna. Arnheim .. mówił i sam się sobie przysłuchiwać zdawał. Wojtuś milczał.

Gospodarz potem był smutny i zmęczony. Odwiedziny jak na pierwszy raz zdawały się wystarczająco długie i Wojtuś wziął za kapelusz. Nie zatrzymywano go, chociaż Arnheim widocznie był tem zdziwiony, iż jego wymowa na barbarzyńcy małe wywarła wrażenie. Pożegnał go też bardzo zimno. Gospodyni trochę grzeczniej, Wolski wyszedł z nim razem i zaprosił go jeszcze na chwilę do gabinetu.

Zdawało się, iż chciał czemś zatrzeć to wrażenie, jakie dawny towarzysz mógł wynieść z jego salonu, ale długo nie zebrał się na słowo.

— Przyznaj się — zawołał wreszcie, zbierając na odwagę — ty mnie już masz za zginionego człowieka, nie prawdaż? Westchnął.

A! tak nie jest — wierz mi — ale są życia konieczności i moralne przymusy straszne. Wystaw sobie dawne położenie nasze, kobietę, która się dla mnie zrzekła wszystkiego. Mógłżem jej wydzierać jeszcze jej przekonania? dręczyć ją nawracaniem, gdy marła dla mnie głodem? W ciągu tego nowicyatu anim mógł, anim chciał walczyć w imię mojej narodowości.

— Ale się spodziewam, że dziś swobodniejszym będąc, — odparł doktór — nie zaprzesz się swych przekonań?

— A! zapewne! zapewne... lecz nie mogę drażnić... to musi przyjść stopniowo, powoli. Nie zapominaj o tem, że mamy teścia, pana radcę komercyjnego, którego oszczędzać muszę, bo i tak u niego nie jestem w łaskach.

— Nie jesteś w łaskach?

— Niestety.

— To zadanie twej żony, aby się o nie starała.

— A! na nią się skarżyć nie mogę — kobieta prawdziwie wyższa.

— Ja to widzę — odparł ze zwykłym sobie sarkazmem Wojtuś — musicie oboje stać bardzo wysoko, zkąd nawet nie widać, że ty nie masz porządnego pokoju i wygód, jakieby ci należały...

Mieszkasz jak student.

Wolski się zarumienił.

— Proszę cię — to dla tego tylko, że ja żadnych wygód nie potrzebuję, odwykłem od nich, gardzę niemi... Przez długie lata ich nie miałem, dziś stałem się dobrowolnym Diogenesem, po cóż się do tego przyzwyczajać.

Nawet Frycowi chcę tem dać dobry przykład.

Wojtuś się roześmiał. — Z twej strony jest to niezmiernie pięknem, heroicznem... ale gdybym ja był twoją żoną i kochał ciebie, nie słuchałbym a otoczyłbym cię trochę większem staraniem...

— Zmiłuj się — wybuchnął Wolski za ręce go chwytając — ale ona sto razy to chciała uczynić — ja się sam jej oparłem. Słowo ci daję!

— A zatem milczę — dodał garbus — a że gościa masz w domu odchodzę...

Wolski wyprowadził go aż na schody... Milcząc, ścisnęli się za ręce.

— Proszęż cię, odwiedź nas.. może inaczej się przekonasz o mojem szczęściu... Ja cię także będę często odwiedzał. Radca nie pozwala mi, abym się zajmował praktyką. Wątpię też, bym ją znalazł w Berlinie obok tylu sławnych lekarzy... Proletaryat, gdybym wyznaczył godziny (Sprechstunden), możeby się nauczył ciągnąć do mnie, ale radca utrzymuje, że mu schody walać będą i zabłacać... Dzieci mają bony i nauczyciela, ja w domu mało czem się zajmuję, jestem zupełnie swobodny...

— Tem lepiej, ja także wiele mieć będę godzin wolnych, zatem — do widzenia...

Wojtuś zszedł z głową spuszczoną. Rozmyślając o szczęściu towarzysza, dziwnie usta wykrzywiał...

— Miałem wielki rozum jednak, żem się nie ożenił — rzekł w duchu — muszę sobie oddać tę sprawiedliwość. Mój Boże! a ta Lutka taka była śliczna... i tak się uśmiechała, jakby mnie istotnie chciała uczynić szczęśliwym! Ale ba! stary wróbel nie dam się wziąć na plewy... Nie — nie...

Jednego poranku, gdy doktor pracował nad mową, którą miał mieć w parlamencie, wszedł Wolski mizerniejszy jak zwykle i tak smutny, że nawet wyrazu swej twarzy ukryć nie usiłował... Siadł, podparł się na łokciu, zadumał nie mówiąc słowa.

— Co ci to jest?

— Nic — głowa mnie boli!

Wojtuś mu puls pomacał.

— Poruszony czemś jesteś...

— Nie wiem...— odparł roztargniony Wolski — a ty co robisz?

— Widzisz, pracuję nad mową, która się na nic nie zda i za którą oberwiemy kilka znanych nam już obelżywych wyrażeń... Jednakże nie mogę, będąc deputowanym, nie popisać się choćby z jednym, jedynym Maiden-Speech... Uznaną jest rzeczą, iż powinniśmy protestować do końca w obliczu Europy, która śpi, i Niemiec, które się naigrawają — trzeba być posłusznym. Według mnie daleko większego znaczenia byłoby milczenie i abstynencya

tam, gdzie nic uczynić nie podobna... ale polityka abstynencyi uznaną jest za testimonium paupertatis i trzeba gardłować...

— Ja nic nie wiem, co się w parlamencie dzieje — odezwał się Wolski wciąż roztargniony — gazet nie czytam... nasłucham się dosyć rozumowań dr. Arnheima... Możeż być, by wymowne słowo w dobrej sprawie nie skutkowało?

— Rzekłeś — w dobrej sprawie — pochwycił śmiejąc się — a ja cię spytam jak Piłat, co dziś się nazywa dobrą sprawą? Dobra sprawa jest ta, która ma za sobą sto tysięcy bagnetów — wszelkie inne mogą być sobie dobre jak anioły i lśnić nadziemską jasnością prawdy... dziś się z nich śmiać będą... Dziś to, co dla Niemców jest dobre, sprawiedliwe, wielkie, szlachetne, gdy ma służyć nam, staje się złem niesłusznem, nikczemnem, nieuczciwem... Ich narodowości, powiada Schultze-Delitsch — przysługują wszelkie prawa, bo ich narodowość jest owocodajna, produkcyjna... a nasza nic nie warta, więc my do niczego prawa nie mamy!!

Ale dlatego mowę palnąć trzeba!...— dodał Wojtuś wstając i, położywszy po staremu obie ręce na ramionach Wolskiego, wpatrzył mu się w oczy...

— Spowiadaj mi się, od czego cię głowa boli... spluń tę biedę — lżej ci będzie...

Wolski spojrzał bystro, zabrakło mu odwagi, westchnął i zmilczał.

— Mów ty sobie, co chcesz, — począł Wojtuś — ja cię znam, nie usiłuj mi darmo wmówić, że jesteś w domu szczęśliwym... Dość na ciebie spojrzeć, by się domyśleć tego, z czem ty się taisz... Tobie źle jest na świecie...

Nie podnosząc oczów, jakby się wstydził, machinalnie przewracając pochwyconą książkę, Wolski szepnął cicho:

— Choćby tak było! nie ma na to rady.

— Przepraszam cię — mężczyzna powinien być głową domu; jeźli mu źle w nim, ma tysiączne środki poprawienia sobie bytu.

— Tak, gdy jest panem w domu...— rzekł Wolski — lecz ja nim nie byłem nie jestem i nie będę... Zaczęło się od wielkiego szczęścia, którego zmącić nie śmiałem nutą dla jej ucha dysharmonijną... milczałem... W nędzy i prywacyach jako silniejszy nie mogłem się znęcać nad nią... a teraz... teraz jest ona w domu rodziców, w którym rozkazuje ojciec — ja zaś... jeśli chcesz — mam rolę cierpianego sługi, nad którym wspaniałomyślne Niemcy mają trochę litości...

Ojciec mnie nie cierpi. Jest to najgłupszy człowiek pod słońcem a tak zarozumiały, jak tylko Niemiec być potrafi.

— Tak mi mów — klepiąc go po ramieniu począł Wojtuś... — teraz to się zrozumiemy, boś przecie usta rozpieczętował... A może we dwu poradzimy sobie.

— Jestem przekonany, że to niepodobieństwo.

— Zlituj się — masz przecież lub powinieneś mieć w żonie sprzymierzeńca?

— W żonie, która się lęka, ażeby jej i dzieci naszych ten gbur Niemczysko nie wygnał a nie wziął sobie synowca za spadkobiercę imienia i majątku. O tem już była mowa.

Musiałem na łup mu oddać dzieci, dozwalając je wychowywać najniedorzeczniej dla tego, aby im ten nieszczęsny majątek zachować. Dałem słowo, że żadne z nich po polsku się uczyć nie będzie.

Zamilkł nagle.

— Ależ żona! żona! — wołał Wojtuś.

— Nie zapominaj, że jest Niemką i że wyrocznią dla niej jest dr Arnheim... i jemu podobni...

— Więc cię nie kocha, jeśli widząc cię cierpiącym, nie stara się tego brzemienia ani zdjąć z ciebie, ani ci ulżyć.

— Ja ją kocham — zawołał Wolski... —

a ona mnie... Jakże ja mogę iść w porównanie z ojcem, z niemiecką ojczyzną, z ideami i z kolosalnym majątkiem pana radcy komercyjnego?

— Wiesz co, to nie ma innej rady, jak widzę, tylko pójść do Sprei i w tem samem miejscu, gdzieś nieboszczyka Haenschena ratował, utopić się, ale tak skutecznie, aby nie było komu cię z wody wyciągnąć.

— Nieraz myślałem o tem — smutnie odpowiedział Wolski — tylko nie szedłbym do brudnej ich Sprei — poszedłbym do apteki... ale ja kocham tych dzieci, te moje dzieci, które wychowanie mi odbiera, które w oczach mych odrywają od mych piersi, które uczą mną, ojcem pogardzać — dla nich cierpię.

W kradzionych chwilach na ucho... leję w nie słowa, antidota, aby na nie trucizna nie skutkowała.

Lecz cóż znaczy słowo moje obok tego, co słyszą z ust matki, co z jej piersi wyssały... Radca komercyjny czuje i wie tak dobrze, iż nie będę śmiał mu się opierać, że z przyjemnością znęca się nademną bezbronnym... Wybiera chwile, by przy dzieciach szydzić z Polski i szczepić w nich pogardę dla nas — dla mnie.

— A żona twoja pozwala na to? a ty milczysz i nie upomnisz się o prawa swoje...

— Aby mi jutro drzwi pokazano? — zapytał Wolski.

— Nimeś mi to powiedział — rzekł garbus — połowy tych rzeczy domyślałem się, całej jednak okropności tego położenia nie wyobrażałem sobie. Jestżeś tak przywiązany do niej — do dzieci...

...Ale nie! nie! nie chcę cię na złe ciągnąć! nie skończę lepiej...

Powiem inaczej — przywięzujesz-że taką wagę do tego przebrzydłego majątku, ażebyś dla niego poświęcał przyszłość dzieci? Na twojem miejscu... otrząsłbym pył z nóg i uszedł z dziećmi i żoną z tego domu... Jesteś lekarzem, kawałek chleba znajdziesz wszędzie!

— Lekarzem? – zaśmiał się Wolski – jakim ja lekarzem jestem?? Nie miałem nigdy ani myśli swobodnej, aby zużytkować naukę, ani dość ją ceniłem, by ją pielęgnować i zachować. Zapomniałem, com umiał... Nędza zjadła we mnie wszystkie siły... w niej utopiłem zdolności... jestem dziś ruiną do niczego.

Mówił to z tak przejmującą boleścią, że Wojtuś jak osłupiały go słuchał.

— Ale to nie może być — wykrzyknął — nie jest tak źle, jak mówisz — jakiś ratu-

nek być musi!! Nie mówiłeś nigdy z żoną otwarcie. Jeśli istotnie jest kobietą z sercem, uczuciem i rozumem, pojmuje i uczuje położenie twoje.

— Powinnaby je była od dawna widzieć i zrozumieć — przerwał Wolski — serce ma dobre, rozum jasny, ale dziś przedewszystkiem jest matką. — Chwila upojenia minęła, zimna rozwaga przyszła... ma dzieci... Ja dopiero po nich, po ojcu idę i matce... Ona nie szemrząc poświęciła się dla mnie, jam powinien uczynić z siebie dla niej ofiarę.

— Circulius vitiosus! — zawołał po chwili Wojtuś — z tego wyjść nie podobna.

— Tak — cierpieć potrzeba... i milczeć... Niepotrzebnie się wyspowiadałem przed tobą, ale są chwile, gdy człowiek w sobie wezbranego uczucia wstrzymać nie może...

Fryc dziś rano... nie wiem zkąd i dla czego, powtarzał ciągle — Verfluchte Polen... tkwi mi to w sercu.

— Jeżeli dzieci poratować już nie możesz... pocóż się masz zamęczać... rzuć ten dom... Wrócisz doń, gdy będzie można...

— Zamknąłby się za mną na wieki — mruknął Wolski — na wieki! Ja chcę choć patrzeć na nich...

Gdybyś ty widział małą moją Elizkę

uśmiechającą się do mnie... — gdybyś posłyszał jej szczebiotanie...

A! nie! nie! dodał — lepiej stokroć cierpieć a nie rozdzielać się od nich...

Nie wyżyłbym... myśli tej przypuścić nie mogę. A jednak wierz mi — jestem bardzo nieszczęśliwy... może daleko więcej niż mówię...

Tu oczy mu się zaiskrzyły, rzucił trzymaną książkę o stół i padł zakrywając oczy na kanapę...

Wojtuś o nic już więcej nie pytał.

Po co było krwawą sondować ranę, nie mogąc jej uleczyć. — Dreszcz przeszedł po nim tylko. Milczeli oba długo.

— Słuchaj — odezwał się wreszcie garbaty — gdy rzeczy są bez ratunku, zacisnąć usta, cierpieć — milczeć, czekać. Wprawdzie ja na tem miejscu chwyciłbym się heroicznych środków... lecz sam ci doradzać nie będę.

— Ale jakich? jakich?

— Zagroziłbym, że ich porzucę...

— Zagroził! — Wolski zaśmiał się a śmiech był przejmujący do szpiku kości — słysząc go, Wojtusiowi źle się zrobiło, rzucił się aż na krześle. — Zagroził! doskonały! — wołał Wolski — ale oni tego chcą, czekają tego, pragną... ta groźba byłaby dla nich radosną nowiną...

— Przecież nie dla niej — nie dla żony?

— Zapewne — dziwnie wybąknął Wolski — lecz do wyboru mają między mną a losem dzieci, nieochybnieby ostatnie przeniosła. U nas możeby się to odbyło inaczej, — uczuło odmiennie — Ale dla Niemki... majątek!! dwakroć, trzykroć sto tysięcy talarów! Jestże istota na świecie, którąby położona na szali przeważyła trzykroć sto tysięcy talarów!!

— Przecież ty sam przeważyłeś... — wtrącił garbus — gdy dla ciebie uszła z rodzicielskiego domu?...

— Mylisz się... Helma wyznała mi sama, iż się po ojcu tej surowości nie spodziewała nigdy, że rachowała na wpływ matki, że była pewną, iż go przebłaga... inaczej — byłaby może czekała na mnie, ale nie uszłaby ze mną...

Doktor wyczerpawszy wszystko i widząc, że w Wolskim rozdrażnienie próżne rosło, jak wprzódy rad był go do wyznań pobudzić, tak teraz pragnął je powstrzymać. Lecz raz otwarte usta biednego męczennika, który cierpiał tak długo, nie mogły się zamknąć łatwo... Rosła w nim gorączka.

— Cóż cię dziś do tego stanu przywiodło? — odezwał się Wojtuś.

— A! dziś — nic! Kropla jedna często czarę dopełni... i bryźnie z brzegów... Dzie-

cińswo... mój krawiec zamiast mi przynieść rachunek, posłał go radcy, a on, nadpisawszy na nim głupstwo, raczył mnie go odesłać...

— Czemuż go wprzód nie opłacił?

— Czem? — zapytał Wolski.

— Ależ żona...

— Żonie tak samo jak mnie każdy grosz rachują, uchodzimy za stratnych... — mówił Wolski. — Ja zarabiam, gdy się uda, i obywam się bez ich łaski, ale nie zawsze zarobić mogę — żona, gdy co dostanie, obraca na dzieci i — na książki... nigdym od niej nic nie potrzebował... głupi krawiec byłby mi oszczędził upokorzenia, czekając dni parę... znalazłem robotę... na praktykę nic liczyć niepodobna, wziąłem do tłumaczenia fizyologią... siedzę po nocach, dostanę kilkadziesiąt talarów...

— Kilkadziesiąt!

— Tak, najlepszych w świecie tłómaczów tylu mrze z głodu, iż to jeszcze łaska, żem innym odebrał robotę...

Wojtuś otworzony pugilares położył przed przyjacielem, który go zlekka odtrącił.

— Wszystko już załatwione — przeszło, skończyło się — chciałbym tylko zapomnieć, zaspać wrażenie i wrócić do tej

skorupy lodowej, którą okryty chodzić muszę...

Tylko dziś pójdziemy gdzieś razem... abym nie wrócił do domu, aż się pośpią wszyscy... Lischen moja pytać tam będzie o ojca może — ale się dużą lalką pocieszy, którą od babki dostała... Fryc nie zakłopoce się o mnie... a Emil... nie wiem...

Biedne dzieci! biedne dzieci!

Ale będą miały po sto tysięcy talarów i dziadzio wyrobi baronowstwo von Wolski — Riebe...

Zaczął się śmiać konwulsyjnie...

— Chodźmy, chwytając go za rękę — począł doktor — dosyć tego — zapraszam cię na obiad — przypomnimy dawne czasy...

Ale — cóż się stało z Richterową?

Wolski się uśmiechnął.

— Zastałem poczciwą kobietę biedniejszą niż kiedykolwiek była... zawsze w boju z niewdzięcznymi studentami, których utrzymuje.

Przyjęła mnie jako syna... popłakaliśmy się. Chodzę do niej czasami... alem nie miał siły zajść do tej mojej izdebki...

Po północy już było, gdy Wolski po przeciągniętym obiedzie, który się stał wieczerzą, rozmarzony nieco, rozgorączkowany powracał do domu... W ulicach było pusto... a około domu radcy komercyjnego żywego

ducha... W oknach ani na pierwszem ani na drugiem piętrze nie widać było światła. Tego sobie życzył właśnie. Mógł wnijść do swojej izdebki niewidziany i we śnie resztę utrapień utopić... Z pokoiku, któryśmy opisali, małe drzwiczki wiodły do szczupłej, ciemnej alkowy, w której stało nędzne łóżko doktora... z łaski czasem nieco odświeżone przez służącą, która wiedząc, że jej nikt za to słowa nie powie ani się upomni, nie potrzebowała bardzo się panem kłopotać.

Podrzędna rola, jaką Wolski grał w domu, była tak dla wszystkich widoczną, iż wpływała nawet na obejście się z nim służby. Nawykły już po części nie upominał się ani poskarżył nigdy. W domu spało wszystko... gdy dostawszy się na drugie piętro powoli drzwi otworzył i omackiem skieskierował się ku swej izdebce... Zdala dolatywało go tylko kwilenie dziecka... był to głos małej Lischen — którą matka najmniej lubiła, a którą on kochał najwięcej. Zatrzymał się chwilę, zdało mu się, że dziecię usypia — uspokojony więc powlókł się do swej alkowy.

Tylko co był wyszukał i zapalił świecę, gdy od salonu, który przez jakiś pokoik łączył się z jego gabinetem, kroki słyszeć się dały... Poznał chód żony... Byłby wiele

dał, aby się z nią dzisiaj w tem rozdrażnieniu nie widzieć, podbiegł więc prędko, aby drzwi zaryglować po cichu, ale nim pospieszył, Helma z książką w ręku ukazała się na progu...

Zmierzyła oczyma stojącego naprzeciw męża i zapytała zimno:

— Cóż się z tobą stało?

— Jakto? — odparł Wolski — dlaczegoż miało się coś stać?

— Nie byłeś cały dzień w domu.

— Dziwi mnie, żeś ty to mogła spostrzedz.

Helena spojrzała na niego z góry, zdziwiona tonem niezwyczajnym.

— Cóżto? wymówka? — rzekła marszcząc się.

— Nie — ale objaśnienie... — dodał Wolski biorąc świecę i chcąc odejść do alkowy — kobieta stała w progu potrząsając książką; nawykła była do pokory — nadskakiwania, posłuszeństwa, bunt ten raczej dziwił ją niż przestraszał.

— Rozumiem — mruknęła po cichu — towarzystwo nasze nie może ci tak przypadać do smaku jak twoich panów Polaków.

— Proszę cię moja Heleno, — odezwał się odwracając Wolski — nie zapominaj, że ja jestem też Polakiem. Winienem tylko,

żem ci tego częściej i jaśniej nie przypominał.

Kobieta zaczerwieniła się. — Nie potrzebujesz mi przypominać tego — rzekła — czuję to i widzę ciągle, nigdy się też nie zrozumiemy...

— Zwłaszcza od pewnego czasu — dodał Wolski.

— Od jakiego czasu?

Chwilę milczał doktor, ręka, w której lichtarz trzymał, trzęsła się widocznie.

— Od czasu, jak mnie nie potrzebujesz, jak przestałem być parobkiem a stałem się gracyalistą — na łasce...

— Źle ci jeszcze? — odparła Helma.

— Przypatrz się i pomyśl, a nie będziesz mnie oto pytała — zawołał wybuchając Wolski. — Możeż mi być dobrze? Jestem mężem i głową domu a gram rolę sługi... twoi rodzice nie cierpią mnie, ty zaledwie znosisz, jestem pośmiewiskiem domowych i obcych, nie mam ani władzy ani woli... Zaparłem się dla ciebie stosunków, kraju, języka mego, wszystko, co mi najdroższe... cóż mam za to? że mi nawet własnych mych dzieci nie wolno wychować, jak chcę...

Helma słuchała tych wymówek z zimną krwią pozorną, widać jednak było, że z trudnością utrzymać się mogła.

— Jesteś niewdzięczny! — krzyknęła wreszcie — poświęciłam ci, co kobieta ma najdroższego, młodość — związki rodzinne, ojca, matkę... cóżeś ty dla mnie zaofiarował? barbarzyński jakiś język i umarłą narodowość, która nigdy bardzo żywą nie była! Polak! cóż to jest? spytała drwiąco. Słowianin! Sclave! niewolnik — to wasz los i przeznaczenie... Wyście stworzeni na niewolników, my na panujących — macie to, na co zasłużyliście.

Wolski, którego cały ten dzień roznamiętnił — obrócił się groźny, zmieniony, jakim go jeszcze nigdy nie widziała Helma. Stuknął nogą o posadzkę.

— Milczeć, kobieto! — zawołał — jak wy wszyscy bezbronnemu bezkarnie chcesz mi urągać — ale nie sądź, bym był tak bezsilnym i przybitym — i robak zdeptany głowę podnosi...

Dosyć tego!...

— Śmiesz mi to mówić — ty? tu? pod dachem moich rodziców i moim, ty, któremu my dajemy przytułek z łaski... ty...

Oczy jej zapałały, podniosła pięść do góry, piękność jej zmieniła się w jakąś maskę Meduzy... — Straciła przytomność.

Ten wykrzyk szczęściem opamiętał Wolskiego i oblał go jakby zimną wodą. Po-

czuł się wyższym nad nią — spojrzał pogardliwie.

— Powtóż, coś powiedziała — rzekł stygnąc — powtóż jeszcze raz...

Helma zarumieniona, drząca, zamilkła.

— Tak, jestem tu na łasce i z łaski — dodał Wolski stawiając świecę na stole — przypomniałaś mi to — czas koniec położyć temu... Mężczyzna na łasce kobiety, której serce dla niego bić przestało... niżej już upaść nie można... — czas się podnieść!!

Nie patrząc już na nią pomyślał chwilę, świecę postawił na stole uśmiechnął się sam do siebie, kapelusz nałożył na głowę... jakaś niepewność miotała nim... póki wyminąwszy Helmę, która stała nie wiedząc, co począć z sobą, nie ruszył się krokiem szybkim przez pokoik i salon ku pokojowi dzieci... Helma pozostawszy sama zwolna, jakby ciekawością wiedzona szła za nim z głową spuszczoną. Gniew ją opuszczał, nie wiedziała, jak się skończy ta scena nie pierwsza w ich pożyciu, ale jedyna, która niecierpliwość obojga doprowadziła do krańca...

Wolski cicho wsunął się do pokoju dzieci — Lischen spała w swojej kolebce... zbliżył się ku niej i stanął nad nią. Dziecię jakby posłyszało czy poczuło kogoś, prze-

ciągnęło rączki, poruszyło główką, otwarło powieki, poznało ojca i uśmiechnęło się.

Wolski pochylił się ku kolebce.

Lischen ręce wyciągnęła ku niemu.

— Nie — ciebie porzucić nie mogę — zamruczał — chodź Lischen... chodź.

Jakby zrozumiała go rozespana dziecina przechyliła się ku niemu...

On zlekka wziął ją z poduszką razem na ręce i płaszczem, którego zrzucić nie miał czasu, otuliwszy starannie, gdy dziecię wnet oczy zamknęło do snu — podniósł i uniósł ją z sobą. Nie powracając przez salon, wprost wyszedł do przedpokoju.

Helma z książką na kolanach padła była zamyślona w krzesło w salonie, pochlebiając sobie, że się to wszystko skończy na słowach, a Wolski jutro pod zwykłe jarzmo powróci, gdy usłyszała otwierające się drzwi jedne, potem drugie i poznała, że mąż jej wyszedł... Zbladła... stała zamyślona... zdawało jej się, że to była bezsilna demonstracya tylko. Z szyderskim uśmiechem, gniewna, powlokła się przez pokój dzieci do sypialni...

Przechodząc, rzuciła okiem na kolebkę najmłodszej i spostrzegła, że jej nie było. Z załamanemi rękami, jakby nie wierząc oczom, zbliżyła się, dotknęła — pościółka

była jeszcze ciepłą... Nie było wątpliwości teraz, że Wolski zwrócił się po to, ażeby zabrać Lischen i wyjść z tego domu na zawsze...

Miłość dla Wolskiego dawno w niej ostygła, doktor nie bez przyczyny posądzał ją o serdeczne stosunki z Arnheimem, który tu co dzień i po całych dniach przesiadywał — nie szło jej o męża, obojętnego, niemiłego może, ale się czuła obrażoną... dotkniętą — cierpiała jej miłość własna. — Zgodziłaby się była na odepchnięcie go, ale odepchniętą być — na to pozwolić nie mogła... Zburzyła się gniewna i porwała natychmiast od kołyski. — Nieprzytomna przeszła się parę razy po pokoju dzieci, nie wiedząc jak, wsunęła się do salonu... zamyślona... oślepła. Potrącała się o meble i chwytała za nie, aby nie paść.

Była pewną, że ten mąż, z którym się dotąd obchodziła jak chciała, zniesie wszystko i upokorzony padnie przed nią... Co mu się stało?

Przypisywała to zuchwalstwo wpływowi jego ziomków, zetknięciu z nimi. Zwiększyło to jeszcze jej nienawiść. W tej chwili wśród nocnej ciszy, zegar wybił pierwszą. Matka spała... potrzebowała się widzieć, poradzić, przygotować z nią na dzień jutrzejszy... Chwiejącym się krokiem poszła

po światło do pokoju dzieci... wzięła je i wahała się jeszcze, iść czy nie iść?

Matka była przywiązaną do niej, do wnuków, zupełnie obojętną dla Wolskiego, do którego miała żal zawsze — ale w domu na pozór znaczyła mało a wpływ jej na radcę, niekiedy przeważny, czasem był zupełnie bezskuteczny. — Riebe w wielu rzeczach ustępował, w innych narzuconego mu zdania nie przyjmował i odpychał je zacięcie... Cicho otworzywszy drzwi, Helma zeszła na dół, miała zawsze klucz od mieszkania matki... Obawiając się rozbudzić ojca, który zresztą sypiał i chrapał jak parobek, nie jak radca komercyjny i kawaler orderu korony klasy trzeciej na pętlicy — wsunęła się ostrożnie, osłaniając światło... do drzwi pokoju matki... Była to niemal tak uboga izdebka jak ta, którą przeznaczono dla Wolskiego. Radczyni ani lubiła, ni potrzebowała przepychu...

Skrzypnięcie drzwi i promyk śwatła, natychmiast rozbudził staruszkę... porwała się przerażona, spostrzegła córkę i domyśliła się, że bytność jej o tej porze nic dobrego nie wróżyła.

Pierwszą jej myślą były wnuki... jedno z nich pewnie zasłabnąć musiało...

Złożywszy ręce czekała, co jej Helma

powie, szepcząc coś niezrozumiałego drżącemi usty...

— Co to jest? co? mów?

Córka postawiła światło, potarła czoło i padła na fotel u łóżka matki, zakrywając twarz rękami.

— Dzieci chore? — spytała matka.

— Nie! ten człowiek! te człowiek... — przerywanym głosem poczęła Helma...

— Wystaw sobie... powrócił przed chwilą... nie było go cały dzień... poszłam mu uczynić wymówkę... tak — być może, iż się uniosłam... na niewdzięcznika, który nam, mnie winien wszystko... Nie wiem... czy wrócił nietrzeźwy, czy oszalał... obszedl się ze mną, jak jabym ze sługą się nie obeszła... Zabrał Lischen i uszedł...

Lischem była właśnie faworytą babki, która powtórnie załamała ręce i cichym głosem zawołała... — W nocy! Lischen się zaziębi... z kołyski wprost! Co się z nią zrobi... to dziki człowiek, barbarzyniec, bez serca.

Staruszce łzy pociekły, córka siedziała z brwiami namarszczonemi.

— Miałam go już dosyć i odpokutowałam za błąd mój... żem się dała uwieść temu człowiekowi, który z mej nieznajomości świata korzystał... nie cierpię go, nienawidzę... ale żeby on śmiał mnie po-

rzucać... a ludzie mówili... Nie! ja tego nie zniosę...

Porwała się z krzesła i chodzić poczęła po pokoju...

— Cicho! — odezwała się matka — radca usłyszeć może! (zwała męża zawsze panem radcą). To strach tylko, to pogróżka... on jutro powróci... Znasz go, cóżby począł sam jeden z dzieckiem. Ale moja Lischen! moja Lischen... Jakbym miała przeczucie! Chciałam ją na noc wziąć do siebie...

W tej chwili donośne aż tu chrapanie radcy nagle ustało, mogło to być oznaką przebudzenia, obie kobiety przestraszone zamilkły, spoglądając na siebie. Wkrótce jednak przemogło uczucie gwałtowne, Helma zaczęła chodzić i wyrzekać gniewna, matka ją uspakajała — chrapania słychać nie było. W chwili, gdy zapomniawszy o ojcu i podniósłszy głos rozmawiały o tej nieszczęsnej nocnej przygodzie, drzwi sypialnego pokoju otwarły się nagle i radca komercyjny w narzuconym starym szlafroku, szlafmycy i pantoflach stanął jak widmo przed przerażonemi i pochwyconemi na uczynku jakiegoś spisku kobietami. Zrazu patrzał na nie rozespany, gniewnie, nadęty, wreszcie oburzony krzyknął:

— O tej godzinie! co tu baronowa robi! co to jest! powaryowałyście! ja chcę spać...

Helma najmniej się zmięszała i pierwsza postąpiła do ojca.

— Wolski uciekł z domu zabrawszy z sobą Lischen...

Riebe zdawał się nie rozumieć.

— Co? kto?—zapytał...— kto uciekł?... Poszalałyście.

— Wolski uszedł z domu, zabrawszy z sobą dziecko...

Radca osłupiały stanął.

— Uciekł? kiedy? to nie może być!

Nie pojmował, ażeby ktoś mając dach i wikt bezpłatny mógł od takiego dobrodziejstwa uciekać, choćby mu pod nosem drzazgi palono. Patrzał na żonę i córkę na przemiany... Usta się mu wykrzywiły, zamyślił się głęboko.

Kobiety czekały zaciekawione co powie.

— Uciekł!! hm! filut... Zabrał to co do niego nie należy! Córka należy do matki, synowie do ojca... ale ja mu nie dam ani jednej ani drugich...To wprost Schwindel, aby odemnie dostać pieniądze. Odartus ten jakiś — włóczęga... ten... Polak!

Splunął.

— Jakże się to stało?

Helma opowiedziała mu śmiało swoje z mężem spotkanie, wiedziała, że za to złajaną nie będzie, ale opisała je tak, jak potrzeba było dla niej i dla ojca. Radca

sierdził się coraz mocniej i fukał coraz głośniej a potakiwał córce... wtórując... Der verfluchte Pole!

Przeszedł się pary razy po pokoju namyślając.

— A! so ist's... so! so! — powtórzył razy kilka zamyślony... — Dobrze więc — zagramy my we dwóch z sobą — zobaczymy, kto z nas wygra!! zobaczymy...

— Ale mi wstyd ludzi! co jutro powiedzą... słudzy rozniosą po mieście, że mąż uszedł z domu dziecko unosząc...

—Mąż! Polak! — wzgardliwie rzekł radca, wszyscy wiedzą, że oni są szaleńcy, że mózgu nie mają, cultur unfähige!! Co mi... tam!

Idź spać, nie ma się o co troszczyć... Rachuje na mój pugilares... spekuluje na radcę... Radca mu pokaże, iż się tego nie obawia...

— Spać!... — To mówiąc splunął, podał rękę milczącej żonie i zwolna się wyniósł do swej alkowy. Helma pozostała zamyślona. Jedno uczucie miotało nią, gniew i pragnienie zemsty... Szczęściem miała przyjaciela, na którego łono nazajutrz obiecywała sobie wylać całą boleść, pewną będąc, że on ją zrozumie i podzieli. — To ją nieco uspokoiło, stawała się niemal heroiną —

schyliła się ku matce i krokiem dramatycznym wyszła napowrót na górę.

Nazajutrz cała ulica całe miasto miało mówić o niej — któż wie — Spener lub Voss pod rubryką Locales und Vormischtes mogły pomieścić jej przygodę. Arnheim się musiał postarać, aby Polak w przyzwoitem świetle w niej wystąpił.

Otuliwszy swą zdobycz płaszczem od chłodu nocnego, Wolski skierował się z nią ku Lipom (Unter den Linden) — sam dobrze nie wiedząc, gdzie i jak się podzieje. Dziecię potrzebowało co najrychlej spoczynku — on nie miał nawet dosyć siły, aby je dźwigać na ręku... Pierwszy hotel, jaki mu się nastręczył, był dlań dobrym, byle się co najprędzej pod dach dostać. Noc była cicha, jesienna, chłodnawa, chwilami wiatr wdzierał się w ulice i przelatywał je, unosząc pyły przez dzień nagromadzone...

Wolski chwycił za dzwonek i potrząsł nim z całej siły. W gospodzie spało już wszystko, lecz dziecię przebudziło się na rękach i płakać zaczęło.

Nie rychło stukanie pantoflami dało się słyszeć wewnątrz i zaspany zastępca oddźwiernego wyszedł narzuciwszy na siebie płaszcz, a ujrzawszy nieznajomego mężczyznę z dzieckiem na ręku, cofnął się prze-

straszony, chcąc mu drzwi zatrzasnąć pod nosem.

Wolski wcisnął się gwałtem prawie.

— Na miłość Bożą — zawołał — zapłacę, co zechcecie, potrzebuję izby, abym w niej przenocował.

Czarodziejski to wyraz w Niemczech, obietnica zapłaty nieograniczonej — stróż zastępujący oddźwiernego zdawał się namyślać.

Wolski wcisnął mu w rękę talara.

Na dole była ciupka wolna. Stróż mrucząc poprowadził go do niej. Nie miałby najmniejszej pewnie trudności, gdyby w towarzystwie zakwefionej jakiej pani zażądał o późnej porze mieszkania — ale z dzieckiem na ręku! Stróżowi wszystkie tragiczne historye stolicy na myśl przychodziły.

Począł się przy zapalonej świecy przypatrywać z kolei gościowi, którego twarz wzbudzona gniewem świadczyła jak najgorzej, to dziecko, które złożone na pościeli już usypiało znowu.

Wolski opamiętał się, że mało co więcej miał nad tego talara, siadł więc natychmiast, by pisać do Wojtusia, i zaklął stróża, ażeby list był o świcie umyślnym wysłany bądź co bądź.

List, na którego adres rzucił okiem do-

syć niespokojny Niemiec, nieco go ułagodził. Zmiarkował, że chyba w tem wszystkiem żadnego nie było kryminału...

Przyrzekłszy więc list co najrychlej wyprawić — odszedł, zostawiając przybysza, który się rzucił w fotel i osłoniwszy światło — postanowił tak noc przepędzić...

Na sen nie zbierało mu się wcale — rzucone były kroki! — został sam na szerokim świecie z dzieciną...

O żadnej zgodzie i przejednaniu myśleć nie mógł, pożegnał ten dom i tych ludzi, którzy pochłonęli część jego życia — na wieki! Z pierwszych dni szczęścia zmięszanego z niedolą, zostało mu mętne wspomnienie pełne boleści... za niemi szły lata całe bytu galernika w pokorze za zbrodnię odpokutowującego. Dziwił się, jak mógł tak długo wytrwać, jak mógł ją pokochać i miłość dla niej zachować tak długo. Teraz przychodziły mu na pamięć wszystkie gorycze, które pił z kielicha, co miał być pełen nektaru... z kolei przypomniał wszystkie jej wyrazy, któremi ciskała nań jak kamieniami. Odbiły się one, ale blizny po nich bolały teraz. Obraz kobiety, która mu się wydawała aniołem, potem wieszczką, Wellidą jakąś, ideałem, po woli zmienił się w Eumenidę... Stosunek jej z Arnhei-

mem teraz dopiero z całym cynizmem swym stawał przed nim... Nie kryli się wcale z uwielbieniami wzajemnemi... sto razy widział ich z dłonią w dłoni siedzących i szepcących jakieś tajemnice... nie bolało go to naówczas, — bolało teraz dopiero i oburzało.

Lecz to życie było skończone — nowe późno należało rozpocząć... Z przeszłości została mu tylko Lischen z szafirowemi oczyma, z różową buzią, ze świeżym uśmiechem dziecka, co się zaledwie budzi do żywota...

W takich marzeniach, pół senny, na pół czuwając dotrwał do dnia... Spojrzał na zegarek licząc chwile, gdy się będzie mógł garbusa doczekać. Szczęściem Lischen spała smaczno i budzić się nie myślała. Miasto ożywiać się zaczynało, dając pierwszy znak życia, bo już po niem słychać było maszerujących żołnierzy... Wolski rachował na to, że garbusa list zastanie w domu; nie omylił się szczęściem: zaledwie przyodziawszy się jako tako, Wojtuś z rozrzuconemi włosami wpadł do pokoiku... Wolski prosząc go o cichość, wskazał na uśpioną Lischen...

— Ratuj mnie! — zawołał — w tobie pokładam nadzieję, kieruj, rozkazuj, mów, ale mnie nie opuszczaj... mnie i dziecka.

Bez niego nie mogłem opuścić tego domu.:
— Bądź spokojnym — szepnął garbus — prędzej później czemś podobnem historya twoja skończyć się musiała. — Powiedz, jak do tego przyszło; rozstając się wczoraj, nie zdawałeś mi się wcale usposobionym do takiego coup de tête czy coup d'état.
Wolski począł mu opowiadać całą scenę z żoną, którą garbus zdawał się odczuwać całem sercem i burzył się za dwóch.
— Teraz, rzekł, wysłuchawszy — gdy się dziecię obudzi i my je napoimy i nakarmimy... dorożkę bierzemy, jedziemy szukać mieszkania... ja piszę do domu... aby ci na prowincyi wskazano miejsce, gdziebyś mógł osiąść. — Nim się czegoś dorobisz, zostawuję ci tysiąc talarów... tylko ani podziękowań — ani słowa...
Ścisnęli się za ręce...
Wojtuś spojrzał na zegarek, było wpół do dziesiątej. — Zwolna podniesiono storę, wpadło światło i Lischen otworzyła oczy.
— Od jutra — rzekł, patrząc na nią Wojtuś — panna zacznie uczyć się po polsku...
Lischen obudziła słę w niezłym humorze, choć nieco zdziwiona, że ani Miny, niańki, ani babki nie widać było i miejsce jakoś obce...

Ojciec jej, wziąwszy ją na kolana, potrafił wytłumaczyć, a nadewszystko pomogła do rozweselenia kawa i sucharki. — Wojtuś patrząc na dziecię posmutniał.

— Nawet w biedzie ty jeszcze jesteś szczęśliwszy odemnie — rzekł — taką uśmiechniętą twarzyczkę aniołka unosisz z sobą z rozbicia! Nie dość-że tych dwojga niebieskich oczów niewinnych... aby rozpromienić kątek, w którym się żyć będzie?

Wolskiemu łzy zakręciły się w oczach, z goryczą w sercu, pomyślał w duchu, że nikt nie zgadnie, co piastuje w dziecięciu, pociechę czy zawód — anioła czy niewdzięcznika?

W kamienicy radcy komercyjnego raniej niż zwykle pobudzili się wszyscy, możnaby raczej powiedzieć, że oprócz samego pana, który nad rankiem chrapać zączął — nikt oka nie zmrużył. Na drugiem piętrze baronowa oznajmiła służbie, że mąż jej w nocy wyjechał z Lischen, aby jej ospę zaszczepić i wywieźć ją z okolicy tej, gdzie się naturalna pokazywać zaczynała. Bajka była nie źle skomponowaną, ale słudzy słuchali trochę pod edrzwiami a więcej się jeszcze domyślali... Co gorzej, na pierwszem piętrze nie naradziwszy się z córką, radca swoim zapowiedział, że ktoby o zniknięciu barona z córeczką śmiał mówić, tęn natychmiast precz wygnany zostanie... Podług jego własnego wyrażenia — nakazał wszystkim — »stulić pyski«. Nie było to parlamentarnie ale bardzo dobitnie i zrozumiale.

Służba między sobą komentowała wypadek nocny w najrozmaitszy sposób, biorąc stronę pani więcej niż pana. Pomimo

najsurowszego zakazu a może właśnie z powodu, iż to było tak surowo zakazanem, nie mogli się słudzy wstrzymać od poufnych zwierzeń z warunkiem dochowania tajemnicy. I była tak dobrze zachowaną, że około południa bajka o doktorze, który nocą z dzieckiem znikł bez wieści — chodziła po całym Berlinie. Wśród innych jednak równie dramatycznych historyi o pobitych czeladnikach krawieckich, morderstwie na Hasenhajde i samobójstwie w loszku na ulicy Komendantów..., historya doktora przeszła, nadzwyczajnego nie wywarłszy wrażenia.

Gdy ojciec wstał — Helma blada ale ostygła już znacznie, zeszła na pierwsze piętro. Radca pił kawę z równym apetytem jak zwykle i był zupełnie spokojny.

— Nie mamy się czego trwożyć — mówił — lada chwila a on sam albo inny parlamentarz się ukaże albo mi list przyniosą... Ja się znam na tych sprawach...

Przyniesiono wprawdzie Börsenblatt radcy i kilka listów handlowych, ale spodziewanego nie było. Ile razy zadzwoniono w przedpokoju, Helma wyglądała ostrożnie, ale nie było nikogo. Posłała się dowiedzieć na górę — i tam się nikt nie zgłaszał.

O południu radca komercyjny zaczął

chodzić po pokoju i kląć Polaków.. Helma milczała, ale gniew w niej rósł znowu. Jakkolwiek najmniej kochała Lischen, która była do Wolskiego podobną — jako matce tęskno jej było za dziecięciem. Babka płakała w kątku, lecz że radca łez nie lubił, kryła się z niemi.

Na obiad poszła Helma do siebie, przypomniawszy sobie, iż Arnheima prosiła, który i nieproszony prawie codzień przychodził. I tym razem przyszedł o zwykłej godzinie, z uśmiechem podając rękę przyjaciółce. Wczoraj właśnie mówili o Wolskim, nie z wielką dlań sympatyą — uważany był bowiem za rodzaj tyrana niegodnego takiej niewiasty — i doktor Arnheim rozpoczął rozmowę od cichego:

— Pewnie i dziś go nie będzie?

— Nie wiesz więc, co się stało? doktorze — podchwyciła żywo Helma — zdaje się, że twe oczy przyjacielskie winne były z mej twarzy wyczytać, com przecierpiała. Wystaw sobie, ten człowiek śmiał, zrobiwszy mi najokropniejszą scenę w nocy...

Arnheim zbladł i zmieszał się jakby uczuł winnym.

— Ten człowiek... pochwyciwszy Lischen uszedł z domu, ani wiem dokąd, co się z nim stało.

Doktor zdziwienie okazał, ale zarazem zafrasowanie jakieś dziwne.

— Przecież nie było żadnego powodu?

— Oprócz żem mu dała odczuć niewłaściwość jego postępowania.

Zamyślił się pan Arnheim i przeszedł razy parę.

— W istocie — rzekł, — to wypadek bardzo — bardzo przykry. Kochana pani — dodał ciszej — nie dziwuję się bynajmniej jej usposobieniu, jej eksasperacyi — lecz — czy nie za gwałtownie dałaś mu uczuć?

— A! być może — nie byłam panią siebie.

Rozgniewany na mojego ojca za fraszkę, chciał mu i nam wszystkim dać to uczuć, przez cały dzień nie pokazując się w domu. Takie postępowanie...

— Lecz skądże przyszło?

— Zaczął mi czynić wymówki — pojmujesz! On! mnie! (uśmiechnęła się niby męczennicę czyniąc) nareszcie oburzenie otwarło mi usta... wszystek żal z piersi wybuchnął. Taka niewdzięczność!...

Arnheim stał skromnie, patrząc w ziemię.

— A! to się jakoś załagodzi, — rzekł.

— Dotąd nie dał nawet znać o sobie.

Rozmowa przeciągnęła się do obiadu, doktor Arnheim był poważny i zamyślony, pani gniewna, chłopcy natrętne dopyty-

wały o Lischen. Zbywano je to tem, to owem. Natychmiast po kawie przyjaciel domu pod pozorem przygotowania do odczytu na korzyść jakiegoś protestanckiego Vereinu wysunął się pospiesznie z salonu. Helma towarzyszyła mu do pierwszego piętra. Tu spodziewała się może znaleźć jakąś wiadomość. Radca siedział w fotelu kwaśny, nie było ani posłańca, ani listu.

Obrót, jaki sprawa przybierała, nie podobał się wszystkim, rachowali na jakieś układy i załatwienie skandalu. — Ale któż kiedy Polaka odgadnie? mówił w końcu radca komercyjny, — w tych głowach pali się zawsze i sami nie wiedzą, co czynią.

— Jeżeli do godziny czwartej nie odbiorę nic — odezwał się po namyśle — sądzę, że mi wypadnie pójść do mojego przyjaciela, pana dyrektora policyi i zwierzyć mu się z przygody... Przyjdzie nam w pomoc...

Chociaż — dodał jakby sam do siebie — właściwie o co mamy prosić? na co się to zdało! O pana barona Wolskiego nie mam się co dobijać tak bardzo. Lischen... hm!

Ręką machnął. — Tylko wy po Lischen płakać będziecie... gdyby dziecka nie zabrał, krokubym nie uczynił. Sądzę, że Helma prędkoby się pocieszyła.

Radczyni i Helma były tego zdania,

ażeby czekać jeszcze. Kobietom przykro było w tę przygodę w tajemniczać obcych. Radca przeciwnie nawykł był wszystko i zawsze czynić z pomocą i za wiedzą władz rządowych, zdawało mu się, że popełniał defraudacyę nie donosząc o tem dyrektorowi policyi.

Tak stały rzeczy ku wieczorowi; ile razy kobiety występowały z radami, Riebe już zniecierpliwiony okazywał największe oburzenie i milczeć im kazał. — Po czwartej wziął za kapelusz i wyszedł z domu.

Zaledwie piętnaście kroków odszedł od niego, gdy z zamku jadący szybko w powozie ukazał mu się ów przyjaciel, jak go zwał w domu — a w istocie ekscelencya w ulicy, pan dyrektor policyi. — Zdjął kapelusz i przywitał go z uszanowaniem należnem wysokiemu dostojnikowi, zwróciwszy się doń frontem. Miarkował z boleścią, iż go w domu nie znajdzie, i podniósł oczy pełne żałości, by spojrzeć za odjeżdżającym, gdy nadspodzianie dostrzegł, iż powóz wstrzymany i ekscelencya dawała mu znaki, aby się zbliżył. Jakkolwiek nieco ciężki, ruszył gimnastycznym kłusikiem.

Dyrektor siedział w powozie.

— Nie mylę się? Radca komercyjny Riebe.

— Von Riebe — do usług — Waszej ekscelencyi.

— A! to dobrze, że go spotykam.

To mówiąc wysiadł i odprowadził radcę na stronę.

— Co się u was w domu stało? spytał.

— W. eks. już uwiadomiono? zawołał przerażony Riebe.

— Kochany radco — jakimżebym był dyrektorem i stróżem bezpieczeństwa publicznego, gdybym o tem, co się dzieje w stolicy, nie wiedział.

— Sprawa natury czysto prywatnej — odezwał się radca wdzięcząc, — ale przyznam się, że szedłem szukać pociechy i rady na łonie Waszej ekscelencyi.

Dyrektor się uśmiechnął kręcąc wąsa.

— Właśnie, w dwóch słowach, — rzekł na zegarek spoglądając — co to jest?

— Jest — trudna kwalifikacya... ucieczka męża od żony z porwaniem dziecka...

— Swojego własnego?

— Tak jest — nieochybnie! zawołał radca... — nocą — po północy...

— Czy zabrał więcej co z sobą? nienależącego do niego?

— Nie — o ile wiem...

— Nic z kasy waćpana?

Radca na samo przypuszczenie się wzdrygnął.

— Zatem nie ma tu potrzeby interwe-

niować urząd — sprawa familijna. Spór z żoną, który się załagodzi...

Cieszę się z tego.

Dyrektor chciał pożegnać już radcę i ruszył się z miejsca, gdy ten podskoczył za nim.

— W. eks. wszystko wiadomo, zatem i miejsce pobytu zbiega?

Dyrektor spojrzał w górę i zamyślił się nieco.

— Nocował w hotelu pod Lipami... a teraz najęli mu mieszkanko obok prof. Cyliusa... Znasz waćpan starego Cyliusa?

— Radcę tajnego... zdrowia?

— Tak jest...

— Zna go mój krewny, pastor, zblizka, ja zdaleka...

Na tem się skończyła rozmowa i Riebe prędzej daleko, niż sądził, do domu zawrócił, cały przejęty tą uprzejmością i dobrocią, z jaką wysoki urzędnik raczył go przyjąć i publicznie z nim rozmawiać w ulicy.

Zdawało się nawet, że zmartwienie, jakiego doznał, ustąpiło na chwilę uczuciu cale odmiennemu pewnego rodzaju pogłaskanej dumy. Spieszył się tem podzielić z żoną i córką... Szczęściem nie było nad nie nikogo i radca mógł opisać swe spo-

tkanie, wypadek pamiętny i zaszczytny dla niego.

— To człowiek, począł z uniesieniem... to człowiek! Trzeba było widzieć, z jakiem humannem uczuciem mnie przyjął... jak się wyrażał serdecznie... Pełny jenerał! Czerwony orzeł pierwszej klasy z mieczami! To nie żart... Wszystko wiedział... niepojęta rzecz... wszystko — więcej niż ja... I jest tego zdania, aby pogardzić człowiekiem nikczemnym. — Uściskał mnie, ucałował i rzekł w końcu...

»Radco komercyjny von Riebe — pociesz się, masz dwóch wnuków baronów, wychowaj ich na uczciwych Niemców a o niewdzięczniku zapomnij«.

Co za człowiek!!

Kobiety milczały. Radca był wymowny i zupełnie pocieszony. Wahał się, czy wyznać przed kobietami, że wie o schronieniu zięcia, a w końcu nie mogąc wytrzymać, wygadał się i z tem. — Helma zrazu myślała pojechać i odebrać dziecko, lecz na to zabrakło jej odwagi...

Tak dzień ten cały przeszedł. Dr. Arnheim, który zwykł był zjawiać się zawsze wieczorem, nie pokazał się wcale... Helma sama chodziła po salonie z Schopenhauerem w ręku, ale go rzucała co chwila.

Nazajutrz z rana przyjścia poczty ocze-

kiwano znowu z niecierpliwością — lecz i ta nic nie przyniosła. Z południa radca powiedział sobie, że zięć musi kroić na wielką spekulacyę, gdy się tak długo namyśla i nie zgłasza.

Wieczorem nadszedł pastor, który od swego partnera szachowego dowiedział się o wypadku. Człowiek to był wielce odmienny od rodziny i nieskończenie od niej wyższy wykształceniem i charakterem. Ubogi, nie dobijał się niczego więcej nad to, co miał, nie dysputował nigdy z takimi, co go zrozumieć nie mogli, nie nawracał nikogo. Natura była flegmatyczna i uspokojona.

Wchodząc do radcostwa, w milczeniu ale z uczuciem ścisnął rękę gospodyni i jednem wejrzeniem dał jej uczuć, że wiedział o wszystkiem. Radca już chciał impetycznie opowiadać, gdy pastor mu przerwał spokojnie:

— Wiem już.

Wszczęło się tedy badanie, zkąd i jak. Nie było w tem tajemnicy. Cylius mu opowiedział to a obok niego mieszkał Wolski, na krok nie odstępujący Lischen, której kupił zabawek, ażeby mogła zapomnieć trochę o domu i nie dopominać się co chwila powrotu do niego.

Babka słuchając płakała, Helma się zżymała i gniewała — radca dumał.

— Kochany bracie, — rzekł po chwili namysłu — moglibyście nam oddać przysługę... Należałoby jutro pójść do dr Cyliusa i wybadać, co ten wyrodek sobie myśli, co on nam gotuje.

— Jakto? — zapytał pastor — ale ja i dziś wiem, co myśli i gotuje. — Wynosi się w Poznańskie jako lekarz i będzie praktykował, a do Lischen szuka bony i naturalnie zabiera ją z sobą.

— Jakto? i myśli się obyć bez nas? — śmiejąc się dodał Riebe — ale to nie może być!

Począł chodzić po pokoju. — Przecież to jest zasadzka! — mruczał...

Wszyscy oni pojąć nie mogli, ażeby kto mając tak szczęśliwe gniazdo bezpłatne, mógł je dla jakiejś fantazyi opuścić.

Pastor smutnie zaręczył im, że Wolski ani przypuszczał żadnej zgody i ani myślał o powrocie do nich.

To dało do myślenia radcy.

— Jakto? i w trzydziestym roku życia Helma ma się zostać bez męża, bez przyszłości, z dwojgiem dzieci, ani wdową, ani rozwódką! zawołał z oburzeniem. Na to ja nie pozwolę.

Nie dano mu mówić, i mruczeniem do

kończył. — W głębi duszy nie bardzo wierzył, ażeby się to tak skończyć miało. Z rachubą niemiecką inne zachował sobie rzeczy pojęcie.

Wolski nimby sobie znalazł przytułek na własnej ziemi, musiał w Berlinie pozostać. Złożyło się tak szczęliwie, iż w tej samej kamienicy, w której Cylius od tak dawna mieszkał, była para meblowanych pokojów od tyłu, z oknami na ogrody, które Wolski mógł nająć i do nich się wprowadzić. — Wojtuś napisał do Poznania, aby mu niańkę przysłano, bo oba Niemki nie chcieli. Dziecina bardzo w początkach stęskniona za braćmi, za babką, za domem, powoli z żywością umysłu dzieciom właściwą oswoiła się z nowym bytem, — a tu ją pieszczono, jak nigdy nawet u babki nie było. Wolski nie mając nic do czynienia stał się niańką najtroskliwszą, i jeśli jej nie nosił na rękach, to przy niej siedział na ziemi wśród porozrzucanych zabawek.

Wojtuś, który jak wszyscy ludzie dobrego serca dzieci lubił, godzinami tu przysiadywał, bawiąc się małą i zabawiając ją. A co najważniejsza, stary Cylius przywiązał się do tej sąsiadki ze szczególną namiętnością.

Dla staruszka było to studyum rozwijających się władz umysłowych.

Tak we trzech zasiadłszy do koła prowadzili na przemianę z nią rozmowę, śmiali się i niezmiernie byli szczęśliwi.

Garbus chciał ją zaraz zacząć uczyć po polsku, ale to mu szło tępo. Wolski nie wychodził ani na chwilę, obawiał się, znając rodzinę żony, aby nie użyli jakiego gwałtownego środka do wydarcia mu dziecka i uczynienia przykrości. Zresztą nie wiedział wcale i nie dowiadywał się, co tam zamierzano i myślano, jakie było usposobienie Helmy i jej rodziców; co do siebie miał najmocniejsze postanowienie niepowracania pod jarzmo pana radcy.

Przywiązanie do Helmy nie wygasło w nim, często bardzo odzywała się tęsknica za tą, z którą spędził tyle lat w różnym szczęściu i podzielał złe i dobre losy. — Truło mu tylko te wspomnienia podejrzenie o stosunku jej z dr Arnheim, którego sobie inaczej jak występnym tłumaczyć nie umiał. Patrzał nań z razu jako na literacką spółkę, na sympatyę czysto duchową — teraz jakoś mu się to inaczej przedstawiało. Nie widział jasno — ale był zazdrosny.

Opędzał się tem wspomnieniom, jak mógł, a starał się żyć w dziecku i dla dziecka.

Cylius przyniósł mu książek, aby sobie w pamięci trochę zaniedbaną medycynę odświeżył, a Wolski z żywem zajęciem jął się pracy, czując w niej najskuteczniejsze lekarstwo na cierpienie serca. Najpiękniejsze plany przyszłości roili z Wojtusiem, który niezmiernie był rad, że przyjaciela ocalił. Był pewny bowiem, że wlewając weń trochę odwagi przyczynił się do tego stanowczego kroku.

Postanowiono więc, że Wolski osiądzie w Lesznie lub Gnieźnie lub w któremkolwiek choćby z mniejszych miasteczek Księstwa, że sobie pozyska klientelę w sąsiedztwie, że później nabędzie domek z ogródkiem... że Lischen wychowa się pod jego okiem na pociechę ich wszystkich.

Cylius liczył się do nich...

Stary przynosił codzień w kieszeniach łakocie i fraszki a najwięcej książek z obrazkami... Sam potem ochoczo na podłodze siadał na rozesłanym kobiercu i tłumaczył je dziecku. Nieraz o swych ulubionych szachach zapomniał dla Liski. Nic nie było zabawniejszego nad widok siwowłosego wyelegantowanego człowieka, zastępującego niańkę i promieniejącego weselem... Mówił ciągle, że gdyby Lischen była do kupienia, dałby za nią połowę majątku,

aby patrzeć potem na stopniowe rozwijanie się tego kwiatuszka.

Od Riebów nie było żadnej wiadomości, z Poznańskiego także, nikomu jednak nie było tęskno oprócz Wolskiego, który chciał już rozpocząć życie pracy, męcząc się tem, że był dla Wojtusia ciężarem. Ile razy mu to powtarzał, garbus się śmiał. — Widzisz, że ja dla siebie nie wiele potrzebuję i mam aż nadto... nie łamże sobie głowy dzieciństwem.

Dziwny jest czasem w życiu ludzkiem zbieg okoliczności, trafu czy Opatrzności, któremu tak się zdumiewać można jak owej kuli Dąbrowskiego, co się zatrzymała na książce, którą pod mundur włożył przed bitwą. Jedno ocala lub gubi i to jedno przychodzi w danej godzinie jakby niewidzialną popchnięty dłonią pionek na szachownicy. Tydzień już upływał takiego życia a Wolski miał już do pomocy niańkę przybyłą z Poznania, nie młodą kobietę, która się do dziecka przywiązała serdecznie, bo całe życie nawykła była nosić podobne jemu istoty na ręku a teraz przez kilka miesięcy nie miała zajęcia. Śpiewem więc rozlegał się pokoik i Wolski nauczywszy piastunkę ostrożności, mógł wyjść przynajmniej chwilę świeżem odetchnąć powietrzem. Cylius przychodził regularnie

i zniósł swoją szachownicę do niego. Jeśli nie było posiedzenia lub komisyi, do którejby garbus należał, przychodził i on wieczorami do Wolskiego.

Przy szachach wszczynały się rozmowy o nauce i wywiązywały z nich długie rozprawy. Stary profesor, różny w tem od wielu uczonych, co się na pewnem stanowisku zatrzymawszy dalej już iść nie chcą czy nie mogą, czytał wiele, śledził nauki postępy z żywem zajęciem i rozumiał to dobrze, iż w tym pochodzie doprawdy na chwilę spocząć nie można, a kto stanie lub siądzie, tego wielki orszak porzuca za sobą. Codzień jakaś nowa rozprawa, badanie, odkrycie poruszały go, entuzyazmowały lub burzyły.

Była to niedziela. Liska z niańką bawiły się w drugim pokoju, Cylius z Wolskim grali w szachy, a stary profesor żywo coś opowiadał o nowych poszukiwaniach histologicznych, gdy z wielkim zamachem wpadł garbus do pokoju. Nigdy on inaczej nie wchodził jak ze stukiem i hałasem. Poznali go grający oba... Wystrojony był swym zwyczajem i wesół czegoś jakby po dobrym obiedzie. Wolski podniósł głowę i spytał go:

— Zkądże taki wesół powracasz?

— Nigdy nie zgadniesz, ani zkąd ani

dlaczegom taki wesół... Rzecz się ciebie tyczy, muszę ci opowiedzieć. Mam dla ciebie zatrudnienie, które ci się doskonale opłaci.

— Odebrałeś wiadomość z Księstwa?

— Nie, zupełnie co innego, wprawdzie tymczasowego, lecz doskonałego.

Dla Cyliusa mówiono po niemiecku, zwrócili się wszyscy ku garbusowi, który rękawiczki ściągał uśmiechając się.

— Osobliwszy trafunek, rzekł siadając — jestem fatalista ale w szczęśliwe fata nie wierzę, a tu — słowo daję — w opiekuńczego anioła twego należałoby dać wiarę! Wczorajszego dnia, mówił garbus, hrabia Ł — —, z którym razem jadamy w table d'hôte w hotelu rzymskim, zapytuje mnie, czybym nie znał lekarza, któryby mógł przyjąć miejsce ordynaryusza przy bardzo chorym ziomku przybyłym z cesarstwa dla poradzenia się doktorów berlińskich. — Jest to — powiada mi, człowiek niezmiernie majętny, kawaler, dziwak, — w gruncie dobry, w obejściu nieznośny, ale milioner, za kaprysy dobrze płaci... Zaraz mi ty przyszedłeś na myśl — powiadam hrabiemu — »Mam, mam żądaną osobistość w jak najlepszym gatunku i zupełnie swobodną«... To doskonale... Hrabia jednak jako dziwak zapewne będzie sobie życzył otwarcie

wprzód o tem pomówić z tobą. Pójdziemy do niego po obiedzie. Zgoda?

Wolski chciał przerwać w tem miejscu, ale garbus rękę podniósł i nakazał milczenie. — Czekaj — rzekł, — nie skończyłem, grajcie w szachy i dajcie mi się wygadać, jak należy.

— Nie widzę anioła stróża... mruknął Wolski.

— Zaraz go ci pokażę — począł Wojtuś zapalając cygaro. Po obiedzie poszliśmy na pierwsze piętro, na którem mieszkał pan radca stanu Nietyksza...

— Moja matka była z tej rodziny — zawołał Wolski zdziwiony.

— Proszę mi nie przerywać — zawołał Wojtuś. Radca zajmował salon, pokój sypialny i jeszcze tam coś więcej.

Wprowadzono nas do salonu... Tu na kanapie spostrzegłem człowieka ogromnego wzrostu, żółtego jak wosk, leżącego z książką, w której czytał przez lupę. Włos siwy... twarz pomarszczona, ogolona cała, smutna... Szlafrok perski na nim i dokoła pełno zbytkowych sprzęcików...

Na widok wchodzących podniósł się powoli. Hrabia przedstawił mu mnie i opowiedział naszą u stołu rozmowę.

Radca słuchał milczący, przebierając palcami w książce i niekiedy ostrożnie spo-

zierając na mnie. Czytałem w twarzy jego cierpienie wątroby i śledziony.

— Ledwiem się tu dowlókł — odezwał się po długim przestanku. Frerichs mi radzi, abym wziął ordynaryusza, którego kuracyą onby kierował i któryby mu zdawał sprawę — ale ja jestem człowiek kapryśny i rozkapryszony. Kto ze mną wytrzyma? z kim ja wytrzymam?«

Zacząłem panu radcy apologią Wolskiego, której słuchał z wielką uwagą. »Radbym poznać — radbym poznać... Niemiec? Polak? jak się zowie?« odpowiedziałem, że Polak i że się nazywa Wolski.

Namarszczył brwi i spuścił oczy.

»Radbym wiedział, jakich to Wolskich, jest ich wiele, a z jednymi jest nawet pokrewieństwo«... Z wyjaśnienia sprawy tej okazało się, że właśnie pan, mój doktorze, jesteś z nim w pokrewieństwie... Czy widzisz, że już dzieło Opatrzności...

— Traf szczególny, odparł Wolski, ale co mi po jego pokrewieństwie? byle był znośny i płacił za uczciwą pracę, więcej nie wymagam nic.

Garbus w uniesieniu starał się przekonać Wolskiego, iż pokrewieństwo to dobrze pielęgnowane, mogło wydać najpożądańsze owoce.

Ale wkrótce potem sami się z tego śmiali.

Radca życzył sobie, ażeby kandydat do męczeństwa przy nim stawił się dla rozmówienia i porozumienia co najrychlej. Cylius wstał, oświadczając, iż musi dla zdrowia jeszcze przechadzkę odbyć, Wolskiemu kazał się garbus ubierać. Wprzódy jednak poszli wszyscy trzej do Lischen i nie mogąc się od jej szczebiotania oderwać, posiedzieli tam jeszcze dobre pół godziny.

Naostatek czas było iść — Wolski nie bez pewnej trwogi wewnętrznej wybrał się. — W salonie zastali znowu radcę tak samo wyciągniętego na kanapie, w tym samym szlafroku perskim, ale podwiązanego jakąś chustą, bo go bok więcej niż zwyczajnie bolał. Garbus dostrzegł, jak chciwie oczy jego wlepiły się w przybywającego, i mógł poznać, że miła twarz Kajetana złego na chorym nie uczyniła wrażenia.

Radca jak pierwszym razem był nadzwyczaj zimny — prosił siedzieć, kazał podać cygara — milczał, a otworzywszy usta, począł od niezmiernie długiego wykładu swej choroby. Jak wielu chorych nauczył się, radząc ciągle, terminów medycznych, mówił o niej jak pół niedobrego doktora. Wolski cierpliwie słuchał i milczał.

Po krótkim egzaminie pulsu, sympato-

mów i t. p. Wolski, na którego chory ciągle patrzał jak w tęczę, odezwał się, że jego rola musi tu być bardzo skromną, że będzie tylko wykonawcą rozkazów dra Frerichsa i bacznym spostrzegaczem, pośrednikiem czujnym pomiędzy chorym a lekarzem.

Skromność ta podobała się radcy.

— Muszę tylko pana dobrodzieja ostrzedz,—że mam fantazye i czy to skutkiem choroby czy skutkiem wieku czy charakteru jestem — nieznośny. Humor fatalny... podejrzliwość, roznerwowanie, gderalstwo, wszystko we mnie znajdziesz.

Wolski się uśmiechnął. — To skutki słabości, rzekł, a jako lekarz oswojony z tem jestem.

— Wymagający będę — dodał radca — nieustannie go nudzić muszę... dwadzieścia razy na dzień pulsu patrzeć... Gdy zechcesz milczeć, mnie się będzie chciało rozmawiać i stękać i na odwrót.

Nie zdawał się tem nastraszony Wolski. — Ja z mojej strony, — rzekł, — tylko jeden kładę warunek: mam córeczkę, do której jestem przywiązany, której mi opuścić niepodobna, kilka razy na dzień będę musiał się o nią dowiadywać.

— A daleko to ztąd? — począł dopytywać chory.

Po obrachunku okazało się, że nie dosyćby miał Wolskiego pod ręką, gdyby kilka razy go odbiegał — zażądał więc, aby doktor z dziecięciem razem zamieszkał obok w hotelu. »Rozumie się — dodał — na moim koszcie«.

Chciał się zaraz umawiać o warunki, Wolski odmówił i powiedział, że po miesiącu, gdy się lepiej poznają, mówić o tem będą. — Tymczasem bierzesz mnie pan radca na swój koszt, to dosyć...

Mniej więcej jakoś się to ułożyło. — Pan Nietyksza niecierpliwy prosił, aby się Wolski tejże godziny przeniósł. Mieszkanie najęte ofiarował się zapłacić.

— Obejmuj pan obowiązki — dodał — uwolnij mnie od nich — nie będę potrzebował czuwać sam nad sobą, a naprzód idź pan się rozmów z Frerichsem.

— Jeśli mi się to dziś uda...

Radca nakreślił kilka słów na bilecie, posłał po powóz dla Wolskiego i spiesznie go wyprawił.

Wszystko to spadło na niego jak piorun niespodzianie, nim się mógł rozmyśleć i upamiętać. Do słynnego, lekarza wielce zawsze zajętego, z pomocą biletu radcy potrafił się dostać, choć w godzinie niezwyczajnej.

Znał go trochę Wolski z lat dawniej-

szych. — Przychodzę, rzekł, — po wskazówki i dyspozycye pana radcy.

Zagadnięty ruszył ramionami.

— Pan jesteś lekarzem, mogłeś sam poznać stan chorego. Tam nie ma już nic do czynienia, tylko mu przynieść ulgę w cierpieniu. Wątroba jest zupełnie popsuta a nie jesteśmy w stanie dostarczyć mu nowej. Rób pan, co uznasz możliwem, by życie mimo chorobliwego stanu tak ważnego organu utrzymać i przedłużyć... zresztą — powtarzam panu... życie na włosku a my Bogiem nie jesteśmy i cudów nie robimy.

Na kilka pytań zadanych odpowiedział pan radca kilku radami i konsultacya na tem się skończyła. Wolski na pierwszy rzut oka poznał był zły stan chorego, lecz bez auskultacyi nie mógł jeszcze o grożącem wnosić niebezpieczeństwie. Zrobiło mu się smutno — lecz odmówić pomocy było zapóźno, po konferencyi uczułby to podejrzliwy chory. Wolski postanowił uwolnić się po miesiącu. Tymczasem pojechał do domu, aby rozporządzić przeniesieniem dziecięcia i wracać do radcy. U Lischen zastał czekającego na siebie garbusa i Cyliusa.

Smutna jego twarz zastanowiła obu.

— Co ci jest? zapytał garbus.

— Zamiast lekarskich obowiązków nastręczyłeś mnie za grabarza—odezwał się Wolski — ten człowiek nie będzie żył.

— Choćby i tak było — odparł garbus — więc dla tego, że jest tak źle, masz mu odmówić pomocy, która mu w ostatnich chwilach ulgę przyniesie?

W ten sposób dostał się Wolski do pana radcy. Nazajutrz nastąpiły przenosiny do hotelu Lischen, niańki i całego gospodarstwa. Doktor wstąpił w obowiązki swe... a nie była to *sine cura*. Cały niemal dzień musiał być na zawołanie. Radca się gniewał i niecierpliwił o lada co, trzeba było przyczyny usuwać a wybuchy tamować.

Powaga, łagodność i spokój Wolskiego, przymioty, których go żywot małżeński z Helmą wyuczył, jego zimna krew i cierpliwość teraz mu się bardzo przydały. Radca był w gruncie dobrym i zacnym ale do najwyższego stopnia chorobą swą roznerwowanym. Nerwy popsutego organu oddziaływały na wszystkie inne. Woski musiał nieustannie mocą ducha oddziaływać na ciało, bo same środki lekarskie nie starczyły.

Rzeczą jest niezawodną, że poprzedzającemu swojemu nowicyatowi zawdzięczał Wolski to, iż w teraźniejszem położeniu,

wyższym ciągle będąc nad nie, mógł wytrwać. Radca nie mógł się wydziwić cierpliwości i niezmąconemu pokojowi ducha lekarza.

Drugiego czy trzeciego dnia, wiedząc już o pokrewieństwie i jakby wyczekując podstępnie na to, aby się Wolski sam z niem odezwał, radca nie doczekawszy się (bo Wolski najmocniej sobie postanowił nie dotykać wcale tego przedmiotu) zaczepił go o pochodzenie matki.

Doktor zbył go krótką odpowiedzią. Wieczorami nudząc się a po Petersburgu przyzwyczajonym będąc do whista, radca zaprosił garbusa, hrabiego Ł— i Wolskiego na parę robrów. Bawiono go rozmową i zapewne w jednej z tych gawędek z Wojtusiem musiał się Nietyksza dowiedzieć całej historyi swego doktora od skoczenia do Sprei aż do wyskoczenia z domu pana radcy von Riebe. Opowiadanie to sprawiło na chorym wielkie wrażenie, nie lubił bowiem Niemców, jak ich tam nie cierpią nad Newą, a skutkiem powieści sympatycznej jeszcze poglądał na Wolskiego.

Nazajutrz uparł się zobaczyć Lischen i kazał ją posadzić do stołu.

Nie bardzo lubił dzieci, lecz że ta była wesoła a Wolski szczęśliwszy z nią, radca znajdował ją śliczną i miłą. Zagadnął po-

tem Wolskiego o jego, stosunki rodzinne ale ten zmilczał i prosił go, aby tej bolesnej nie dotykać strony.

Choroba biedaka widocznie coraz się stawała groźniejszą — ale dzięki staraniom doktora, który czuwał nad nim ze szczególną pieczołowitością, nie cierpiał tak bardzo... Przyznawał sam, że to był winien wielce taktowemu postępowaniu swojego stróża więcej, niż lekarstwom... Wolski też pilnował dyety... i nie dawał mu sobie uszkodzić w niczem.

Miesiąc się zbliżał do końca, doktor radby był się oddalić, lecz chory mówić o tem nie dawał, a Wolski też przywiązał się do skazanego.

Zżyli się z sobą — obu było znośnie.

O warunki żadne nie umawiał się doktor i wręcz przystał na takie, jakie radca postanowi. Na tem się skończyło.

W drugim już miesiącu przyszedł jakiś list z Petersburga w czasie chwilowego oddalenia się Wolskiego.

Służący, który nań czatował, — dał mu znać na schodach, iż stan się pogorszył nagle — skutkiem jakiegoś zmartwienia i że z panem było bardzo źle.

Wbiegłszy znalazł go Wolski w rozdrażnieniu nie do opisania, w gorączce. Nieszczęsny list leżał jeszcze na stoliku — ale,

zobaczywszy wchodzącego, radca ścisnął go w dłoni i z pasyą w komin rzucił. — Gdy Wolski przypadł doń i pochwycił za rękę, postrzegł, że cios ten mógł życiu zagrażać. Chory zwykle gderliwy ze ściśniętymi usty nie mówił nic — żądał notaryusza.

Próżno go się starał uspokoić Wolski, musiano żądaniu dogodzić, próżno mu przedstawiał, że w tym stanie jakiekolwiek zajęcie byłoby wysilającem, niebezpiecznem. Chory na kilka godzin zamknął się z przybyłym urzędnikiem.

Po wyjściu jego dopiero wezwano Wolskiego. — Potrzeba było czegoś uspakajającego, potem kąpieli, snu i wytchnienia. Wszystko to wykonano. Znacznie lepiej się czując radca położył się spać... — Wolski rzucił się w drugim pokoju na kanapę i drzemał — chciał być w pogotowiu — jeśliby w nocy coś zaszło.

Nad ranem obudził go jęk — pobiegł i znalazł chorego już konającym.

Posłano po innych lekarzy, użyto wszelkich środków — nazajutrz skonał biedny. W ostatnich chwilach miał tyle przytomności, że czule podziękował Wolskiemu za starania i, nie mogąc mówić wiele, parę razy po cichu powtórzył:

— Testament...

Śmierć ta uczyniła na Wolskiem przy-

kre nader wrażenie. Zatelegrafowano natychmiast do siostry zmarłego do Petersburga, a tymczasem opieczętowano mieszkanie, Wolski zaś wyniósł się zazaz znowu na swe pierwsze obok Cyliusa.

Spodziewał się z wyrazów nieboszczyka jakiegoś wynagrodzenia za pracę, bo oprócz kosztów utrzymania nic nie otrzymał i o nic się nie upominał, lecz nadzieja ta była bardzo skromna. Za przybyciem siostry i otwarciem testamentu okazało się, że cały swój kapitał wywieziony z kraju i złożony z kraju i złożony w banku, wynoszący bajeczną sumę pół miliona rubli, zapisał Wolskiemu a dom, jaki miał w stolicy — siostrze. — Zapis był uczyniony z pobudki pokrewieństwa i z warunkiem, aby Wolski macierzyńskie nazwisko do swojego przyłączył.

Wiadomości tej zrazu, gdy mu ją przyniesiono, Wolski uwierzyć nie chciał, lecz przekonać mu się było łatwo, iż rzeczywiście z dnia na dzień został bogatszym od radzcy von Riebie... Cieszyło go to dla Liski... i ją pierwszą uściskał z uśmiechem szczęścia... ze łzą w oku, myśląc o niespodzianym legacie biednego radzcy... Było w nim coś tajemniczego, bo list spalony i gniew naprowadzał na myśl, że nie tyle z miłości dla Wolskiego jak z wstrętu ku

reszcie rodziny w ten sposób majątkiem rozporządził...

Z wielką radością dowiedział się o tem profesor Cylius, garbus i wszyscy przyjaciele Wolskiego. Tegoż dnia posłyszał o tem pastor i zdało mu się, że z obowiązku pokrewieństwa powinien był pierwszy tę nowinę u radców von Riebe zwiastować.

Szanowny radzca komercyjny zawsze jeszcze trwał w tem przekonaniu, iż oddalenie się Wolskiego było zasadzką i że w końcu sam będzie musiał przyjść układać się o jakąś zgodę. Nie dozwolił więc nikomu uczynić kroku... a codziennie po obiedzie na Polaków stare anegdotki wywlekał i mścił się na nich za Wolskiego. Dostawało się tam narodowi, jak się nieraz i z trybuny parlamentu kulturtregerskiego z dziwną słodyczą i taktem słyszeć daje.

Helma milczała — nie smakowała w trywialnych ekspektoracyach rodzica, ale miała inne z nieco wybrańszych autorów, Arndt'a, Heinego i Freitaga na swoją potrzebę.

Powtarzało się to niemal co dnia.

Dr Arnheim, który znowu począł bywać i przesiadywać po całych dniach na drugiem piętrze, czerpiąc z nauk przyrodniczych, z etnologii, z historyozofii i z różnych uczonych komórek, przekonywał

także baronową, że plemię słowiańskie całe było predestynowane, aby się stało pastwą i sztuką mięsa dla Germanów, że to tylko kwestya czasu, a co się tyczy Polski — we dwojga z Rosyą Prusy w krótkim przeciągu czasu tak ją zjedzą, jak zjadły Słowian rugijskich i Pomorzan...

W całym domu było to wyznaniem wiary. — I tak spokojnie dni płynęły w oczekiwaniu skruchy Wolskiego i jego pokuty. Helma utrzymywała w dodatku, że jako lekarz na chleb sobie nie potrafi zarobić, że z głodu mrzeć będzie lub żebrać. Czasem wzdychałą za Liską...

Jednego wieczora na drugiem piętrze czytano nowy poemat Juliusza Grosse, z którym dr Arnheim był w wielkiej przyjaźni i stawiał go niemal na równi z Goethem... Helma słuchała... matka, która u niej była, robiła pończochę i zdawała się myśleć wcale o czem innem a nie o przygodach pięknej Semrudy i Fallallacea — gdy w najpatetyczniejszem miejscu

Des Menschen Seele und Gedanken
Umspannen weit der Schöpfung Raum
Die Formen wechseln nur, die schwanken,
Den alles Leben ist nur Traum!!

otwierają się drzwi i radca, który ledwie dwa razy w rok bywał na drugiem pię-

trze — staje w nich ze zgasłem cygarem w ręku...

Wszyscy zamilkli... patrzą...

Jak wkuty do progu stał radca von Riebe, na twarzy jego drgało jakieś wrażenie nie do wyczytania...

Staruszka rzuciwszy pończochę, wstała sądząc, że dostanie burę za swą nieobecność na dole... Radca stał, nie mogąc przemówić słowa... Zdumienie powszechne...

Dr Arnheim poemat położywszy na stoliku, zbliżył się doń, witając go z uszanowaniem, radzca nie spojrzał nań i ledwie mu głową kiwnął.

Suwając nogami powoli doszedł do fotelu i padł stękając. Widoczne było, że coś mu ciężyło na piersi i na głowie takiem brzemieniem, że obecna rodzina nie wchodziła w rachunek.

Machinalnie przywlókł się tylko.

Helma wysunąwszy się z za stołu, podeszła ku ojcu, spostrzegłszy cygaro zagasłe i podała mu ogień... Dopiero oprzytomniawszy Riebe zapalił cygaro, pociągnął i zniecierpliwiony cisnął je o ziemię.

Widocznie coś mu się stało — myśleli wszyscy... Z trwogą zaczęła przypuszczać Helma i sama radczyni, że się chyba fatalnie na giełdzie musiał ośliznąć. Nie śmiano go już pytać.

Dr Arnheim dobył cygarówkę i podał wyschłe, doskonałe cygaro ofiarowane mu przez jednego z przyjaciół — gründerów. Machinalnie przyjął je radca, odkąsił, zapalił, pociągnął i westchnął.

Było to westchnienie wielbłąda, z którego juki składają.

Potem klął ale nie wyraźnie.

Wszyscy nań patrzeli, słuchali, czekali i milczenie straszne, przedburzne panowało w salonie... Pociągnął jeszcze raz i zaklął raz jeszcze. Pięścią stuknął o poręcz krzesła i wstał.

Za trzecim razem — Der verfluchte Pole! — wyrwało mu się tak wyraźnie, że tajemnica do połowy była odsłoniona.

Helma zbladła — nie umiała się domyśleć, co nowego popełnił jej dawny mąż.

— Hören sie mal! począł nagle radca, tylko co był pastor z nowiną na dole... Ein Märchen! unglaublich. Baronowi Wolskiemu umierający krewny zapisał pół miliona talarów.

Wszyscy porwali się z krzeseł — Helma podbiegła do ojca.

— Ale możesz to być? możesz to być?

— Jak mnie widzicie żywego!... Gotówką w banku.

Radca obie ręce przed siebie wyciągnął.

— Nie — rzekł — nie — ja nigdy nie pochwalałem tego z nim postępowania... Tego sobie do wyrzucenia nie mam, abym się przyłożył do zrywania z nim, zawsze byłem za zgodą... ale z wami, babami tak zawsze.

Osłupieli wszyscy, nikt jednak nie ośmielił się zaprzeczać.

— To nie był tak zły człowiek... ja zawsze mówiłem; jedyna jego wada, że Polak i miał naturę tę słowiańską — gnuśną — nieznośną, ale serce dobre... serce przedziwne i charakter szlachetny... Wiele on razy mógł mnie udrzeć a nie udarł.

Wśród powszechnego milczenia radca zamyślony po pokoju się przechadzał.

Owo pół miliona nakazywało zwrot konieczny, bądź co bądź... Należało się przejednać. Prawda ta stawała z niemiecką oczywistością swą w oczach wszystkim. — Wobec tego pół miliona nikły wszelkie inne względy. Radca już myślał tylko, jaki temu obrót nadać należało. Pastor mógł służyć za narzędzie przygotowawcze, Cylius... wreszcie Helma... niepodobieństwem było, ażeby ona nie zachowała władzy swej nad mężem... a Fryc i Emil... dzieci... Radca nie tracił nadziei, że pojednanie musi nastąpić i że on je doprowadzi do skutku. Rachował już, jakie połączenie

dwóch fortun znacznych przynieść może korzyści — milion talarów uśmiechał się w bengalskiem świetle na niebiosach jego ideałów.

Dr Arnheim przekonawszy się, że czytanie dalszych przygód pięknej Semrady tego dnia już nie przyjdzie do skutku — złożył książkę i zabierał się do wyjścia. Nikt go nie powstrzymywał, nikt nie odprowadzał, nawet oczy Helmy nie poszły za nim, wszyscy jeszcze rażeni tą nowiną siedzieli, stali jak posągi zadumane.

Gdy się drzwi zamknęły za nim, Helma odważyła się usta otworzyć.

— Ale, kochany ojcze—odezwała się—kochany ojcze — ja winy tych wypadków, które mnie najboleśniej dotknęły, wziąć na siebie nie mogę. Ja czuję się zupełnie niewinną.

— A któż winien? ja? ja? — gwałtownie wybuchnął radca — a któż go tak przyjął powracającego, że musiał z domu uciekać nocą? hę?

— Któż go pierwszy doprowadził do tego rozdrażnienia małym rachunkiem krawieckim? — podchwyciła Helma.

— Jakim? gdzie? co? jabym był rachunek zapłacił. — To był Spass! głupi Polak żartu nie zrozumiał, do kogóż to należało, jeśli nie do żony wytłumaczyć mu

i uspokoić? Ale nie — jątrzyłaś go — jątrzyłaś — aż do ostateczności doszło i do kata — (chciał powiedzieć — klizmu, ale tu mu się język splątał, nie był pewien, czy klizmu czy plazmu, czy grafii dodać należało) pociągnął z cygara dymu.

— Zawsze powtarzam, to nie był zły człowiek! A któż mego biednego Hänschena z wody wyciągnął? Prawda, że to tylko dwadzieścia kilka tysięcy talarów kosztowało i na nic się nie zdało, gdy nie miał żyć, ale intencyą miał szlachetną.

— Teraz — dodał radca — kto popsuł, ten naprawić powinien... ty Helmo... tak — ty — trzeba go przeprosić...

Kobieta się oburzyła. — Nigdy w świecie!

— Tu idzie o los dzieci. Pół miliona talarów...

Helma przeszła się po salonie gwałtownie poruszona.

— Jakże wy tego nie widzicie, mój ojcze, zawołała stając nagle, że to wszystko jest kłamstwem i intrygą, że oni puścili tę wieść, aby nas upokorzyć i zmusić do uczynienia pierwszego kroku.

— Pastor! pastor nie może być w spisku — Unsinn!

— Pastor jest człowiekiem dobrej wiary, użyto go bez jego wiedzy. Gdzież to kto na świecie słyszał, aby nieznajomy ubogiemu zapisał taką sumę.

Radca się mocno zadumał.

— Mnie się to samemu wydało bajką... lecz — pastor — Cylius.

— Ale oni wszystkich okłamać mogą — przerwała Helma.

— Tak! masz rozum — należy być bardzo ostrożnym... — Zasadzka! może być zasadzka... czekać trzeba i pilne mieć oko. Moglibyśmy być skompromitowani.

Wiara tem łatwiej została zachwianą, iż radzca nie mógł nigdy zrozumieć darowizny sumy tak znacznej — z dobrej woli... nieznajomemu.

— No tak! mruknął zadumany na wpół sam do siebie — a — a gdyby to było prawdą? gdyby... Nie zaprzeczysz — rzekł, zwracając się do córki — że naówczas obowiązkiem twoim jest pojednać się z nim. Polak nie Polak, pół miliona talarów dla dzieci. Synówbyśmy tak pokierowali przy ich baronostwie, że jedenby był Moltkiem a drugi Bismarckiem... Chłopcy zdatne!! Albo my to Podbielskich i Leszczyńskich, nie mamy na wysokich stopniach...

W chłopcach już ani żyłki polskiej nie

ma, Prusaki czystej wody... Fryca nauczyłem verfluchte Pole, i ani się zająknie...

Wśród mowy zadumał się nagle i zamilkł. Helma tryumfowała nieco.

Jej się ta zmiana losu nie mogła w głowie pomieścić... wierzyła w polskie machiawelstwo i intrygę.

Do późnej nocy rozprawiając o tem, rozeszli się, wreszcie od dnia następującego oczekując albo potwierdzenia lub obalenia dziwnej powieści.

Radca nie mógł spać dobrze, chrapanie własne jak głos sumienia go budziło, wstał raniej niż zwykle, tak, że kawy jeszcze nawet gotowej nie znalazł. Chłopiec od piekarza, który zrana bułki świeże przynosił, jeszcze się był nie zjawił. — Zaledwie posiliwszy się nieco, że dzień był mglisty, opatrzony w parasol puścił się do miasta. Nie wiedząc dokąd, postanowił pójść do Cyliusa... którego trochę znając a powołując się na pastora, — łatwo od niego mógł o czemś się dowiedzieć...

Godzina była, w której profesor nigdy prawie nie przyjmował — śniadał i czytał a studyował.

Mały pokoik, w którym do południa przebywał, cały był ostawiony szafami pełnemi książek. Ogromny stół w pośrodku, którego zaledwie rożek jeden był wolny,

zajmowały pisma peryodyczne, nowe publikacye i broszury. Do tego przybytku nie wpuszczano nikogo, bo tu dosyć było nieostrożnie potrącić książkę, aby sprawić nieład, który niełatwo dawał się naprawić. Radca nie zapominając o tem, że emeryt miał predykat ekscelencyi — wszedł na na palcach do przedpokoju nader skromnie i zastawszy tu służącą, która półbuciki doktora ze szczególnym szuwaksowała afektem, ukłonił się jej, pozdrowił i prosił o audyencyę...

Sługa oświadczyła mu, że radca nie przyjmował nigdy o tej godzinie — że jego Sprechstunden były po obiedzie. W odpowiedzi na to Riebe, popierając pięciu srebrnikami swą prośbę żądał tylko, aby bilet jego wręczyła radcy, a na bilecie dopisał, że ma interes pilny.

Służąca ostrożnie postawiwszy but pański, którego połysk ją cieszył, zgodziła się i na schowanie srebrników do kieszeni i na zaniesienie biletu.

Dr Cylius zamyślony odczytał, skrzywił się mocno — zawołał zrazu: — Nie ma mnie w domu! ale po chwili szlafroczka i czapeczki poprawiwszy do saloniku wyszedł. Salonik wyglądał staroświecko, zdobiły go dawne dary z czasów praktyki

i profesury... Nie piękne to było — lecz czyściuchne i utrzymane starannie.

Był w jednym progu, gdy na drugim z pełnym słodyczy wyrazem zjawił się Riebe przepraszając, że śmiał ważne przerywać prace, i błagając o chwilkę posłuchania.

Siedli oba na kanapie. Radca komercyjny spojrzał na radcę zdrowia, a radca zdrowia poglądał na radcę komercyjnego. Milczenie było spowodowane tem, że radca zdrowia nie wiedział, co mówić, a radca komercyjny, jak powiedzieć to, z czem przyszedł.

Rozpoczęło się od grzeczności, po czem popełniwszy kilka grubych niedorzeczności w ubieganiu się za stylem wykwintnym, który mu się zdawał niezbędnym mówiąc z uczonym — radca komercyjny wyłuszczył powód swojego przybycia — chciał wiedzieć, czy istotnie jego zięć, którego zawsze oceniać umiał — został spadkobiercą tak znacznego majątku?

Cylius się uśmiechnął.

— Rzecz najniezawodniejsza w świecie — odpowiedział wesoło — byłem przytomnym prawie czytaniu aktu, i ani legat ani suma złożona w banku nie ulegają najmniejszej wątpliwości...

Riebe się zamyślił.

— Godzien był tego ten człowiek szlachetny — odezwał się z głębokim przejęciem — ubolewałem zawsze nad nieporozumieniem, jakie zaszło między córką moją, która tyle mu dała przywiązania dowodów, a tak zacnym ze wszech miar człowiekiem. Nie wątpię jednak, iż to się wszystko da jeszcze naprawić...

Cylius zmilczał.

Pytające wejrzenie, które nań rzucił radca, pozostało bez odpowiedzi.

Chciał jeszcze Riebe przedłużyć rozmowę — gdy wniesiono dzienniki, doktór wziął je z niecierpliwą ciekawością do ręki a radca nie chcąc przeszkadzać, natychmiast go głębokim pożegnał ukłonem.

Wyszedł niezmiernie poruszony; służąca, jeszcze pracująca nad butem — otwarła mu drzwi z ukłonem...

Sporą przestrzeń drogi od mieszkania profesora do domu przebiegł radca z pospiechem niezwykłym i nie zatrzymując się na pierwszym piętrze wprost, jak stał, udał się do córki. Tu wczorajsza rozprawa jeszcze się ciągnęła—Helma trwała w swym sceptycyzmie...

— Otóż widzisz — zawołał odedrzwi — umyślnie chodziłem na Französische Strasse do Cyliusa. — Nie ma najmniejszej wątpliwości... pół miliona talarów... J. eksce-

lencya, który mnie przyjął z nadzwyczajną uprzejmością w godzinie, w której nie przyjmuje nikogo, oświadczył mi, że był czytania aktu przytomnym. — Faktem jest, faktem niezbitym, iż odziedziczył!!

Westchnął ciężko...

— Teraz do ciebie należy spełnić, co rozum i przywiązanie do dzieci nakazuje...

Helma stała milcząca.

— To zmienia całkowicie położenie... — mówił radca. — Siła kapitału jest siłą, która idzie także przed prawem... nad prawem a nawet na wylot prawa... Przed kapitałem każdy rozumny człowiek skłania głowę...

Radca komercyjny mówiąc to, w istocie oddał pokłon niewidzialnemu bóstwu i westchnął.

— Zresztą wierzcie mi — dodał, powtarzając westchnienie — to nie był zły człowiek, a obchodzono się z nim przyszorstko!

Gdybyśmy byli mogli przewidzieć? Ale któż potrafi przyszłość odgadnąć...

Złożywszy ręce na piersi piękna Helma patrzała zamyślona w okno, nie odpowiadając długo.

— Co on o nas pomyśli, gdy my się te-

raz dopiero zbliżymy do niego? — zawołała cicho.

— Cóż ma myśleć? zrozumie to, że jego nowe położenie należycie przez ludzi rozumnych uwzględnionem być musiało i że ma ono zapewnione na przyszłość poszanowanie z naszej strony, zrozumie, iż teraz obchodzić się z nim będziemy jak z człowiekiem nam równym...

To są przecież rzeczy jasne i naturalne....

— Mnie niepodobna zrobić ku niemu kroku pierwszego.. — odrzekła dumnie Helma — nie — nie mogę.

— Ku niemu nie potrzebujesz czynić żadnego kroku — odparł radca z uśmiechem filuternym — ależ masz córkę... Lischen jest przy nim! Stęskniona jesteś za dzieckiem, to tłumaczy wszystko — możesz przecie upomnieć się o swe prawo do dziecięcia...

— Tak długo nie upominając się o nie? zapytała Helma.

— Właśnie, dodał radca, im dłużej się nie upominałaś, tem powinnaś być więcej stęsknioną i krok twój staje się naturalniejszym...

— Ojciec ma słuszność, odezwała się babka, możesz pójść zobaczyć Lischen... A! jabym tak chciała też ją widzieć...

— Ale waćpani nie idź — przerwał rad-

ca — małżeństwo, gdy się godzi, nie powinno mieć świadków.—Każdy obcy, choćby matka nawet zawadą będzie...

Namyślała się Helma jeszcze...

Nie chcemy tłumaczyć charakteru tej kobiety, wypadki same dosyć go wyjaśniają... Żyła ona głową więcej niż sercem, głową kochała i była istotą zimną, choć chwilowo uczucie wyrabiało się w niej z pomocą myśli. Przywiązanie jej dziwnego rodzaju rozpryskało się za najmniejszem trąceniem o miłość własną. — Wolskiego kochała niegdyś, znużył ją uległością może i pokorną rolą, którą odegrywał, upokarzał ją swą nicością. — Ze wspomnień nie zostało w sercu nic — i ideałem teraz był dla niej dr Arnheim... Wrócić do Wolskiego po tych przejściach upokorzoną, z wieczną obawą, aby znowu kruche węzły łączące ich nie pękły za lada targnięciem... nie miała wcale ochoty.

Na nalegania więc rodziców odpowiedziała milczeniem upartem a w ostatku prosiła o czas do namysłu.

Radca uważał to za zwycięztwo.

Helma w istocie pragnęła sam na sam zasięgnąć rady dr Arnheima, którego zwała swym »dostojnym przyjacielem«. Nie przyznała się do tego rodzicom a może nie

zupełnie przed sobą wyspowiadała się nawet z celu i znaczenia tego kroku...

Dr Arnheim tego dnia jednak przeciwko zwyczajowi swemu nie przyszedł wcale. Zdziwiło ją to trochę i dało do myślenia. Lękając się, aby i nazajutrz nie chybił, napisała na miejską pocztę do »dostojnego przyjaciela«.

Radca tymczasem chodził niespokojny... i wcale był z córki niezadowolniony... Na oznaczoną godzinę dr Arnheim nadszedł, lecz dziwnie jakoś sztywny... i chłodny... Helma podała mu rękę. Z twarzy wyczytać mógł stan jej duszy...

—Przepraszam was, dostojny przyjacielu, żem was w imię tego świętego uczucia przyjaźni, które nas łączy... wezwała... odezwała się Helma. — Chcę zasięgnąć twej rady. Znasz położenie, żądają po mnie, abym zrobiła pierwszy krok do zgody, podała rękę temu człowiekowi, który mnie nigdy nie zrozumiał, nie ocenił i ocenić nie będzie w stanie... Każą mi to czynić dla dzieci... jak gdyby dzieci potrzebowały odemnie tej ofiary...

Dr Arnheim przybrał postać nadzwyczaj poważną i składaną — zasiadł jak sędzia trybunału... Helma mówiła, słuchał nie przerywając, przestała mówić, zdawał się jeszcze

słuchać, czekać i rozważać, nie rychło zebrawszy się na odpowiedź.

— Naprzód — rzekł z profesorską powagą — naprzód należy mi wam podziękować za zaufanie... ale każecie mi profanowi w sprawach małżeńskich sądzić to, o czem nie mam wyobrażenia. Nie jestem wtajemniczonym... znam teoryą, uczyłem się historyi małżeństw — ale nie mogę się do tego przyznać, bym posiadał słowo zagadki. Nie wiem, jak się kształtują stosunki serca i dłoni, charakterów i humorów... Jestem jak chemik, co się z książki uczył a nie był nigdy w laboratoryum...

— To są wszystko piękne słowa - odezwała się Helma, stając naprzeciw niego i patrząc mu w oczy znacząco — ale ja pragnę od was... stanowczej rady! Znacie mnie i jego! mamli szukać życia z nim znowu... i znosić dziwactwa? — Nie zgodzimyż się na to dziś, aby nazajutrz gorzej, bo na wieki zerwać z sobą? W takim razie nie lepiejże, gdy pozostaniemy, jak jesteśmy?

— Lecz tak przecież w tym stosunku wątpliwym, nieokreślnym, który wkłada więzy, nie nagradzając ich niczem, pozostać na zawsze!

Helma spojrzała nań znowu i spytała: — Dla czego?

— Są wymagania serca... życia... których

dzieci nie zaspokoją... brak wam będzie w życiu żywiołu koniecznego...

— Który mi był wstrętliwym i nieznośnym, przerwała Helma.

Dr. Arnheim patrzał w książkę, unikając widocznie jej wzroku...

I znowu po namyśle z pedancką powagą począł, jakby wykładał z katedry...

— Natura w razach ostatecznych w wypadkach stanowiących o przyszłości dała człowiekowi oprócz rozumu instynkt cudowny... Padając z wyżyny nie myślimy i nie rozumujemy, chwytamy, co pod rękę się nawinie... w ciemnościach czujemy przed sobą przepaście i mury... W sprawach ducha ten instynkt silniejszym jest jeszcze, radźcie się go...

— Instynkt milczy — odparła Helma — lub wskazuje mi was, dostojny przyjacielu...

Przyjaciel widocznie był skłopotany.

— Zamiast podać mu dłoń — dodała Helma — wolałabym ten związek rozerwać stanowczo...

To, co się raz rozerwało, napowrót związać się nie da... Rany serca się nie goją... nadto się znamy oboje...

Doktor milczał przewracając kartki książki, zdawał się głęboko w myślach zatopiony....

— Lecz rodzice wasi wymagają... radzą... życzą...

— Ojciec dla majątku, matka dla odzyskania wnuczki, lecz cóż ja odzyskam? — Nie męża, bo on być dla mnie nim przestał...

Wolę być wdową i wolną.

To mówiąc stanęła u stolika, przy którym siedział dr Arheim, i poczęła mówić, wzrokiem próżno szukając jego spuszczonych oczów.

— Tak, wolę być wolną, zapomnieć o przeszłości i — któż wie — rozpocząć może życie na nowo, — z większą znajomością ludzi, z szczęśliwszym wyborem towarzysza podróży...

Zamilkła na chwilę.

— Naówczas mogłabym jeszcze skosztować szczęścia, któregom nie znała...

— Zależycie od rodziców — odezwał się Arnheim cicho — jesteście pewni, że wybór radcy, — którego głos byłby stanowczym, zgodziłby się z waszym...

Drugi raz iść przeciw jego woli — tegobym wam nie życzył...

— Zdaje mi się, — że mnie nie chcecie zrozumieć... szepnęła jakby z urazą kobieta— radcy chodzi o wnuków nie o mnie.

Milczenie nastąpiło po tych rzuconych kilku słowach.— Dr Arnheim wstał i jakby

roztargniony poszedł do okna, głęboko zamyślony, przejęty, zdawał się ważyć i rozważać... kilka razy jakby mówić poczynał i wyrazy zamierały mu na ustach.

— Mówcie — mówcie — zawołała Helma — chcę wiedzieć otwarte, szczere zdanie wasze... Nie będę wam taiła, że w tem wszystkiem i o losy naszej świętej przyjaźni, naszego związku serc i duchów idzie... Jeżeli ten człowiek wróci do domu — on rozerwie te węzły...

Dla was to może być obojętnem, bo wy znajdziecie drugą przyjaciółkę — ja nie sądzę, bym podobnego wam przyjaciela mieć mogła...

Z pewnem wzruszeniem dokończyła, Arnheim podniósł głowę — i wyciągnął rękę...

— Jeżeli idzie o to, bym ja się poświęcił — rzekł — możecie mnie wygnać — pójdę....

— Tu właśnie idzie o to, abyście mogli pozostać! — rumieniejąc się dodała Helma żywo...

— Pozostać i być wam ciężarem a zawadą... rzekł doktor — nie.

Rozmowa wprowadzona na ten tor zagadkowy — nie śmiejąca dotknąć wyraźnie tego, co chciała wiedzieć Helma — groziła, że może pozostać bezskuteczną. — Arnheim widocznie unikał stanowczego wyrazu — zdał się zimnym i wahającym...

— Dostojny mój przyjacielu — przerwała nagle kobieta z widocznem zniecierpliwieniem, — nie jesteśmy dziećmi, mówmy jak dwoje ludzi, co dla siebie tajemnic mieć nie powinni i co są wyżsi nad formy światowe.

Bądź otwartym. Przyjaźń wasza dla mnie jestli rozrywką dla was i roztargnieniem czy potrzebą? — Wy w mojem życiu zajęliście miejsce, którego nic i nikt zapełnić nie może. Chcecie mojej ręki czy nie? Uwolnię ją od pęt, co mnie wiążą, i oddam wam.

Arnheim spojrzał powolnie i długo na mówiącą.

— Możecież wątpić, że przyjąłbym ją z wdzięcznością? Sambym po nią dłoń wyciągnął, gdybym był pewien, że to was z rodziną nie poróżni, nie ściągnie gniewu ojca i nie postawi znowu w położeniu ciężkiem, w jakiem ja się sam znajduję. Znacie wy położenie niemieckiego literata, profesora i uczonego, który nie ma szczęścia być żadnym Hof i Regierungsrathem a jest współredaktorem jakiegoś pisma lub skromnym prywatdocentem? Gutzkow poderznął sobie gardło, na Freiligrathów składać się musiano, co dzień jeden z nas umiera z głodu! Największą pracą na chleb powszedni zarobić sobie nie podobna! Czemże

ja się z wami podzielę? moją troską i niedostatkiem?

Helma zamyśliła się.

— Jestże tak źle z wami? spytała, — to nie może być! Pracowalibyśmy we dwoje.

— I nie moglibyśmy na jedno życie zapracować — dodał dr Arnheim. Zostańmy, jak jesteśmy, przyjaciółmi, nie chcę was gubić.

Osobliwsza ta miłość czy przyjaźń skończyła się ścisłym obrachunkiem — oboje stali nie wiedząc, co mówić więcej.

Helma była zadumana.

— Lecz radca nie opuści... on was szacuje a będzie dumnym mając przy sobie.

Arnheim się uśmiechnął. — Spytajcie go, rzekł — powiedzcie mu otwarcie wszystko, niech on wyrzeka o naszych losach. Bądź co bądź, zostaniemy, jak byliśmy, przyjaciółmi na zawsze!

— Przyjdź jutro! zawołała Helma, żywo wyciągając doń rękę — przyjdź jutro — o tej samej godzinie. Ufaj mi — nasze dusze zbyt się dobrze rozumieją, aby je mógł los rozdzielić. Wierzę w predestynacyę.

Cichym szeptem poufałym skończyła się dziwna rozmowa, profesor wyszedł, ale na twarzy jego nie widać było uszczęśliwienia, rysy jej pozostały oblane chłodem jakimś

i przybraną powagą. — Helma długo namyślała się chodząc samotna po salonie, zeszła potem do matki i tu czekała na ojca. Radca ku południowi wrócił z miasta. Zobaczywszy córkę domyślił się, że przyniosła mu odpowiedź żądaną.

— No, — odezwał się, zaledwie zrzuciwszy okrycie, — dosyć już tego wahania się — trzeba stosowne uczynić kroki do zgody... Namyśliłaś się?

— Tak jest!

— Pójdziesz do niego?

— Nie — ale do rozwodu — odezwała się Helma. Radca krzyknął ręce podnosząc, nie dała mu mówić i ciągnęła dalej: — Synom naszym należy bądź co bądź część z jego majątku — ja z nim żyć nie mogę. Popełniłam błąd, odpokutowałam go ciężko, mam prawo do szczęścia jak każdy człowiek.

— Gdzie? do jakiego? zapytał radca.

— Znajdę człowieka, który mnie jest godzien i którego pokochać będę mogła!

— Drugiego takiego gołego awanturnika jak ten był, gdyś za niego szła. Rozum osobliwy: żyłaś z nim, dopóki nie miał nic, a teraz go chcesz porzucić, gdy ten kulfon nabrał wartości. Nie! kobiety nie mają rozumu.

Zabierało się na kłótnię i sama radczyni

siedząca w krześle z pończochą rzuciła na kolana robotę, składając ręce, ścigając męża oczyma, chcąc go pohamować... Wtem drzwi się otworzyły — wszedł — Wolski.

Żaden upiór nie uczyniłby większego wrażenia. Helma cofnęła się kilka kroków, radca z rozgniewanego poczynał się metamorfozować na słodkiego i uprzejmego, matka milczała, osłupiała.

Wolski wszedł z jakąś pewnością siebie, której nigdy nie miał. Daremna to rzecz zaprzeczać cudzotwórczym skutkom tego »podłego kruszczu«, jak go zowią poeci, oddziaływa on magnetycznie jakoś, niepojęcie, nawet na tych, co doń zbytniej nie przywiązują wagi. Kajetan był odmłodzony, raźniejszy, śmielszy i wydawał się dziwnie zmienionym... Wszyscy to uczuli.

Radca rozmyślał, jakby patetycznie wnieść zapomnienie przeszłości i zgodę. Helma stała blada z rozbudzonym gniewem.

Wolski się skłonił z daleka, obejrzał po salonie a widząc, że nikt obcy nie słucha — począł:

— Proszę mi darować, że tak niespodzianie wchodzę — zdawało mi się, że im prędzej zgodnie załatwimy interesa, tem będzie lepiej.

— Zgodnie! tak! zgoda jest świętą

rzeczą, zawołał radca — byłeś niesprawiedliwym względem nas...

— Nie mówmy o przeszłości — pochwycił Wolski, to już do niczego nie doprowadzi. Co się stało, odstać się nie może; stało się wiele złego, a gdybyśmy mieli pozostać, jak jesteśmy, sprowadziłoby to go jeszcze więcej.

— Niezmiernie słusznie... Ganz recht! rzekł radca przybliżając się. Wolski mówił dalej wśród powszechnej ciszy:

— Z nieokreślonego i fałszywego położenia wyjść należy — żyć z sobą nie możemy...

— Dlaczego? dlaczego? ofuknął radca — nie widzę racyi.

— Ja i Helma zarówno to czujemy — odparł Wolski — zgoda byłaby fałszem, miłość kłamstwem, życie walką i sporem...

— Dla czego? powtórzył radca.

— Naprzód dla dzieci samych — zawołał Wolski. Zmieniło się dziś położenie moje, jestem niezależnym i nie ścierpię, aby dzieci moje miały być niemieckiemi dziećmi! Wymagałbym, aby się stały Polakami, jak ja jestem...

Radca odskoczył — oczy mu błysnęły.

- Pfui! zawołał, nierozumiem! szaleństwo. Jakto? waćpan nie umiesz ocenić tego dostojeństwa, tego szczęścia, jakie

im daje imię, wychowanie i stosunki niemieckie?...

— Nic a nic! rzekł Wolski — brzydzę się świętokradzką apostazyą!

Apostazyi nie zrozumiawszy radca komercyjny, zamyślił się chwilę, nie mógł wpaść na trop tego wyrazu... i to go zmięszało...

— Waćpan niegodzien jesteś doprawdy, aby z nim o to wieść spór — pierwszy raz wtrąciła gniewnie żona — nie chcesz, aby dzieci były Niemcami, ja matka nie pozwolę, by Polakami były...

Radca milczący jeszcze, apostazyi nie mogąc strawić, mruczał tylko.

— To są właśnie sprawy, które stanowczo uregulowane być powinny — odparł Wolski dosyć chłodno...—Lischen jest u mnie i tej mi nikt w świecie odebrać nie może, wychowam ją na Polkę... co się tyczy Fryca i Emila... (obrócił się do radcy) panu wiadomo, żem odziedziczył...

— A wiem, rzekł wzdychając Riebe.

— Pół miliona talarów...

— Piękna i poważna suma...

— Z której ani Fryc ani Emil grosza mieć nie będą, jeśli Niemcami mają zostać.

Radca usta wydął dziwnie.

— Nie rozumiem — rzekł sucho...

— Pozwól mi pan, abym myśl moją mu wyjaśnił.

Riebe podsunął krzesło, Wolski skłonił się, lecz nie siadł.

— Rozwód dla nas obojga jest koniecznością — rzekł głosem spokojnym — pani to przyzna jak ja... Napróżnobyśmy uniknąć jej pragnęli... Nie chcę pani czynić dłużej nieszczęśliwą, ani sam cierpieć. Małżeństwa dwuplemienne kończą się zawsze apostazyą żony albo męża... Pani nie jesteś zdolną do takiej ofiary, ja się na nią wzdrygam.

Radca ruszył ramionami. — Nie pozwolę, rzekł.

Wolski odwrócił się do niego. — Daj mi pan mówić.

— Synom nie dam nic albo im oddam wszystko... z warunkiem, że ich odbiorę... że ich wychowam a raczej poprawię ich wychowanie, jak zechcę... Trzykroć sto tysięcy talarów przeznaczam im aktem notaryalnym, ale mi ich oddacie. — Nie — to nic.

Nastąpiło głuche, długie milczenie. Radca Riebe siedział z głową spuszczoną w dół jak przybity... Helma zrobiła kilka kroków w poprzek salonu i stanęła milcząca...

— Co się tyczy pańskiego majątku,

panie radco, ja się go dla synów nawet zrzec jestem gotów.

Zdaje mi się — dodał Wolski — iż warunki moje do przyjęcia — a przynajmniej ad deliberandum....

Wyraz ten radca zrozumiał i powtórzył cicho. — Tak — ad deliferantum. (Według niego od Liferung musiał pochodzić).

— Na podstawie tych warunków ze wzajemnem zadowoleniem nieszczęśliwą historyę naszą, która trwa lat dziesięć przeszło, możemy spokojnie i zgodnie załatwić.

— Ad deliferantum! powtórzył radca poważnie. Nie zgadzam się — ale... zobaczymy. Wolałbym układ bardzo prosty, powrót do obowiązków i wspólność majątkową. Zlać kapitały w jedno, zostawić je w moich rękach...

Wolski mu nie dał dokończyć.

— Ja z moich warunków nie mam nic do odstąpienia.

To mówiąc skłonił się nizko, a że stał niedaleko drzwi, wyszedł prędko. Wszyscy zostali w miejscach nieporuszeni poglądając na siebie.

Ribe spojrzał na drzwi.

— Polnische Wirtschaft! mruknął... ledwie dostał pieniędzy, już niemi rzuca... Szalona pałka!

Radca żywo się przechodził po salonie — nie mówił nic i odgadnąć było trudno, co myślał. Stanął potem naprzeciw córki.

— Otóż to są skutki twojego postępowania. Co począć! miły Boże! co począć? Trzykroć sto tysięcy talarów! Hm...

Ale zje kaduka, żeby z nich Polaków porobił! Nigdy w świecie! Fryc ma dziesiąty rok i rozumie to dobrze, że kiedy go z tego cygaństwa polskiego wyciągnięto, wrócić doń byłoby ostatniem głupstwem... Będzie się rozbijał za idealną ojczyzną, kiedy ma gotową taką wspaniałą jak niemiecka i Bismarka w dodatku, który ją jeszcze potężniejszą i większą uczyni!

To człowiek głupi, on się w targu oszuka. Dać mu dzieci... one już Polakami nie będą... tam nie tylko niemiecka krew — ale niemiecka myśl w nich płynie.

Przerachował się pan Polak!

Dodał zacierając ręce. — Ja mu oddam chłopców ja się o nich nie lękam...

Spojrzał na córkę. — Helma stała na pozór obojętna...

— Wszak prawda? spytał — dać mu dzieci.

Matce łzy się w oczach zakręciły.. Padła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Babka zamyślona wzdychała przypominając Lischen swoją, której od tak dawna nie widziała.

— Dzieci do niego z prawa należą — ani słowa — mówił chodząc radca — temuby się nawet oprzeć trudno.

— Ale Lischen... Lischen? cicho szepnęła radczyni. Mąż odwróciwszy się ku niej, ruszył ramionami, ręce rozpostarł, nie mówiąc słowa.

W tej chwili chłopaki powracając ze szkoły, uchyliwszy drzwi salonu i zobaczywszy, że w nim nie ma nikogo, wpadły raźnie. Fryc nosił już rodzaj mundurku swej pensyi i kaszkiecik z jakąś opaską. Emil przebrał się był w wojskowe swe sukienki, które mu dziad na wigilię sprawił. Na głowie miał historyczną pikielhaubę ze szpicą na wierzchu, flintę w ręku i buty długie jak do kampanii. Zdawało się, jakby umyślnie się przebrał dla uspokojenia dziada, iż nigdy Prusakiem być nie przestanie. Riebe pocałował go w pikielhaubę...

Pobiegli obaj do matki, która im otworzyła ramiona i łzy popłynęły na nowo.

W milczeniu rzecz w istocie wzięto do namysłu. Radca poszedł po obiedzie do pastora na radę i w myśli oddziałania jeszcze na Wolskiego z pomocą dra Cyliusa sądząc, że ten jako ekscelencya pruska w sprawie narodowości niemieckiej przemówić zechce. Cylius ruszył ramionami, bo mu to było obojętnem.

— Idzie o to, rzekł, aby byli ludźmi wykształconymi, rozumnymi i uczciwymi — a czy będą Prusakami czy Chińczykami, przyznam się, że to mi wszystko jedno. Ojciec Polak ma niezaprzeczone prawo zrobić z nich synów a zatem Polaków jeśli mu z tem dobrze. Ja się do tego mięszać nie będę.

W sprawie rozwodu pastor był tego zdania, iż lepiej się spokojnie rozejść niż powoli zjadać i Pana Boga obrażać niezgodą domową, którejby się dzieci od młodu przypatrywały.

Radca już sam nie wiedział, co począć, a powtarzał nieustannie: — Trzy kroć sto tysięcy talarów... nie do wyrzucenia...

Wszystko się więc zdawało skłaniać, jak Wolski życzył.

Dr. Arnheim, który przyszedł na drugie piętro, zastał Helmę z twarzą zarumienioną

i w rozdrażnieniu nadzwyczajnem. Podała mu rękę milcząca i spojrzała w oczy.

— Los szczęśliwy zbliża nas, dostojny przyjacielu — ufaj mi... Wolski chce rozwodu, ja go pragnę ale mi zabiera dzieci.

Zdaje się, że doktor nic nie miał przeciwko temu, bo milczał i ramionami tylko ruszył.

— Wiesz dla czego? dorzuciła z gorzkim uśmiechem — oto, aby z nich uczynić Polaków.

Zdumiał się mędrzec. — Ha! ci Polacy, szepnął — to psychiczny fenomem, jakiego w dziejach nie ma. Wszystko święcą dla ojczyzny, której nie mają i mieć nie mogą. Sto kilkadziesiąt milionów ludzi ściska ich i opasuje grożąc, poddać się nie chcą, zrezygnować nie umieją — umrzeć nie mogą. Nie jest-że to szaleństwo... najświetniejszą przyszłość poświęcać dla ślepoty, barbarzyństwa i nędzy?

Ruszył ramionami. — Ojciec nieprzyjaciel własnych dzieci... Curiosum, szepnął.

— Będę więc wolną — dodała Helma patrząc na przyjaciela, wolną dla ciebie — mój ojciec...

— Nie mówiliście z nim?

— Nie chcecie wy z nim mówić o tem? zagadnęła kobieta — rzecz byłaby zagajoną — ja przyjdę po was. Tak będzie lepiej.

Arnheim ręką tarł czoło długo, widocznie było mu to ciężkiem a odmówić nie chciał.

Ojciec jest na dole u siebie idźcie do niego, czekam was z powrotem... dodała.

— Jeszcze nie ma rozwodu! odważył się uczynić uwagę doktor.

— Gdy żądają go obie strony? dorzuciła Helma — idźcie i mówcie...

Rozkaz był tak stanowczy, iż profesor musiał być posłusznym — zszedł powoli ze schodów rozmyślając, jak się to wszystko skończyć może. Na dole oznajmiła go służąca p. Riebe i przyniosła odpowiedź — Sehr angenehm!

Profesor wszedł sztywniejszy niż kiedykolwiek, z postawą urzędową.

Radca go lubił dosyć i przysłuchiwał mu się nie raz z zadowoleniem, przywitał go grzecznie i znać odwiedziny przypisując prostej formalności, począł mówić o pogodzie, potem o czemś uczonem, w co się najfatalniej zaplątał... Dr Arnheim słuchał jakiś czas, w ostatku wstał i ukłoniwszy się zagaił, prosząc o maleńkie posłuchanie w niezmiernie ważnym interesie.

Nie domyślając się jeszcze, Riebe wszakże zmienił oblicze — literat, który prosi o posłuchanie, jest dla kapitalisty rzeczą niebezpieczną... godzi na jego worek, żądać może kaucyi, pożyczki — spółki do bibuły

jakiejś... Dreszcz przeszedł po całem ciele radcy komercyjnego, który sobie rzekł w duchu: — Zje licha, jeśli u mnie złamany szeląg wyłudzi.

Z uśmiechem wszakże stanął naprzeciw profesora, który mu wyłuszczył krótko, iż pozyskawszy serce i szacunek pani baronowej, a wiedząc, iż pierwsze jej małżeństwo zerwane, ośmiela się prosić ojca o poparcie go u córki i błogosławieństwo...

Radca słuchał, jakby uszom nie wierzył, oczy otworzył szeroko, cofał się, cofał — kilka razy zawołał: — Co, co? nareszcie śmiechem buchnął i odwrócił się...

Śmiech brzmiał jak trąba sądu ostatecznego w uszach zdumionego profesora. — Riebe odwrócił się nagle do niego pohamowawszy, wziął go za guzik i dobrodusznie począł:

— Pan jesteś doktorem filozofii...

— I obojga praw — dodał Arnheim.

— Doskonale. I gdzieś pan się nauczył tej filozofii praktycznej, żeby ojciec raz córkę dawszy gołyszowi, posiwiawszy z jej przyczyny, z dobrej woli oddawał ją drugiemu takiemu samemu...

— Ale ja kocham Helmę! zawołał Arnheim.

— I dlatego chcesz jej pan dać do podziału los swój? Wiele pan masz dochodu?

spytał gwałtownie — szczerze, otwarcie, wiele masz dochodu??

Zmięszał się Arnheim.

— Małżeństwo przecie nie jest spółką handlową.

— Przepraszam... ja je za nią uważam, odparł radca.

Obżałowany stał przed nim milczący.

— Ja wiem, że pan tam bywałeś bardzo często i do bardzo późna. Ale to się mnie nie tyczyło, to była rzecz męża, żeby panu drzwi pokazał. I to wiem, że możecie bez mojego pozwolenia się pobrać, ale za to panu ręczę, że ja złamanego nie dam szeląga. Jeśli miłość jest tak żwawa, że się obędzie bez wszelkich przypadków...

Skłonił się i nie dokończył. Arnheim zmięszany nieco oddał mu ukłon i wyszedł. Stał chwilę namyślając się, czy udać się na górę czy opuścić dom ten na zawsze. Zwyciężył nałóg, poszedł do Helmy, która niespokojnie czekała na niego.

Po twarzy poznała, jaką niósł odpowiedź, a zresztą domyślać się jej mogła po ojca usposobieniach.

Profesor cichym głosem zdał sprawę z poselstwa, łagodząc nieco otrzymaną odprawę.

— O! to nic, tegom się spodziewała, ode-

zwała się Helma — ale lody są rozbite — ojciec wie tem.

Pan mi mówiłeś, że jesteś dobrze położonym u ministra... że w pokrewieństwie dalekiem liczysz się jenerałowi...

— Tak jest — tak! zawołał profesor.

— Zechcą oni poprzeć pana i pomódz mu?

— Jestem tego prawie pewny.

— A ja pewna jestem i panu ręczę, że pośrednictwo wysoko położonych osób, wszystko załatwić potrafi. Znam mojego ojca. — Idź i staraj się pan o to, niech przyjadą, niech nalegają... gdyby minister miał krzyżyk do ofiarowania za długie a wierne usługi ojca...

— Rozumiem — rzekł Arnheim całując ją w rękę z rozjaśnioną twarzą.

To mówiąc, narzuciła na siebie chustkę i zbiegła na dół. Tu odgrywała się scena w sypialnym pokoju radczyni, którą aż w przedsieni słychać było. Riebe wykrzykiwał:

— A! so! a so!

Córka weszła z twarzą spokojną, nie strwożona. Jeszcze drzwi za sobą nie zamknęła, gdy ojciec przypadł samym widokiem jej wzburzony.

Helma siadła w krześle, podparła się na ręku i słuchała nie odpowiadając wcale.

Rozjątrzyło go to do tego stopnia, iż wreszcie począł wyzywać o tłumaczenie.

— Nie mam ani słowa do odpowiedzenia na to, co ojciec mówisz — odezwała się spokojnie, ze stanowiska ojca masz słuszność, ze stanowiska kobiety ja ją mam. A zatem nie mówmy o tem.

— Więc cóż? pójdzież bez pozwolenia?

— Nie wiem — namyślę się, odparła Helma – mogę na rozwód nie pozwolić, mogę dzieci nie oddać — mogę pójść, mogę nie pójść — nie wiem.

Zimna krew córki do wściekłości prawie przywiodła skołatanego tylu kłopotami radcę, który okrutnie drzwiami szarpnąwszy wyszedł.

Przyznajemy się, że dalszy przebieg sprawy tej szczegółowo nam nie jest znanym. To pewne, że w kilka dni dwie karety, z których jedna ze strzelcem na koźle, zajechały przed kamienicę radcy. Oznajmiono J. eksc. p. jenerała jazdy.

Riebe wybiegł na wschody.

Jenerał, którego zaledwie zdaleka widywał, zdumiewał go, ale widok ministra przeraził. W pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że przyjeżdżają mu ofiarować tekę finansów... lub... głowa mu się zawracała...

Nadzwyczajnie grzeczni obaj dostojnicy

weszli do salonu... Riebe stracił przytomność, odsuwając stół dla uwolnienia kanapy o mało nie stłukł lampy... biegnąc po cygara zagrożony był upadkiem... mówił prawie bez związku, tak go przejmowały te niespodziane odwiedziny.

Minister nadzwyczaj zręcznie ale nie bez cienia pewnej ironii począł mówić radcy o jego zasługach na polu przemysłu i handlu — dał do zrozumienia, że usiłowaniom jego należała się nagroda... Jenerał to potwierdził.

Jak potem przyszło ad medias res, dokładnych nie mamy wiadomości. — Odwiedziny trwały dobrą godzinę i głosy się razy kilka to podnosiły wysoko, to uciszały. Gdy radca wyszedł odprowadzając swoich gości na wschody, był spocony, ocierał się chustką, wzdychał i zdawał się mocno przybity. Dopełnił jednak wszelkich należnych dla tak dostojnych gości form i ceremoniałów, poszedł z odkrytą głową aż do progu domu a wrócił jak po łaźni i zamknął się, nic nikomu nie mówiąc, w gabinecie.

Trawienie honoru, który go spotkał, trwało godzin parę; gdy wyszedł potem, blady był i zły... Słomiankę, leżącą u progu krzywo, nogą podrzucił z gniewem, wszedł do pokoju żony i tu rzucił się na fotelik

tak nierozważnie, iż radczyni krzyknęła, bo wszystkie sustawy starego sprzętu zapiszczały...

Nim miał czas się odezwać, Helma weszła. Spojrzał na nią z gniewem.

— Nasadziliście na mnie ekscellencye! ha no! dobrze! zwyciężycie! trudno się rozkazowi z góry w formie prostej opierać... wszystkiebym interesa sobie popsuł. Nie ma już o czem mówić! Będziemy żywili profesora — i drukowali książki.

— No! dodał, kto tych trutniów wpuszcza do domu, gdzie są baby... taki głupi jak ja...

Splunął.

— Dawać jeść! — zawołał.

Godzina obiadu biła i na tem się skończyło.

W jednem z małych miasteczek wielkopolskich — w cieniu starych drzew, na uboczu, gdzie się już ostatnia z ulic kończyła a pole poczynało—dziwił wszystkich przejeżdżających świeżuteńko tu wzniesiony domek wytworny.

Wybrano mu tu posadę pewnie dla tych drzew i otaczających je krzewów, w których wiosną śpiewały słowiki — a wzniesiono szybko w miejscu zrzuconego starego dworku z takim smakiem i wdziękiem, że i stolicaby się tej willi nie powstydziła.

Widać było po niej, że właściciel musiał być bardzo zamożnym człowiekiem, gdy z taką miłością kosztowną kątek ten upięknił i przyozdobił.

Mimowolnie z gościńca oczy wszystkich przejeżdżających biegły ku temu ustroniu, zazdroszcząc szczęśliwemu.

Na zielonym szerokim trawniku jak kobierzec wyciągniętym przed pałacykiem widać było czasami w białej sukience biegające

dziewczątko i ogromnego psa czarnego, który zdawał się jego stróżem.

Pewnego letniego wieczora, pocztowy powozik z szosy zwrócił się ku temu domowi i przystanął u murowanej bramy, która się jakby czarodziejskim rozkazem sama przed nim otwarła.

W ganku pod markizą pokazał się mężczyzna nie stary jeszcze, który w jednym ręku trzymając otwartą książkę, drugą z dala żywo witał przybywającego. — Obok niego bijąc w dłonie stała dziewczynka śliczna, złotowłosa, rumiana, ciesząc się także widocznie z miłego gościa.

W powieściach takich zawsze łatwo domyśleć się wszystkiego, że ledwie autor śmie czytelnikom tłumaczyć, iż pod tą werandą stał pan Kajetan Wolski z Liską, a na pocztowej bryczce przybył czcigodny garbus, Wojtuś, stary jego przyjaciel. Gdy powozik stanął a gość wyskoczył jakoś raźno, udając młodego, a potem schylił się naprzód dla powitania dziecka, które ku niemu napastliwie wyciągało rączki i podniósł wreszcie oczy ku gospodarzowi, — Kajetan śmiejąc się zawołał:

— Jakże mi ty zawsze świeżo, młodo i ładnie wyglądasz! — jak elegancko! jak gdybyś w konkury jechał albo od bohdanki powracał?

Wojtuś się rozśmiał wprawdzie, ale spojrzał dziwnie badawczo na Wolskiego i — ramionami tylko poruszył. Nie można było poznać, czy zaprzeczał hipotezie, czy się dziwił, że tak trafną była.

Weszli do pokojów z wielką prostotą i smakiem ale wygodnie urządzonych. Liska już udawała niby gospodynię i pytała czem przyjmować.

— A gdzież chłopcy? zapytał garbus.

— Odjechali już z nauczycielem do szkół, rzekł Wolski. — Nie mają czasu do stracenia. Łamiemy się z językiem. Fryc najgorzej wymawia i trudno go nakłonić, aby zadał sobie pracę przezwyciężania trudności. Emil, choć się myli, mówi już nieźle po polsku a czyta jeszcze lepiej. Muszę z niemi spieszyć, aby stracony czas nagrodzić, bo potem przyjdzie ogólne wykształcenie a tego trudno gdzieindziej szukać jak w uniwersytetach niemieckich, choć w nich eliksir żywota pomięszany jest z trucizną.

Wolski westchnął.

Liska przyszła i sparła mu się na kolanach, kokietując garbusa.

— No — a ty? zwracając się do niej odezwał się doktor — po jakiemu mówisz?

— Ja... ja... mówię... jak tatuś... po polsku...

szybko zawołała śmiejąc się dziecina i pokazała ząbki białe.

Starzy towarzysze zaczęli po cichu rozmawiać z sobą. Wojtuś czegoś częściej niż kiedykolwiek wzdychał, chwytał się za podłysiałą czuprynę i chodził zamyślony. Wolski, który go doskonale znał, z daleka mu się przypatrując widział w nim jakąś zmianę, której sobie sam wytłumaczyć nie umiał, a dopytywać się o przyczynę jej wahał.

Pod balkonem wychodzącym na drugą stronę domu ku ogrodowi ze staremi drzewami podano herbatę, Liska poszła z przyjacielem swym psem i niańką zabawić się do ogrodu, Wolski pozostał z garbusem, zapaliwszy cygara; po chwili widząc go zamyślonym i ciągle jeszcze nie swoim, gospodarz odważył się — biorąc go za rękę — odezwać się z cicha:

— Ale zwierzże mi się ty, co ci jest? Widzę, że coś masz na sercu.

Garbus spojrzał, ramionami ruszył, nie odpowiedział nic.

— Co mi jest? co mi jest —? odezwał się po bardzo długim namyśle—oto... w drodze dumałem nad sobą i nad nami i wydumałem, żeśmy wszyscy słabi, niepoprawni, że z nas bodaj nic nie będzie i że nas Niemcy zjedzą!

— Cóż to znowu? zkąd takie rozpacze?

— Dosyć jest kilka mil krajem naszym przejechać... uwag się naciska bez liku...

Westchnął i zamilkł...

Zmierzchać zaczynało, rozmowa przerywana jak nie szła tak nie szła. Wolski zabiegał z różnych stron, nic się dobadać nie mógł.

Wojtuś był czemś przejęty, poruszony, a że nie miał zwyczaju taić się, zwracało to uwagę Wolskiego tem mocniej, iż rzecz zdawała się być większej wagi i natury delikatnej.

Postanowił nie nalegać a dać mu się — jak mówił — wysapać.

Przy wieczerzy i po kilku wina kieliszkach garbus się ożywił, ale pluł jakiemiś pesymizmami bez końca.

Ile razy Kajetan nań spojrzał, jakby pochwycony na uczynku czerwienił się, pił i milczał... Mówiąc tak o wszystkiem i o niczem dosiedzieli do późnej nocy. Księżyc z poza starych lip ukazał się ze swą tarczą srebrzystą jak ciekawy szpieg badający nocy tajemnice. Tęsknota tej godziny duchów obwiała ich z wieczornem powietrzem. Sparty na ręku Wolski patrzał na ogród, Wojtuś także... Po długiem milczeniu zerwał się nagle...

— Co ze mnie za dziecko — zawołał —

przyjechałem do ciebie z wyznaniem a nie śmieją go przepuścić usta moje... Noszę się z niem jak z kamieniem za nadrą — trzeba je raz wyrzucić.

Chciałem ci oznajmić, że po długiej walce i oporze na koniec — gdy czas było mieć rozum — robię uroczyste głupstwo...

— A! zlituj się! cóż takiego? zawołał ręce łamiąc Wolski.

— Odgadniesz łatwo. Nie ożeniłem się będąc młodym... ale dobrałem porę, gdy reumatyzm się czuć daje po kościach — gdym wyłysiał, gdym stetryczał, gdym się popsuł jak przeleżały owoc — chcę uszczęśliwić kobietę — moją garbatą i połamaną figurą...

Tupnął nogą o posadzkę.

— Na to, z pozwoleniem, trzeba być takim jak ja osłem! dokończył siadając.

— Hola! hola! przyznam ci się, że nie rozumiem — przerwał gospodarz. — Jeżeli przekonany jesteś, że to głupstwo, nie powinieneś go robić.

— Nie — już muszę, sam się przekonasz... to w mojem przeznaczeniu; im dłużej będę czekał, tem solenniejsze popełnię... Nie! nie! już się ożenię... Przekonałem się, że to inaczej nie może być. — Jestem człowiekiem i samotność mi ciąży... jeśli nie ożenię się teraz, grozi mi jutro coś okropnego... mu-

szę się ratować... Myśmy wszyscy stworzeni do mieszkania pod pantoflem — A n a n k e!

— Radbym wiedział, co cię do tych wniosków doprowadziło — rzekł Wolski — spowiadajże się porządnie.

— A no muszę... cięży mi to... — mówił garbus—chociaż i wyznanie a m e a c u l p a łatwe nie będzie.

— Czekam więc... słucham...

— Zbieram materyały nie wiedząc, z którego zacząć końca — mówił Wojtuś.

— Ale ożenienie? czyż to już postanowione?

— Nieodwołalnie! na nieszczęście. — Stało się — dałem słowo! — westchnął garbus.

— Stare twoje kawalerstwo może ci tak groźną przyszłość przedstawia. Weźmiemy ją pod mikroskop, pod skalpel i może się co innego pokaże.

— Daj Boże, ale wątpię—rzekł garbaty siadając i zapalając cygaro nowe. — Przypomnijno sobie, ileśmy to razy rozprawiali o małżeństwie i jakie ja w zastosowaniu do siebie rozumne wygłaszałem teorye — jakim byłem filozofem... Wszystko to nie obroniło mnie — od pantofla...

Westchnął garbus.

— Przybywszy do Poznania, jak wiesz, zacząłem bywać często w domu państwa

P... Starsza córka zachwyciła mnie, ale miałem tyle rozumu, żem sobie wytłumaczył, jakiemby było szaleństwem rozumną i piękną a młodą panienkę skazywać na garbatego męża. — Czując, że ja dla niej nie mogłem być niebezpiecznym, a broniąc się od tego, aby ona dla mnie nie była pokusą — ograniczyłem się na czułej przyjaźni i bywałem w tym domu... Panna była dla mnie bardzo miłą, ja czasem zapalonym, częściej chłodnym i trzymającym się na wodzy. Myślałem ciągle — pójdzie za mąż i wszystko się to skończy. Tymczasem zamiast kończyć się, miłość się tak na dobre poczęła, żem uciekł — cały rok jej nie widziałem... Było to według mojej teoryi najlepsze lekarstwo, oprócz tego chciałem spróbować metody derywacyjnej.

Siedziałem właśnie w Berlinie, będąc jednym z tych nieszczęśliwych deputowanych na sejm, którzy muszą jeździć tam, aby kupczyki i burmistrze narodowo-liberalni, cała ta gawiedź, embryon klasy średniej niedokształconej a zarozumiałej, miała sobie z kogo drwić i naśmiewać się, a taki genialny Braun z Wiesbaden pisać artykuły solone... glauberską solą.

Od czasu, jak mi ciebie tam zabrakło, nudziłem się okrutnie.

Przez niemieckich mych towarzyszów,

z którymi pewnych stosunków niepodobna było uniknąć — wprowadzony zostałem do domu, opisywanego mi jako ciekawe kółko, w którem się przyzwoite towarzystwo zbierało... na wieczory — polityczne — parlamentarne – ekonomiczne — artystyczno literackie.

Nawet stary Cylius bywał tam także... Gospodynią domu była niebieska pończocha ale jedwabna, baronowa von Weisstein... urodzona von Gruben... i t. d.

Zapowiedziano mi w niej znakomitość, dowcip, naukę, talenta...

Dałem się wciągnąć. — Dom znalazłem bardzo przyzwoity, urządzony skromnie ale dostatnio, towarzystwo w nim — acz niemieckie i kosmopolityczne, ale ludzkie... Co najdziwniejsza, przesądów przeciwko nam nie było... Sama pani, wdowa, bezdzietna, lat trzydziestu kilku, bardzo jeszcze ładna, podobała mi się z naturalności, niewieściego wdzięku i rozumu... Najmniejszej w niej zalotności nie znalazłem ani cienia, ale uprzejmość największą.

Zajęła mnie mocno — przyznaję się do grzechu — chcąc czemś zapłacić za mój garb, który nie miłe czyni wrażenie — starałem się być śmiałym, dowcipnym, paradoksalnym — jednem słowem, puszcza-

łem fajerwerki... popisywałem się sobą. Pan Bóg mnie za tę próżność ukarał...

Wśród tych zimnych jak ryby Niemców — ja jeden bawiłem panią Weisstein — skutecznie. Prosiła mnie mocno, bym u niej jak najczęściej bywał... Zacząłem włóczyć się wieczorami, czasami zastając po osób kilkanaście, czasem po kilka, a czasem, co mi się bardzo podobało — nikogo.

Wówczas zagadywaliśmy się o bieżących kwestyach żywotnych do północy... a ja wychodziłem rozmarzony, zachwycony, ale nałożyłem munsztuk na serce i kochać się nie pozwalałem. Wara! Garb stał mi w oczach...

Wyjechałem napowrót do domu i miła pani Weisstein znikła mi z oczów, ale poszedłem do państwa P... i znalazłem Tolę, która mnie powitała rumieńcem... Była zawsze śliczna i — za mąż nie poszła... Siostry jej wybierały się jedna po drugiej, ta — siedziała... Od Toli broniłem się moją przyjaciółką Niemką, a od Niemki postanowiłem się bronić Tolą... Tym sposobem, zdawało mi się, że wyjdę cało...

Pani Weisstein napisała raz do mnie, odpowiedziałem żartobliwie.

Powróciwszy do Berlina drugiego dnia zaraz poszedłem do niej. — Ujęła mnie mocno przyjęciem serdecznem, rozjaśnioną

twarzą i dowodem przyjaźni. Nawet mi się jeszcze piękniejszą teraz wydała...

Nazajutrz sam wziąwszy się za puls, postrzegłem, że grozi niebezpieczeństwo... Niemka zajechała głęboko...

Przez trzy dni nie poszedłem do niej ze strachu, czwartego odebrałem przynaglenie. Musiałem być posłusznym. Przybywszy, zastałem ją samą i smutną. Czytała książkę jakąś, była to nowela Heysego, rzuciła ją i przyszła z wymówkami do mnie.

— A! niewdzięczny pan jesteś! jak można było o mnie zapomnieć.

Byłem w jakimś humorze osobliwym.

— Wie pani co — zawołałem siadając przy niej — nie gniewaj się pani na mnie, jeśli powiem co nieprzyzwoitego.

— Wy? nieprzyzwoitego? spytała zdumiona.

— Nie mogę u was bywać, pani baronowo...

— Dla czego?

— Czuję, że mógłbym się zakochać... w moim wieku i z moim garbem. Byłaby to miłość śmieszna a męcząca. Baronowa się zapłoniła.

— Ale, cóż to pleciesz, doktorze — odezwała się zmięszana, chyba nie myślisz o tem, co mówisz... Prawisz mi komplementa... jam za stara na te cukierki...

— Słowo daję, prawda szczera...

— Seryo?

— Seryo, wolę się wycofać w porę.

— Ale ja nie przyjmuję tej wymówki i nakazuję panu, abyś bywał regularnie— zobaczymy...

Wieczór spędziliśmy jak najuprzejmiej, ale czułem, że djabeł, który nigdy, jak wiadomo, nie śpi, opętywał mnie coraz mocniej. Około dziesiątej, gdy rozmowa była jak najożywieńsza, wsuwa się figura mi nieznana, na której widok baronowa zarumieniła się jak wiśnia, ogromny mężczyzna barczysty, w surducie wojskowym, ze wstążkami, bardzo przystojny... Był to jenerał von... no, przypuśćmy, von der Teufel... Jenerał spojrzał koso na mnie, ja na niego, gospodyni nie rychło przyszła do równowagi z sobą i z nami. Odwiedziny były niespodziane dla wszystkich. Wyniosłem się wkrótce markotny... Znać nie uszło to uwagi pani, bo mnie nazajutrz bilecikiem zaprosiła do siebie, a że caro infirma, poszedłem, aby się dowiedzieć, że pan jenerał jest kuzynem jej i człowiekiem żonatym itd. itd. To mnie zupełnie uspokoiło... Jednakże sama wzrastająca sympatya ku baronowej, znajdująca zbyt dla garbatego łatwy oddźwięk w jej duszy, dawała do myślenia. Rachowałem się z su-

mieniem... Niebezpieczeństwo było wielkie... Uciekłem na wieś... Tu moja dawna miłość świeższą mi wybiła z głowy. Panna nie szła zamąż — i — jak cię z duszy kocham, przyjęła mnie ze łzami w oczach...

Wybierając z dwojga złego mniejsze... kochany Kaju — oświadczyłem się, kocham się jak kot i gryzę się losem nieszczęśliwej kobiety, która ma być moją żoną... ale gdybym jeszcze był tak raz do Berlina z wakującą ręką i sercem pojechał... kto wie, coby mnie tam czekało? Przestałem sobie wierzyć! Serce polskie zdobywa się na sofizmata niesłychane, gdyż h o r r e t v a c u u m. A nuż byłbym się... z Niemką ożenił. Drżę na myśl samą... zwłaszcza od czasu, jak się dowiedziałem, że jenerał jest istotnie kuzynem i rzeczywiście żonatym, ale nie mniej pani baronowej jawnym adoratorem od lat sześciu. Całe miasto wie o tem...

Patrzajże, do czego przyszedłem z mojemi teoryami, mądrością, charakterem i uporem... patrz i lituj się.

— Ale ja się cieszę i winszuję ci z duszy, zawołał Wolski ściskając go.

— Ja czuję się upokorzony — dodał garbus — jesteśmy więc wszyscy przeznaczeni — pod pantofel. A n a n k e!!

KONIEC.

6, 35 B, 37 [illegible]
[illegible] 50

134 (145) 146 150
(160) 166 - 168 76

9 x 175 237 240, 243
256 261